36





ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXIII.

ATENEUM



PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT I.



Lipiec.



WARSZAWA.
1896.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 9 lipca 1896 r.

RUGIWOJSCY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

I.

Dosyć! — rzekła tonem suchym i ostrym pani Jadwiga hrabina Rugiwojska do kobiéty zapinającéj jéj bucik.

Nachylona u nóg pani, służąca umilkła. Drugą nogę ubrała w bucik szybko i zgrabnie; uśmiechając się, wygładziła ręką lekką fałdę bucika i powstała.

Pani hrabina podniosła się zwolna i szła ku gotowalni, zajmującéj część ściany między dwoma oknami obszernego, sypialnego pokoju. Zamyślona usiadła na krześle i w milczeniu rozpoczęło się czesanie. W wielkiém lustrze, ujętém w ciemne ramy odbijały się postacie pani i sługi rozplatającéj szybko ciemno-blond włosy hrabiny. Światło dzienne, przyćmione storami, odbijało nie dość jasno i wyraźnie twarz w lustrze, zabarwiając ją żółtawo. Hrabina podniósłszy oczy ku zwierciadłu już ich nie spuszczała, przypatrując się z zajęciem swemu odbiciu. Mimo z górą lat czterdziestu, twarz jéj nie była zużytą, jednak zmarszczki lekkie gotowały się do wystąpienia w kątach twarzy, pod szyją, koło uszu, by nagle wypaść i objąć oblicze w posiadanie. Oczy ciemno-niebieskie, ostre, śledziły niespokojnie zniszczenie czasu; z uwagą patrzały na czoło z charakterystyczną zmarszczką

uporu czy rozkazu, która usadowiła się pomiędzy brwiami; badały dokładnie płeć grubiejącą; usta, których opuszczone kąty wykazywały silną wolę; ślizgały się po rysach wyrazistych, pokrytych delikatną skórą. Zamało jednak było tego światła hrabinie, gdyż po chwili rzuciła rozkaz:

— Story!

Kobiéta porzuciła w téj chwili warkocz i szybko podbiegła do okna. Potok światła wpadł do pokoju przesiąkniętego delikatnym zapachem werbeny i rozświecił lustro. Światło białe, bezwzględniéj i surowiéj oświeciło odbite w lustrze postacie. Wśród włosów przewijały się wyraźniéj białe odbłyski, lekkie sińce pod oczyma stały się ciemniejsze, a w rysach twarzy uwidocznił się niezmącony spokój, graniczący z oschłością.

Obok hrabiny odbijała się usługująca kobiéta. Niemłoda, z mięsistym, spuszczonym nosem; wargami szerokiemi i grubemi; z brodą zaokrągloną rozpływającą się w podbródku obfitym; stanowiła ona przeciwieństwo względem śmiałych i skończonych rysów hrabiny. Skóra gruba, żółtawa, pomarszczona, na pokładzie tłuszczu, obwisła na szczękach, miała leciutki zarost włosów po bokach. Ciemne, siwiejące włosy, uczesane gładko, osłaniały pomarszczone czoło. Cała energia i siła twarzy skupiała się w piwnych oczach, które obecnie śledziły ruch grzebienia. Po dłuższém milczeniu zapytała hrabina niedbale:

— Hrabianka?

— Chyba w ogrodzie. Widziałam jasną pannę wychodzącą — odpowiedziała służąca pospiesznie.

— Dawno?

— Może przed godziną.

— Nudna dziś jesteś, Łucyo. Co słychać?

— Rządca chciał wczoraj odprawić stangreta jasnéj pani. Krzyczał na folwarku: ja tu pan! Musi być, jak ja każę...

Umilkła, zajęta gładzeniem niesfornéj garstki włosów. Pani przyjęła podaną wiadomość obojętnie, zaledwie przemijający blask oczu świadczył o zainteresowaniu się chwilowém. Gdy Łucya milczała pochłonięta swą pracą, szepnęła raczéj, aniżeli wymówiła hrabina:

— Cóż daléj?

— Nadszedł jasny pan hrabia, krzyk ustał, ale stangreta chyba nie będzie...

— Dlaczego? — odezwała się hrabina nie akcentując pytania.

— Nie wiem. Słyszałam, że zostanie oddalony.

— Ta...ak.

— I stary Rosnowski, aby do roku, także odejdzie — mówiła służąca dalej smutnym głosem.

— Rosnowski? — powtórzyła hrabina.

— Czternaście lat — zaczęła Łucya biadając — i to wiernéj służby na folwarku; od pisarza do ekonoma i...

— Za co? — zapytała hrabina.

— Rządca powiedział, że raporta są źle pisane — mówiła pospiesznie.

Umikła. Po chwili patrząc z dumą na uczesanie, rzekła z uśmiechem na szerokich ustach:

— Pani hrabina dziś tak wygląda jak w Rozburczu.

Było to przypomnienie panieńskich lat hrabiny, spędzonych w téj wsi.

Lekkie zadowolnienie przemknęło na twarzy hrabiny i nieznacznie, bezświadomie, prostując się, wpatrzyła się uważniéj w odbicie swéj twarzy. W pytających jéj oczach niknęła większość śladów lat przeżytych, ale nie można było zmienić prawdy słońca i lustra. Mimowoli opuściła głowę, spojrzała na swe białe ręce i szepnęła do siebie:

— Lata płyną.

Łucya zrozumiała szmer tych słów, i kończąc swe fryzyerstwo, gładząc miękką szczotką włosy na karku hrabiny, mówiła szybko:

— Nie dla jasnéj hrabiny. To dla nas, co ciężko musimy pracować, ot jak Rosnowski... Żona mu słaba, syna chciał posłać do szkoły, ale rządca nie pozwolił...

— Dlaczego?

— Nie dał koni. Takiemu kasyerowi, buchalterowi, to byle chcieli, codziennie dałby konie; a nam i do kościoła żałuje, nie pozwala prosić Boga o zdrowie dla jasnéj hrabiny, — mówiła bez wytchnienia układając kolejno na fotelu części sukni hrabiny — a my przecież nie lutrzy, jak ta bona, która rozkrzyczała się wczoraj na hrabicza Bola ..

— Rozkrzyczała?—zdziwiła się hrabina i spojrzała pytająco na Łucyę.

— Hrabicz wywijał pałasikiem, a ona się zlękła i dalejże krzyczéć na hrabicza Bola; poodbierała zabawki i poszła z ogrodu do pałacu. Widział to Mikołaj i rządca — dodała Łucya ze złośliwém zadowolnieniem.

— Rządca? — rzekła hrabina.

— Chyba że on ma szpiega w pałacu, bo ile razy ta angielka wyjdzie, jest już i rządca — odpowiedziała zjadliwie Łucya.

— Ta...ak? I co robią?

— Nie wiem, bo nie widziałam, gdzież ja mam czas na to. Po dłuższém milczeniu zapytała hrabina chmurząc się:

— Bolo płakał?

— Gdzieżby takie hrabiątko płakało, ale było bardzo smutne — odpowiedziała z żałością w głosie.

— A cóż było w pokoju? — pytała pani daléj.

— Opowiadała mi Zosia pokojówka, że ona pozwala sobie dużo z hrabiczem, raz do kąta go nawet postawiła...

Hrabina zmarszczyła brwi gniewnie, rzuciła jeszcze raz okiem na uczesanie i wstała z przed lustra, pozwalając, by ją ubierała służąca. Po chwili zapytała Łucyę o zdrowie pani Turowskiéj, dalekiéj kuzynki, wdowy, zajmującéj się gospodarstwem kobiecém w pałacu.

— Pani Turowska zdrowsza, dziś wstała. Panna hrabianka była wczoraj cały wieczór u niéj. To takie serce anielskie i miłosierne jak u jasnéj hrabiny. Pan Bóg wynagrodzi to pannie hrabiance, ja się modlę codziennie o to.

Mówiąc te słowa, spuściła oczy i głęboko westchnęła.

Hrabina spojrzała na zegar i rzekła:

— Powiész Ernestowi, by poprosił pana hrabiego do mnie.

Po wyjściu służącéj, hrabina przeszła do pobocznego saloniku i usiadła na kozetce. Wielkie okno przepuszczało promienie wrześniowe, oświecało foteliki i kozetkę pokrytą niebieskim atłasem, padało na stół, na którym obok najświeższego numeru mód leżała nierozcięta powieść francuska i kalendarz gotajski. Na lśniącą posadzkę rzucał cień ładny kosz kwiatów świeżych, ustawiony pod oknem. Z wonią werbeny, zalatującą z sypialni, mieszały się zapachy żywych kwiatów wytwarzając atmosferę łagodną, miękką, głaszczącą, harmonizującą z wykwintnym salonikiem, z meblami jasnemi, ze spokojem i ciszą panującą w całym pałacu.

Mimo że hrabina była samą, nie opuszczał jéj wyraz dumy i rozgoryczenia rysującego się w opuszczonych kątach ust. Spojrzała na almanach i przypomniały się jéj myśli wczorajsze. Wyciągnęła swą piękną, białą, delikatną rękę, wzięła otwartą książkę, spojrzała i wnet z wyraźną niechęcią położyła na stole. Myślała.

Herta ma już lat dwadzieścia, byłby czas wydać ją zamąż. Przecież nie wyda Herty za pierwszego lepszego księcia lub hrabiego, Rugiwojscy spokrewnieni z królami, to obowiązuje. Wpajane i podniecane uczucie dumy rodowéj odezwało się w niéj odruchowo. I ona jest Rugiwojska, poszła zamąż za Rugiwojskiego, ich dzieci: Jasmund, Herta i Bolesław, dziedziczą tylko po Rugiwojskich, innéj krwi w nich

nie ma. Ale ten mąż? Zajęty końmi, budowaniem, nie pomyślałby o przyszłości, gdyby nie ona. Ma tych kilka wiosek i siedzi w domu, jak jaki szlachetka. Oszczędny, prawie skąpy, ma jedyną zaletę, że jest Rugiwojski. I gdyby nie wuj Jasmund nie byłaby nigdy, przenigdy poszła za niego, lepszy nawet już klasztor... Wspomniawszy wuja Jasmunda, spojrzała na jego portret zawieszony naprzeciw kozetki. Był to już niemal starzec, zda się urobiony z porcelany, tak każdy rys twarzy był wygładzony i skończony. Oparty o fotel stał dumny i nieugięty. Pan olbrzymiéj fortuny, bezdzietny wdowiec, senior rodu, chciał, by hr. Rugard ożenił się z Jadwigą hr. Rugiwojską I stało się, jak chciał. Lecz tego rodzaju życzenie zobowiązuje przecież wuja Jasmunda. Nie poprawi przecież losu jéj dzieci to, że oczyścił z długów majątek Wieszary, że jéj dał ślubny podarunek. Jeśliby nic więcéj nie zrobił dla nich, dzieci ich zostałyby w nędzy... Znów wróciła myślą do męża. Jego majątek Wieszary z czterema wioskami, cóż znaczy dla Rugiwojskich, którzy sięgali niegdyś po koronę, a dzierżyli nie klucze, ale całe prowincye... Jeszcze syn pierworodny Jasmund, starszy o trzy lata od Herty, może zdobyć majątek ożenieniem się bogatém. Przecież nie z bankierówną! Każda księżniczka poczyta sobie za zaszczyt zostać Rugiwojską. Ale córka!? Przymknęła oczy, by skupić uwagę i przesunęła się przed nią Herta, piękna, smukła blondynka, z rysami wytwornemi, kształtami tak powabnemi i skończonemi, że każda z kobiét mogła jéj pozazdrościć, ale jéj przyszłość? Leżący na stole almanach podsunął hrabinie myśl zapytania wyroczni; gdzie otworzy się książka, spotkane nazwisko będzie wskazówką Opatrzności. Spojrzała. Były to nazwiska arystokracyi niemieckiéj. Uśmiechnęła się ironicznie. Wyrocznia skłamała. Niemieccy książęta uważaliby Wieszary lub jéj posagowy majątek litewski za udzielne księstwo, ale po obliczeniu dochodów odsunęliby się niezawodnie. Szukają żony posażnéj, bardzo posażnéj, a Herta, bodaj czy będzie miała 100,000, może 150,000 rubli. Książęta niemieccy nie dla niéj. Jeszcze jaki stary lub wdowiec, gdy zobaczy piękną Hertę, może ożeniłby się, ale trzeba koniecznie pokazać ją światu... tu nikt nie przyjedzie jéj szukać. Myślała o podróży. Nie pojedzie z nią przecież do miejsc kąpielowych—nie, to dobre dla szlachcianek... Co innego Wiedeń, Paryż, Nicea, Rzym, chociażby Biarritz; zależy zresztą od sezonu i wiadomości, gdzie się znajduje upatrzony kandydat. Wyjadę — szepnęła do siebie, z wyrazem wielkiéj stanowczości w twarzy i oczach.

W téj chwili zapukano lekko do drzwi, otworzono i wszedł hr. Rugard Rugiwojski, jéj mąż.

— *Good day* — powiedział obojętnym tonem.

Żona lekko skinęła głową, na znak powitania.

Ubrany w szarą marynarkę, w koszuli nocnéj związanéj jedwabnemi sznureczkami na szyi, w palonych butach, stał krótką chwilę w progu, rzuciwszy przenikliwe spojrzenie na żonę, patrzącą nań badawczo. Twarz szczupła, z długiemi blond wąsami, uderzała spokojem. Charakterystyczną cechą twarzy obojga były silnie nakreślone łuki nad oczyma, pokryte ładnemi, równemi brwiami; nos z lekkiém orlem wygięciem, delikatny, z nozdrzami cienkiemi i ruchomemi; usta małe pięknie wycięte; i broda wysunięta lekko naprzód. Były to cechy dziedziczne Rugiwojskich, prócz ładnych rąk, małych nóg i smukłéj postaci. Hr. Rugard przeczuł surowy i poważny nastrój żony, i chcąc sobie dodać odwagi, zamknął ostro drzwi za sobą, dżokejkę rzucił na fotel przy drzwiach i stanąwszy naprzeciw żony zapytał:

— Jest co ważnego? List? Depesza?

To rzekłszy, włożył obie ręce w kieszenie marynarki i podszedł ku oknu. Od chwili wejścia hrabiego, w saloniku dał się odczuwać zapach stajenny. Hrabina podniosłszy chusteczkę do nosa, zrobiła grymas niezadowolenia i rzekła półgłosem:

— *Sportsman perfume!*

Mąż uśmiechnął się lekko i nie odwracając głowy, odpowiedział:

— *The only who rested me.*

Nastało milczenie. Hrabia obrywał starannie zwiędłe listeczki na różach, umieszczonych w porcelanowym koszu i milczał. Żona nie spuszczała z niego oczu i poprawiając się na kozetce powiedziała:

— Może usiądziesz.

Hrabia się odwrócił i z głębokiém westchnieniem siadł na fotelu.

— Chciałam pomówić z tobą o Hercie... Żniwa skończone, urodzaj dobry, czy jesień i zimę mamy przepędzić w tych Wieszarach?

— Przedewszystkiém żniwa nieskończone... do zimy daleko, a Wieszary nie są tak *odious* — odpowiedział swobodnie, spoglądając na ładny salonik hrabiny.

Hrabina podniecona spokojem męża rzekła ostrzejszym tonem:

— To zależy!... Ty wiész o zbiorach tylko od rządcy, który mówi to, co mu na rękę. Jesteś wierném echem każdego...

— Więc i twojém — przerwał z ironią,

— Prócz żony — odpowiedziała z goryczą.

Mąż widząc, że zanosi się na wymówki, udał ziewnięcie i zapytał:

— Nareszcie o co idzie? O zbiory? O wyjazd? O rządcę?

— Rządca? — uśmiechnęła się wzgardliwie — ponieważ on tu panem i każdy musi go słuchać, jak to powiedział publicznie, niechże rządzi, ale ja nie myślę wzywać go na naradę, tobie zostawiam ten zaszczyt...

— Nie podobał ci się? — rzekł obojętnie, otrzepując klapę marynarki z niewidzialnego kurzu.

Żona wzruszyła ramionami i odpowiedziała z ironią:

— Podobał lub nie? Cóż to obchodzi ciebie?

— A więc? — zapytał znużonym, jednostajnym głosem.

— Idź, naradź się z nim, czy wolno nam wyjechać na zimę, czy on pozwoli?

W oczach jego zamigotały błyski gniewu, wstał i kłaniając się nisko odparł z ironią:

— Jestem zawsze posłusznym mężem.

— Zostań, proszę cię..

Mąż usiadł i zniecierpliwiony tarł ręce.

— Wyjechać z Hertą muszę — mówiła stanowczym tonem.

— Dokąd? — zapytał bez zdziwienia.

— Zależy od listów, wiadomości... Uprzedzam cię, byś się przygotował.

— Ileż ci trzeba? — mówił tłumiąc westchnienie.

— Od pięciu do... dziesięciu tysięcy — odpowiedziała hrabina zmarszczywszy brwi lekko.

— Tylko tyle? —zaśmiał się z przymusem.

Hrabina wpadając w poprzedni obojętny ton męża, powiedziała:

— Obliczyłam się.

Hrabia poruszył się na fotelu, włożył znów ręce w kieszenie marynarki i mówił głosem doradczym:

— Przecież w Warszawie, masz pałac wuja Jasmunda do rozporządzenia...

— W Warszawie!? — ze zdziwieniem zapytała żona,—któż tam jest dla Herty? — kończyła, podkreślając słowo t a m.

— Jednak jest tam kilka dobrych rodzin...

— I synowie bogatych bankierów — dodała hrabina z ironią głęboką.

-- Jesteś dziś *intolerable* — mówił hr. Rugard z udanym spokojem.

— *I am to-day and you ever* — odcięła żona i szukając wzroku hrabiego zapytała. — Ostatecznie Herta ma iść zamąż czy do klasztoru?

— Dziwne pytanie — odpowiedział nachmurzony.

— Pozwól mi więc działać — przemówiła spokojniéj.

— Pozwól mi rachować — mówił tym samym tonem mąż.—Wieszary z folwarkami dają do 20,000 rs. dochodu, z tego 6,000 edukacya Mundzia; podatki, ciężary, zapisy i dom zjadają resztę.

Hrabina westchnęła i patrząc przed siebie, rzekła z miną zrezygnowaną:

— Co zjada rządca, koniuszy, stajnie, budowanie, nie liczy się.

— Licz i owszem.

— *I thank you.* Zostaje mi tedy wuj Jasmund — dodała z westchnieniem.

— On? — ździwił się hrabia.

— Jeśli ty nie możesz, — mówiła cichym, ale stanowczym głosem — więc któż? On nas połączył, on płaci koszta, to naturalne.

— To niemożliwe! — odpowiedział zaniepokojony.

I w głowie jego szybko przesunęła się cała przeszłość, Wieszary, odłużone, bliskie upadku podźwignął wuj Jasmund, skojarzył następnie małżeństwo, nie szczędził darów, wyznaczył pensyę 6,000 rub. ze swych majątków, wszystko pod warunkiem, by Rugard porządnie się prowadził, nie grał, nie hulał... Od czasu do czasu rzucał nawet dwuznaczne słowa, że zapisze im dobra, bo oni jedni rozumnie żyją, poprzestają na małém, nie dokuczają mu żądaniami i prośbami, i nagle jedno niewłaściwe odezwanie się o pomoc, jedna pretensya, zepsuje wszystko. Dwadzieścia lat pracy, wzorowego prowadzenia się, tłumienia w sobie pokus, znoszenie uwag, poleceń, pretensyi starca nad grobem, i dla marnych kilku czy kilkunastu tysięcy poświęci się oczekiwane krocie, miliony... Spojrzał na wiszący portret wuja, i uprzytomnił sobie jego uśmiech pół dobrotliwy, pół ironiczny z jakim mawiał o krewnych ubiegających się o darowiznę... I on będzie na téj liście. Cóż za tryumf dla braci stryjecznych, dla szwagrów, gdy im wuj Jasmund opowié o prośbie, żądaniu, pretensyi jego żony! Wezbrała w nim gorycz, owładnął nim żal. Przypomniały mu się podobne sceny, w których bywały aluzye do wuja, ale nigdy nie postawiła żona téj sprawy tak wyraźnie, tak bezwzględnie. Rozmyślał téż chmurny, jak zapobiédz temu niewłaściwemu postanowieniu.

Hrabina wiedząc, że mąż drży na myśl utracenia łaski i dobréj opinii wuja, używała czasem téj groźby, ale dziś było szczerą prawdą, że do niego się uda. Cóż po milionach, gdy Herta zwiędnie, zbrzydnie i albo zostanie starą panną lub zrobi mezalians. Matce wolno wszystko, byle uratować dziecko. Gdy zwierzy się wujowi ze swéj obawy o Hertę, on ją zrozumié i chętnie pomoże, bo tu idzie o przyszłość Rugiwojskiéj.

Podniosła oczy na portret wuja i spotkała wzrok męża. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Zimne, bezlitosne, zamigotały jak szpady przeciwników. Hrabia uczuł w téj chwili przypływ krwi, ochotę rzucenia kilku słów gwałtownych, drażniących, przykrych — ale powstrzymał się. Spuścił pierwszy oczy, i postanowił zagrać w dyplomacyę.

— Mam wiadomości, — mówił tonem, który starał się być obojętnym — że wuj Jasmund leży ciężko chory. Udawanie się o pomoc w takiéj chwili uważam za niestosowne.

Żona spojrzała na mówiącego badawczo, leciutki uśmiech ironii przemknął około ust i powiedziała:

— Wuj choruje bez przerwy, ale i żyje i rządzi bez przerwy. A zresztą twoje wiadomości...

— Najpewniejsze.

— Od rządcy, koniuszego czy kamerdynera? — tryumfowała z ironią hrabina.

— *Too much* — odpowiedział chmurząc się.

— Więc powiédz skąd wiész?

— Skąd? Wczoraj przyprowadzono mi konia z majątku wuja i powiedziano, że Skotacki otrzymał depeszę od Jasmunda, by natychmiast przyjechał.

— I cóż z tego?

— Skotacki przed dwoma dniami przyjechał do majątku; ta depesza, jak ogólnie mówią, przyszła, bo wuj Jasmund ciężko chory.

— Nie wierzę... Ja nie mam żadnego listu, a gdyby był chory, miałabym list lub depeszę... A zresztą tém lepiéj — dodała z uśmiechem wyższości — powiem wujowi, że przyjechałam zaniepokojona plotkami o zdrowiu z powodu depeszy do Skotackiego.

Hr. Rugard zmarszczył brwi gniewnie. Przypomniał sobie upokorzenia doznawane z powodu hr. Skotackiego, dalekiego kuzyna Rugiwojskich, rządzącego samodzielnie dobrami wuja Jasmunda. To jego sprawka, by pobieraną pensyę odbierał hr. Rugard z rąk administracyi dóbr za kwitami, by o każdą drobnostkę darowaną przez wuja, kołatał przez cały szereg urzędników. I on, hr. Rugard Rugiwojski, przyszły sukcesor Jasmunda, musiał jeździć, kłaniać się, podpisywać, a wszystko przez hr. Skotackiego. To téż na wzmiankę o nim rzekł ze spokojną ironią:

— Jakto? Będziesz się powoływała na depeszę rządcy? Hrabinę dotknęła złośliwa uwaga męża i kładąc rękę na oparciu kozetki mówiła:

— Przedewszystkiém hr. Skotacki nie jest rządcą, lecz plenipotentem wuja. To nie jest ktoś tam ze służby, ale kuzyn Rugiwojskich.

— Kuzyn? Może brat? — zaśmiał się hrabia.

— Jeśli Herta pójdzie drogą, którą ty jéj gotujesz, jéj bracia mogą mieć jeszcze lepszych kuzynów, aniżeli hr. Skotacki — kończyła uśmiechając się nerwowo.

— Cóż mam robić? — zapytał mąż, którego podniecenie już się wyczerpywało.

— Wyjadę z Hertą i zobaczymy.

— Tak wielkiéj sumy nie mam na razie — szepnął hrabia.

— To do mnie nie należy. Ja nie administruję Wieszarami — mówiła obojętnie.

— Chyba pożyczę? — rzekł hrabia wzdychając.

— Nie wiem... Tu idzie o przyszłość dziecka. Gdyby o mnie chodziło, zostawiłabym cię w spokoju w twéj stajni, ale...

— Dobrze. Pomówię z rządcą...

— Ach! zawsze ten rządca — zawołała z niesmakiem hrabina.

— Jeśli chcesz, oddalę go — odpowiedział obojętnie.

— Przyjdzie nowy — rzekła zirytowana — i znów będziesz go słuchał.

Hrabia w odpowiedzi ścisnął ramionami.

— I ten byłby niezły, — mówiła daléj — ale niech wié u kogo służy. Wczoraj odprawił mego stangreta.

— Odprawił? — ździwił się mąż.

— Tak jest. Ja wiem, ale ty rządzisz, otrzymujesz raporta... A może i o Rosnowskim nie wiész? — pytała z wzrastającą ironią.

— Co?

— Także odprawiony!... A teraz powiédz sam, czy takiemu rządcy nie przewróci się w głowie, gdy robi, co zechce. Tylko do mojéj służby niech się nie miesza.

— Ale cóż znowu? — obruszył się hrabia.

— Na to ja nie pozwolę — kończyła energicznie. — Zapowiédz twemu rządcy, że mój stangret zostaje, że miss Ellen nie istnieje dla niego, że konie dla mojéj służby być muszą, bo jeśli kasyer i buchalter twemi końmi rozjeżdżają po wizytach, to przecież do kościoła znajdzie się para koni.

Na wzmiankę o miss Ellen twarz hrabiego spochmurniała, lecz gdy żona powiedziała o koniach, wyraz jego twarzy stał się nieprzejednany. Po chwili wstał, wziął dżokejkę i rzekł krótko:

— Wypędzę go.

— Zobaczymy. A pamiętaj, wyjadę wkrótce.

— Dobrze, ja będę gotów.

Hrabina nawet się nie uśmiechnęła po odniesioném zwycięstwie, przeciwnie, na twarzy jéj osiadła troska o kierunek podróży. Rozpisała już poprzednio listy i oczekiwała odpowiedzi, która miała zdecydować o miejscu. Po chwili wyciągnęła rękę, nacisnęła guzik dzwonka tuż za kozetką i wkrótce zjawiła się Łucya.

— Okno otworzyć.

Służąca spełniła rozkaz w milczeniu.

— Miss Ellen z Bolem niech przyjdzie. Powiész stangretowi, by zajechał po Bola.

Łucya w milczeniu skłoniła głowę i odeszła wypełnić rozkazy, uśmiechając się tryumfująco, że stangret hrabiny został jednak na służbie.

Hrabia gniewny, zirytowany rozmową, wyszedł z postanowieniem odprawienia rządcy, oburzony nadużyciem koni. W bezbarwném i spokojném życiu w Wieszarach miał hrabia dwie przyjemności, które stały się niemal potrzebą jego spokoju i szczęścia: budownictwo i zamiłowanie do koni. Pierwsze, jako zbyt drogie uprawiał rzadziéj, ale konie miał zawsze pod ręką. Na prowadzenie wielkiéj stadniny rasowéj, nie starczyło pieniędzy, ale koni otrzymywanych w darze od wuja Jasmunda pilnował i troskliwie doglądał. W chwilach zirytowania podążał do stajni z nawyknienia. I teraz szybko przeszedł długi kurytarz, minął schody i skierował się ku stajni.

Planu jasnego nie miał na razie, utkwiły mu w umyśle i bolały słowa i wymagania żony. Kwestya pieniężna niepokoiła go, gdyż od czasu ożenienia liczył się z wydatkami o tyle, by nie wpaść w znaczne długi. Uregulował téż rozchody jak mógł i umiał. Nagle ten, jak się wyrażał z zadowoleniem, zegarek wieszarowy, może się zepsuć, bo tych kilka tysięcy zażądanych są dopiéro początkiem wymagań... Następnie ten rządca! Zdawało się, że dobry i uczciwy, ale ta odprawa służby, te konie wyjazdowe oddawane oficyalistom, to podejrzane. Należałoby go wydalić, ale kłopoty przy odprawianiu, usprawiedliwiania się, prośby o pozostawienie... chyba niech zostanie. Lecz jeśli daje konie... lepiéj odprawić. I nagle błysnęła mu myśl, że przecież listownie może tę sprawę załatwić. To uspokoiło go znacznie. I równiejszym krokiem szedł po zwirowanéj ścieżce ku stajni. Budynek ten położony za klombami drzew, w zachodniéj stronie od pałacu, był murowany. Nad szerokiemi bramami były umieszczone, wielkie, niezdarnie rzeźbione głowy końskie, a pod niemi herb Rugiwojskich: lwica na czółnie, ozdobioném u steru krzyżem, gdy z przeciwnéj strony powiewał sztandar.

W chwili, gdy z za klombu wyszedł hrabia, dwóch stajennych prowadziło pięknego, złoto-gniadego konia ku stajni. Hrabia uśmiechnął się na widok Selima, klasnął w ręce i dał znak, by się wstrzymali; sam zaś przyspieszył kroku. Głaszcząc konia, wysłuchał relacyi koniuszego, powiedzianéj w niemieckim języku, że Selim, przepędzany na lince, okazał zadziwiające zalety w kłusie.

Hrabia zapomniał o żonie, pieniądzach, rządcy — owładnęły nim konie. Wraz z wprowadzonym Selimem, wszedł do stajni obszernéj, podzielonéj na klatki. Na każdéj klatce była przybita tabliczka z napisem i rodowodem konia. Wchodził do klatek swoich ulubieńców, ganił najlżejszy nieporządek, uczył obchodzenia się z poszczególnemi końmi, zniecierpliwiony niezręcznością sam brał do ręki zgrzebło, szczotkę, unaoczniając na przykładzie swe rozkazy. Przyjął wreszcie propozycyę koniuszego, by spróbować parę świeżych koni wyjazdowych. Próba miała się odbyć z powodu płochliwości koni w ujeżdżalni, leżącéj za stajnią, a dotykającéj rozległego parku.

Konie młode, niewyjeżdżone, to rwały się, znów stawały, kładły się na dyszel; wrażeń było dużo. Wtém nagle spięły się w górę i zaplątały się w lejce krzyżowe, wszyscy stajenni z hrabią ruszyli ku pomocy. Rozplątano konie i odprowadzono do stajni. Sam hrabia zmęczony, otworzył furtkę boczną, by przez park udać się do pałacu. Zaledwie zrobił kilka kroków, odezwał się tuż za nim świeży i melodyjny głos:

— Te konie ojciec mi daruje? Dobrze?

Hrabia się odwrócił i zapytał z uśmiechem:

— Skądże Herta tutaj?

— Jeśli ojca interesują konie, to również i córkę. Cóż, te konie będą moje?

— Późniéj, późniéj. Jestem zmęczony, chodźmy.

I w milczeniu szli daléj aleją wysadzoną grabami i lipami a wiodącą do pałacu. Obok hrabiego pochylonego, idącego krokiem ociężałym, Herta wysmukła, z figurą ładnie wciętą, w sukni białéj szewiotowéj, świéża swą młodością, robiła wrażenie w tym pogodnym dniu jesiennym, istoty tak czystéj, tak dalekiéj od codziennych walk życia, iż zdawało się, że jéj obecność rozświéca cienie staréj alei. A szła tak lekko, elastycznie, że zaledwie widniał na piasku odcisk jéj maleńkiego bucika. Południowe słońce wrześniowe, złociło i srebrzyło jesienne liście drzew, grało tęczowemi blaskami na nitkach pajęczych rozsnutych pomiędzy gałęźmi i na trawnikach. Łagodny powiew strząsał od czasu do czasu barwne liście, które z cichym szelestem kładły się na ziemię. W głębi alei rysowała się werenda pierwszego piętra pałacu,

zielona i barwna od kwiatów. Nad nią roztaczało się niebo blado-błękitne, jak wielki kwiat niezapominajki spalony żarem letnim. Herta wstrzymując ojca rzekła:

— Ładne są Wieszary! — i ręką wskazała aleję i pałac z odłamem nieba.

Ojciec rzucił obojętnie okiem i odpowiedział:

— Ładne, a jednak wyjeżdżasz.

— Ja? — ździwiła się Herta.

— Matka z tobą.

— Nic nie wiem. Może mi ojciec powiedzieć? — mówiła z zaciekawieniem. — Ojciec zmęczony, usiądźmy.

Skręcili ku ławce ogrodowéj i usiedli. Herta zdejmowała zwolna rękawiczkę, spoglądając na ojca. Hrabia po krótkiém wahaniu postanowił wyjaśnić córce powody wyjazdu, równocześnie uległ bezwiednie potrzebie utrwalenia się w przekonaniu o konieczności podróży i zamążpójścia córki. Po krótkiém milczeniu zaczął ojciec poważnie:

— Jesteś już w tym wieku, że należałoby ci wyjść zamąż...

— Kiedy w domu mi dobrze — przerwała Herta.

— Zapewne, ale to przeznaczenie kobiét, tak Opatrzność rozrządziła i my na to nic nie poradzimy. Otóż my t. j. matka i ja myślimy o tém... Wiész zapewne, że byli tacy, którzy pragnęli połączyć się z nami, ale były to partye niestosowne dla Rugiwojskiéj. Wiész?

Herta skinęła głową i zamiast odpowiedzi zapytała ze szczerym żalem:

— Więc muszę wyjść zamąż, opuścić rodziców, Wieszary?

— Ależ Herto i królowa musi iść zamąż. Wygasłby ród nasz, gdyby tolerowano podobne zachcenia. Właśnie koligacyą jesteśmy silni. — A widząc, że ma w córce chętnego słuchacza, tak z poczucia obowiązku pouczenia dziecka, jak również idąc za osobistém zamiłowaniem, mówił, zapalając się zwolna do własnych myśli i wymowy:

— Ród, moje dziecko, to wielkie słowo, i wielka sława. Nic droższego nie mamy na świecie. Pieniądze, zaszczyty, władza, to marne dodatki. Jest bowiem rzeczą podrzędną czym bogaty czy biedny, posiadam zaszczyty, władzę, lub nie... zawsze i wszędzie jestem Rugiwojski. Są tacy, którzy głoszą równość... utopia! głupstwo! Weźże konia czystéj krwi i konia chłopskiego... porównaj. To samo i z ludźmi. Czyż nie tak?

Herta słuchała z uwagą, zapatrzona w ojca i po krótkiéj chwili skarżyła się:

— Ale ja zmienię nazwisko...

— To prawda — mówił ojciec poważnie — będziesz nosiła inne nazwisko, nie takie jak nasze, ale bądź co bądź dobre. Lecz i to prawda, że jak nie przestaniesz być moją córką zawsze, tak nie wyrzekniesz się i krwi Rugiwojskich. Sprawy rodzinne będą ci tak bliskie jak teraz, i dopiéro wszedłszy w świat, zrozumiész znaczenie związków i politykę rodu. I dawniéj, i dziś Rugiwojscy w każdém stronnictwie, w każdéj dzielnicy mają wpływy i znaczenie, dla tego téż nie dosięgnie naszego rodu klęska zagłady, i tak rządząc, zapanujemy.

Mówiąc to, podniósł głowę, wyprostował się, spojrzał bystro przed siebie i czując w Hercie pokrewną sobie istotę, mówił daléj,

— Nasi przodkowie rozumieli doskonale potęgę rodu i związków, a chąc utrwalić znaczenie i sławę Rugiwojskich w dalekie pokolenia, utworzyli fundusz żelazny, olbrzymi skarb. W zawierusze on przepadł... ale może, kiedyś, uda mi się utrwalić naszą łódź herbową, złotą kotwicą, ale taką, by żadne zawieruchy jéj nie zerwały. Wówczas wszyscy garnąć się będą do łodzi bezpiecznéj, gdy w około zahuczą fale samowoli i szaleństwa. I to będzie Herto nasza łódź, łódź Rugiwoskich.

W téj chwili wypiękniał hr. Rugard zapałem; lekki rumieniec zabarwił żółtawą twarz, oczy błyszczały, a Herta słuchała go powstrzymując oddech, by nie stracić i słowa.

— Jakie to piękne, wspaniałe! — zawołała. — Ach, gdyby tylko prędzéj tego dokonać.

Hrabia uśmiechnął się dobrotliwie i ściskając rękę córki, rzekł:

— Ród żyje nie lata, lecz wieki. Jeżeli ja nie dokonam, to syn lub wnuk; bo u nas śmierć nie przerywa planów i myśli. Śmierć u ludzi jest końcem, ale u nas jest tylko przemianą formy. Wyzwoleni z ciała, żyjemy w dziejach i tradycyach rodu. Spojrzyj na portrety rodzinne i rysy te same, i dusze te same.

— Jaki ojciec dzisiaj dobry... — mówiła Herta rozczulona.

— Mówię ci o tém, bo masz wyjechać. Chcę, byś zawsze pamiętała, że jesteś Rugiwojską.

W tém doleciały do uszu siedzących ostre okrzyki stajennych, Hrabia nasłuchiwał zaniepokojony i poleciwszy córce, by poczekała na niego, sam poszedł spiesznie w kierunku ujeżdżalni.

Herta przeprowadziła oczyma ojca, póki nie znikł na skręcie ulicy ogrodowéj. Ostatnie przypomnienie ojca było dla niéj zbyteczne.

Gorące barwy są konieczne dla oka zmęczonego, a gdy teraźniejszość hrabiego Rugarda i jego rodziny była bezbarwną, jednostajną, tém piękniéj przedstawiała się przeszłość pełna blasku, purpury, zaszczytów i władzy. Dla Herty dzieje ich rodu stanowiły niemal jedyną kanwę jéj marzeń.

Tęskniła za tą przeszłością, kochała tych rycerzy, hetmanów, polityków, prałatów, których portrety wisiały w pałacu. Znała całe anegdotyczno-biograficzne ich życie, ich szczęście, wyniesienie, klęski i zgon. I te kobiéty w zakonnych strojach, i te inne w bogatych złotogłowiach, te w powiewnych, niemal przezroczystych strojach, toż to jéj prababki. Ona zawsze czuła, że w niéj krew z ich krwi, duch z ich ducha. Te portrety dla niéj żyły życiem realném, istotném. Miała wśród nich ulubieńców, na wzór których kształtowały się jéj marzenia panieńskie. Była to piękna twarz młodzieńca, który zginął młodo, w bitwie w dalekich dzikich stepach.

Cała jéj istota skupiała się w rodzie Rugiwojskich. Żyła, czuła, myślała, patrzyła, ceniła, krytykowała tylko jako Rugiwojska. Projekt wyjazdu i konieczność zamążpójścia stanowiły niemiły epilog świetnych marzeń jéj oca, które brała chętnie jako fakta realne. Tak, Rugiwojscy będą sławni, potężni, silni; ale ona wyjść zamąż musi. Obsiadły ją rojem przeżyte wspomnienia, obracające się jak w zaklętem kole, około wydania jéj zamąż. Niemal od piérwszego wstąpienia w świat, to zagadnienie postawiono przed nią, nasuwano jéj nieustannie, czuła je około siebie, widziała w spojrzeniach matki i krewnych. Każdy wyjazd, każdy bal, każde liczniejsze zebranie, było zatrute dla niéj tą nieustaną zagadką przyszłości, krępującą z każdym rokiem więcéj jéj swobodę i zamiłowania. Jakże chętnie wyjechałaby z matką do Francyi, Włoch, nad morze, gdyby zostawiła za sobą troskę o swe zamążpójście!

Zamyślona nie spostrzegła na razie lokaja, oznajmiającego jéj godzinę śniadania. Poleciwszy mu poproszenie ojca, wstała z ławki i skierowała się ku pałacowi. Piękna gra kolorów liści purpurowych i żółtych w promieniach słońca, różnobarwne kosze wonnych lewkonii, heliotropów, werben, jaśminów i gladiolusów, rozrzuconych umiejętnie przed pałacem teraz nie zwróciły jéj uwagi. Szła cicha, spokojna, nie zamarzywszy nawet o możności sprzeciwienia się woli rodziców.

II.

Przy śniadaniu prócz hrabiny, Herty i hrabiego, była miss Ellen, bona Bola. Drobna, ładna szatynka, która rzucając kiedyniekiedy ukradkowe, niespokojne spojrzenia na hrabinę, starała się usilnie podkreślić swe zajęcie Bolem, dzieciakiem ośmioletnim, z twarzą wyraźną, napiętnowaną cechami rodzinnemi. Bez uśmiechu, poważny, z twarzyczką chudą, ściągłą, robił wrażenie znacznie starszego. Same tyl-

ko oczy z odbłyskami naiwności dziecięcéj, mówiły o wieku dziecinnym. Przy tym samym stole siedziała i pani Turowska, niemłoda, wysoka, szczupła, ubrana w ciemną suknię. Twarz jéj poważna i surowa, starała się być łagodną i słodką, ile razy zwracła się do rodziny hrabiów. Smutna cecha życia zależnego od woli, a nawet kaprysów państwa, nadawała całéj jéj postaci coś z ptaka, gotowego pofrunąć za najlżejszém skinieniem. Nosiła ona na sobie ten zwykły stempel niewoli kobiéty, niezdolnéj do zapracowania na chléb, chyba jedynie uległością i ślepém posłuszeństwem.

Śniadanie przeszło cicho i milcząco. Na razie hrabia mówił o koniach, podtrzymywany przez Hertę, a gdy się ten przedmiot wyczerpał, umilkli. Mały Bolo nie jadł potrawy piérwszéj, usprawiedliwiając się cichym głosem przed miss Ellen, ale gdy i drugiéj ledwie dotknął, zwróciło to uwagę matki. Dziecko, skarżące się na ból głowy, wyszło wraz z angielką na skinie matki do swego pokoju. I znów zapanowało milczenie, przerwane wejściem lokaja niosącego na tacy depeszę adresowaną do hrabiny.

I mąż i córka śledzili z uwagą rysy czytającéj, ale prócz lekkiego zmarszczenia brwi, nic nie dostrzegli.

Zazwyczaj hrabia pijał czarną kawę w swych pokojach, lecz dziś na propozycyę żony przeszedł do gabinetu obok leżącego. Zapalił dobre cygaro i po wyjściu służącego zapytał spokojnie:

— Wolno wiedziéć, skąd depesza?

— Wuj Jasmund chory.

— Tak? Więc moje wiadomości były dobre — mówił z lekkiém zadowoleniem.

— Wyjeżdżam dziś—rzekła hrabina, nie zwracając uwagi na jego słowa.

— Ty?

— Tak jest... Przecież ty zajęty jesteś gospodarstwem, ja znów mogę wyjeżdżać każdéj chwili. Zbyt wielka troskliwość — kończyła ostrzegająco — jest tak samo złą, jak i nieuwaga.

— Kuryer do Warszawy — mówił tonem imponującym — odchodzi o 10 minut 30 w nocy.

— Będę na kolei. Ty uważaj na Bola.

— Dobrze... Depeszę o zdrowiu wuja mi przyślesz? — pytał z ukrytą prośbą.

— Naturalnie.

I oboje zamyślili się nad słabością wuja Jasmunda. Oboje starannie ukrywali przed sobą pragnienie śmierci wuja, takie przyznanie nie jest ani etyczne, ani estetyczne.

Jednakże majaczyły przed ich oczyma marzenia o wielkim spadku składającym się z dóbr, stadniny, fabryk i kapitałów.

I ona i Herta byłyby piérwsze w kraju, poszukiwane, cenione, wielbione; wzbudzałyby zazdrość kobiet, zabiegi mężczyzn.

On znów dałby uczuć swą władzę i wielkość tam, gdzie musiał być grzecznym i uprzejmym; hr. Skotackiego i jego klikę usunąłby bezwzględnie, stadninę prowadziłby sam, wyjechałby do Paryża, odświeżyłby wspomnienia, wstąpiłaby weń nowa krew, nowe życie.

Wszystkie popędy egoizmu ciasnego i zarozumiałego zagrały chórem, wszystkie tłumione pożądania wystąpiły jaskrawo i zwodniczo przy magiczném słowie: sukcesor! Z uśmiechem pobłażania popatrzył na filiżankę, piłby tylko ze sewrskiéj i starosaskiéj porcelany, cygaro wydało mu się złém, zrobił nawet ruch ręką, by je zdusić w popielniczce, ale powstrzymał się, rychło przyszła refleksya, odrzucił zwodnicze nadzieje i rzekł uprzejmie:

— Dam ci inne konie do dworca, twoje dziś chodziły.

— Byle z Gabryelem — odpowiedziała z naciskiem.

— Naturalnie. A wiész, jego odprawienie było plotką.

— Już ci wytłomaczył rządca — odezwała się z ironią.

— Nie widziałem go jeszcze — mówił spokojnie — koniuszy mi powiedział.

Umilkli. Po chwili hrabina wstała i wychodząc rzekła:

— Niepokoi mnie Bolo, pójdę do niego, zapewne doktór już jest?

— Przyślij mi tutaj doktora po wizycie.

Paląc cygaro i popijając kawę, myślał o chorobie wuja, o wyjeździe żony, o odłożeniu podróży z Hertą. Na razie najwięcéj zajęła go potrzeba wysłania żony nocą do dworca kolei. Naturalnie, dwóch konnych pojedzie z kagańcami, bo noce ciemne, ale teraz po wsiach pełne stodoły i toki, a przy suszy o pożar łatwo. I przypomniał sobie projekt swój przy czytaniu artykułu o elektryczności, w jakiejś gazecie angielskiéj. Gdyby odziedziczył po wuju, kazałby zrobić powóz z oświetleniem elektrycznem. W pudle powozu umieściłby maszynę elektryczną wysyłającą swój prąd do końca dyszla, tam umieszczona lampa elektryczna rozświecałaby wybornie całą drogę, również w powozie czy karecie byłoby światło dowolnego natężenia. I podobnie jak dawniéj, uśmiechnął się i teraz do téj swojéj myśli. Ponieważ ów rzekomy wynalazek przyszedł mu lekko, bez pracy, bez studyów, bez nauki, więc téż lekceważył uczonych. Co prawda, on był Rugiwojski, a ci uczeni, dopiéro przy sławie otrzymują jakie takie nazwisko, zazwyczaj źle brzmiące. Konstrukcya tego powozu przy-

szłości tak dalece go zajęła, że obudził go dopiéro głos kamerdynera meldującego doktora Bielańskiego.

— Niech tu wejdzie — brzmiał rozkaz

Po chwili wszedł do gabinetu niski mężyzna, z twarzą inteligentną, z uśmiechem dobrym na ustach, ocienionych ciemnym wąsem. Oczy piwne, bystre, żywe, w oprawie nazbyt okrągłéj z ciężkiemi powiekami, koncentrowały całą energią życia i pewności siebie. Wiedząc o śliskiéj posadzce salonów pańskich, stąpał po niéj ostrożnie. O ile jestem potrzebny, mawiał do najbliższych, o tyle mnie cenią, po za tém jestem dla nich niczém; w myśli jednak dodawał: ale oni czy chcą czy nie chcą, są stopniem w mém życiu materyalném, i zadowolony zacierał swe pulchne ręce. Postawiwszy tak kwestyę, cenił wysoko tę klientelę; znosił spokojnie przykrości, związane ze stanowiskiem doktora pałacowego.

Hrabia nie ruszając się z miejsca podał rękę doktorowi, wskazując głową wolne krzesło, zapytał:

— Cóż nowego, doktorze?

— Zdecydowanego nic nie ma. Może to niedyspozycya, a może coś się rozwinie. Zarządziłem odpowiednie środki, będę o szóstéj — odpowiedział tonem lekko urzędowym.

— Wię nic niebezpiecznego, mówisz doktorze? — dopytywał się hrabia.

— Nie wiem.

— A cóż pan wié? — zapytał hrabia z uśmiechem ironicznym.

Doktór zawahał się chwilkę i rzekł żartobliwie:

— Panie hrabio, o dzieciach i kobiétach nie można wiedziéć nic pewnego.

Hrabia odpowiedź przyjął łaskawie:

— Masz słuszność, doktorze, ale o Bolu dziś mnie zawiadomisz... Czy widziałeś doktorze, moje nowe konie — kończył ożywiając się.

— Słyszałem, ale nie miałem sposobności.

— Mówię ci doktorze, że chodzą w zaprzęgu jak lalki...

Doktór westchnął na znak żalu, iż nie widział tych koni.

Hrabia strząsając popiół z cygara rozsiadł się jeszcze wygodniéj i mówił:

— A Selim! Co to za koń! Czy uwierzysz doktorze, ani „Janczar", ani „Mars", ani „Mortimer", nie mogą mu dorównać w kłusie. Coś nadzwyczajnego!

Doktór aż syknął cichutko ze zdziwienia i rzekł:

— Chyba „Mira" dojdzie!?

— Mira? Mira? — drwił hrabia — ależ ona już na drugiéj wiorście zostaje w tyle.

— Czy podobna!? — zawołał doktór, patrząc niedowierzająco na hrabiego.

— Możemy zaraz spróbować z zegarkiem w ręku w ujeżdżalni — mówił hrabia ożywiając się. — Pójdziemy, dobrze?

Ostatnie zapytanie było tak zbliżone do rozkazu, że doktór wstając z krzesła wypowiedział z uśmiechem:

— Z największą przyjemnością. Zobaczymy!

Hrabia zadzwonił na lokaja, by mu przyniósł czapkę, zgasił cygaro, wstał zwolna z kanapki i rzuciwszy doktorowi słowo: chodźmy, szedł piérwszy najkrótszą drogą, przez salon jadalny, który posiadał drzwi parapetowe na dolną werendę. Nie minęli jeszcze salonu, gdy przez drzwi od kurytarza weszła miss Ellen i zobaczywszy doktora rzekła:

— Pani hrabina prosi pana doktora do pokoju Bola.

Hrabia stanął i zapytał:

— Cóż się tam stało?

— Pani hrabina kazała poprosić pana doktora.

— Idź doktorze — przemówił kwaśno hrabia.

Bolo blady leżał na swém łóżeczku. Twarz jego zmęczona, w sztucznem półcieniu pokoju odbijała się niewyraźnie na tle poduszki. W chwili wejścia doktora, matka siedziała przy łóżeczku z miną posępną i nic nie mówiąc wskazała Bola ruchem głowy. Doktór uśmiechając się do dziecka zbadał puls, opatrzył ciało i powiedział wesoło:

— Jutro Bolo zdrów będzie, ale owoców nie trzeba jeść.

Hrabina, która śledziła każdy ruch i słowa doktora, zapytała poważnie:

— Czy sądzi pan, że to tylko gastryczne?

— Zdaje mi się, że tak, zresztą zaczekam na wyraźne objawy choroby.

W téj chwili zapukano lekko do drzwi i weszła Herta. Na pytający wzrok matki odpowiedziała:

— Byłam tak niespokojna o Bola, że przyszłam zobaczyć.

— Doktór mnie uspokaja — rzekła hrabina — ale sam mówi, że należy czekać objawów choroby.

— Pozwoli mi mama tu zostać? — prosiła Herta.

— I owszem, zostań. A pana doktora poproszę, by zaczekał w bibliotece.

— Będę na usługi pani hrabiny — mówił doktór i skłoniwszy się głęboko, wyszedł.

Bolo leżał spokojnie; hrabina sądząc że uśnie, usunęła się wraz z Hertą w głąb pokoju i po chwili milczenia mówiła półgłosem:

— Depesza była od wuja Jasmunda, leży chory, należałoby jechać i chciałam, a tu Bolo słaby.

— Mama może jechać spokojna, dopilnuję go sama, i doktór i miss Ellen.

— Tylko nie ona, — mówiła z goryczą hrabina — to jéj wina; obchodzi się z dzieckiem niewłaściwie, i jak tylko przyjadę, zaraz ją odprawię.

— Zdawało mi się, że jest troskliwa i obowiązkowa — broniła Herta nieśmiało.

— Tak, w oczy, przy nas, ale opowiadano mi, że krzyczy na dziecko, a nawet ośmiela się stawiać do kąta, to oburzające, czyż nie wie, kto jest Bolo? — irytowała się hrabina.

Herta milczała.

— Boję się, żeby to nie było cóś mózgowego, on taki wrażliwy...

— Doktór powiedziałby przecież..- — uspakajała Herta.

Obiedwie spojrzały na dziecko, które patrzało na nie spokojnie i badawczo, jak dojrzały człowiek.

— Niepokoi mnie wuj Jasmund — zaczęła matka — pewno tam zjechali się krewni, ale wuj odczuje głęboko naszą nieobecność w chorobie, on wié jak go kochamy... Muszę jechać, chociaż nie darowałabym sobie, gdyby Bolo był seryo słaby.

— A gdyby ojciec pojechał? — ośmieliła się córka zaproponować.

Hrabina zacisnęła usta, zmarszczyła się, lecz odpowiedziała spokojnie:

— Ojciec?... Zapewne, tylko że ojciec nie będzie siedział przy wuju... zajmą go konie lub oburzy się na Skotackiego i wyjedzie... Czy nie znasz ojca?

— Ależ mamo — broniła córka — ojciec tak kocha wuja, że dużo zniesie dla niego.

— Kocha?.. Któżby nie kochał wuja Jasmunda, ale... to nie męska rzecz siedziéć przy chorym. I jeśli tylko Bolowi się polepszy, dziś jeszcze pojadę.

W téj chwili Bolo, zaczął się krztusić, krzywić i zawołał:

— Mamo!

Hrabina wstała i przystępując do łóżeczka powiedziała do miss Ellen:

— Doktór w bibliotece, proszę go zawołać!

Po uspokojeniu i ułożeniu dziecka, które zmęczone zdawało się usypiać, hrabina wraz doktorem wyszła, zostawiając Bola pod opieką Herty i bony.

Gdy doktór przy drzwiach do saloniku hrabiny, chciał ją pożegnać rzekła:

— Proszę pana na chwilę.

Usiadła na fotelu, białą, i delikatną ręką dotknęła swego czoła i lekko westchnąwszy mówiła:

— Siadaj pan, proszę, chciałabym się poradzić.

Doktór siadając, zapytał z wielką uprzejmością i współczuciem:

-- Co właściwie dolega pani hrabinie?

— Zwykłe rozdrażnienie, doktorze, lecz nie o mnie chodzi... Proszę mi powiedziéć szczerą prawdę, jak doktór znajduje Bola?

— Miałem już zaszczyt powiedziéć i powtarzam, że nic niebezpiecznego, zwykła niedyspozycya.

— Napewno nic mózgowego? — pytała niespokojnie.

— Ręczę, że nic — mówił doktór pewnym głosem.

— Pan daruje, że tak się dopytuję — mówiła ciszéj hrabina — ale straciłam już dwoje...

Doktór westchnąwszy, pochylił głowę, wiedział bowiem, że za jego poprzednika umarło dwoje dzieci hrabiostwu. Hrabina, wracając do swego zwykłego tonu spokojnego, mówiła daléj:

— Chcę jechać dzisiejszym kuryerem w sprawach familijnych, więc mogę być zupełnie spokojną o Bola?

— Najzupełniéj. Opieka miss Ellen i moja wystarczą.

— Liczę tylko na pana — powiedziała tonem przyjemnym,

— Rozumiem ten zaszczyt — mówił doktór pochylając głowę — i nie zawiodę zaufania.

— Uspokoiłeś mnie doktorze. Jadę — i skinęła lekko głową na znak pożegnania.

Doktór zajrzał do śpiącego Bola i szedł szukać hrabiego, by go zawiadomić o zdrowiu dziecka.

Kuryer odchodził z najbliższéj stacyi o godzinie 10 minut 30, a że z Wieszar było do dworca kolei wiorst dwadzieścia, więc hrabia rozkazał, by Łucya z nieodzownemi kuframi wyjechała wcześniéj; o godzinie 8 wieczorem stanęła przed pałacem kareta zaprzężona w piękną czwórkę gniadych koni. Dwóch konnych z pochodniami poprzedzało ekwipaż. W nocy bezksiężycowéj, długa aleja wjazdowa, wysadzona drzewami staremi, zdawała się ciemniejszą przy świetle kagańców, ostrém, czerwonawém, rzucającém w małym promieniu swe blaski na żółte i czerwonawe liście jesienne. Gra barw była tak żywa, że nawet

zobojętniały hrabia zwrócił swą uwagę, odprowadzając żonę. Kamerdyner hrabiny z umiejętną pokorą trzymał drzwiczki karety i zanim hrabia dokończył słów: — *Bon voyage*! — już on siedział na koźle, obok stangreta. Kareta z zapalonemi latarniami, poprzedzona kagańcami, wśród ciemnéj nocy, podobna była do świetlnéj gwiazdy, ulatującéj w czarne przestrzenie. Póki była widzialna, wpatrywali się w nią hrabia, Herta i doktór, a gdy znikła na zakręcie, rzekł hrabia:

— Chodź doktorze do mnie, pogadamy.

Głównemi drzwiami weszli do przedpokoju oświetlonego dwoma lampami, trzymanemi na halabardach przez manekiny, ubrane w naśladowaną zbroję średniowieczną Tuż przy drzwiach wiodących do kurytarzy, stał niedźwiedź wypchany i w dwóch przednich łapach trzymał przyrząd do zawieszania ubrań. Obok wielkiego niedźwiedzia patrzącego nieruchomo szklanemi oczyma i wyszczerzającego zęby, stał w chwili wejścia hrabiego, karzełek Paweł, pełniący obowiązki szwajcara pałacowego. Głowa wielka, nieforemna, była osadzona na tułowiu małém, przysadzistém z twarzą brzydką, pożółkłą z obwisłemi zmarszczkami, bez zarostu. Włosy ciemnawe, proste, robiły wrażenie przyklejonych, a uśmiech na szerokich ustach był zawsze złośliwy. Wzrost jego karzełkowaty, brzydota i niechęć do kobiet były przedmiotem dowcipów i śmiechów całéj służby pałacowéj z hr. Rugardem na czele, który nie opuścił sposobności zażartowania z karzełka i bawił się wybornie tak tanim kosztem. Karzeł ubrany z węgierska, w chwili gdy hrabia przechodził przez przedpokój, wystąpił z cienia i przytrzymywał swą małą rączką ciężką portyerę, zasłaniającą drzwi kurytarzowe. Hrabia pozwolił przejść Hercie i zatrzymując doktora rzekł:

— Szczęśliwy Pawełek, doktorze! Zaślubia téj niedzieli najpiękniejszą dziewczynę dworską, Zosię.

Doktór uśmiechnął się i zwracając się do karła, mówił:

— A winszuję! winszuję! Czemuż mnie Paweł nie zaprosił na swój ślub?

— On sam chce być panem młodym — odezwał się hrabia dwuznacznie.

Karzeł poczerwieniał i zaskrzeczał bezdźwięcznie:

— Z kobiétami, prócz urodzenia, nic wspólnego nie miałem i nie mam.

— Miałeś przecież mamkę! — zawołał rozweselony hrabia.

— Krowę, nie mamkę, dzięki Bogu — odpowiedział krzywiąc się zabawnie.

— Sprytny, choć mały —rzekł hrabia opuszczając przedpokój. — Lubię go — mówił w kurytarzu do doktora — jak małpę sprytną, zło-

śliwą, ale gadającą, i gdyby umiał pisać, zrobiłbym go rządcą, nie przebaczyłby nikomu.

I z temi słowy otworzył drzwi do swoich pokojów, znajdujących się na parterze tuż pod pokojami żony i połączonych z jéj apartamentem skrytemi schodami. Weszli do gabinetu.

Pokój ten o trzech oknach, odznaczał się surowością umeblowania. Prócz biurka wysuniętego na środek pokoju, stojącego na wielkim dywanie, stołu pod oknem, czterech foteli i szezlongu wygodnego, były dwie wielkie mahoniowe szafy, ładnie rzeźbione, mieszczące archiwa gospodarcze. Tam składał hrabia raporta i rachunki tak Wieszar z folwarkami, jako téż litewskich dóbr, wziętych w posagu za żoną. Meble staroświeckie, ciężkie, wydawały się wrośniętemi do miejsca. Ściany prócz portyer dywanowych nad drzwiami i oknami były ozdobione obrazami, z których się wyróżniał portret wuja Jasmunda, portrety żony i dzieci, i obraz historyczny, przedstawiający jednego z Rugiwojskich w chwili otrzymania buławy hetmańskiéj na polu bitwy. Z gabinetu wiał chłód surowości posępnéj, powagi uroczystéj i pracy obowiązkowéj, liczącéj czas na godziny przymusu.

Hrabia usiadł na wygodnym fotelu przed biurkiem, wskazał doktorowi drugi fotel i rozpoczął gawędę o sąsiadach, których znał z kościoła, jarmarków, polowań, a doktór bywał u nich z powodu swego zajęcia.

— Dziś był doskonały dzień — rzekł hrabia — do wypróbowania koni, ani gorący, ani słotny.

— Istotnie mamy bardzo sprzyjającą pogodę, — mówił doktór zapalając papierosa, — Wieszary są i tak piękne, a przy pogodzie zyskują. Są wprost cudowne ze swym pałacem i parkiem.

— Wieszary? Wieszary? uśmiechał się hrabia ironicznie — naprawdę powinny się zwać Konary, gdyż z całego dębu przyszło Rugiwojskim siąść na tych konarach, a resztę obsiadły... grzyby...

— To szczęście, że nie jadowite — zażartował doktór.

— Ale zawsze grzyby — mówił hrabia wzgardliwie. — Jeszcze tak zwana szlachta, synowie komisarzy, ekonomów, pisarzów, wiedzą, gdzie porośli w pierze; ale te półpanki czy półgłówki...

— Takich jest mało, bardzo mało — odpowiedział doktór z namysłem.

— Mało?... Mam przecież pod bokiem jednego. Nie byłeś doktorze u hrabiego Chlewańskiego? — pytał hrabia, podkreślając drwiąco tytuł.

— Nie wrócili jeszcze z wód — brzmiała odpowiedź.

— Żadne wody nie pomogą na pozbycie się perfumy hrabiów Chlewańskich, to wrodzone — mówił hr. Rugard. Doktór śmiał się serdecznie, jakkolwiek słyszał ten dowcip kilkakrotnie o hr. Chowańskim, sąsiedzie Wieszar, rywalizującym z hr. Rugardem pod względem mieszkania, służby, stajni. Zbyt dobrym politykiem był doktór, by się nie śmiał z dowcipu, a nadto ostrożnym, by powtórzył zmianę nazwiska wobec hrabiego, bo wolno Rugiwojskiemu drwić z hr. Chowańskiego, ale nie doktorowi. To téż rzekł z uśmiechem:

— Dowcip pana hrabiego, jest tak gryzący, że wkrótce zniknie tytuł, a bodaj czy nie nazwisko pana Chowańskiego.

— Nie życzę nikomu nic złego—mówił hr. poważnie—więc i temu panu, ale—tu uśmiechnął się—zabawny jest ze swojem pięciem się.

— Po śliskim słupie — dorzucił doktór.

— Nie tyle śliskim ile wysokim. I trzeba ciężkiéj pracy, wielkiej zasługi, by stać się godnym zaszczytu — kończył hrabia z namaszczeniem.

— Słowa pana hrabiego — rozczulał się doktór — są prawdziwe i piękne; mają w sobie coś, co przypomina nasze dobre, dawne tradycye.

— Tylko te nam zostały — westchnął hrabia.

— I Rugiwojscy — dodał doktór, pochylając głowę.

— W Konarach — uzupełnił hrabia z ironią. Po chwili zapytał: — a u Niemoskich zawsze karteczki?

— Bawią się, jak umieją.

— Nie lubię kart — rzekł hrabia z miną obrzydzenia — to dobra zabawa dla idyotów. Są rzeczy lepsze...

— *Wein, Weib und Gesang*, jak mówi walc — podchwycił doktór.

— Nie dla mnie — odparł hrabia poważnie. — Wino lubię tylko w towarzystwie, a tu na kresach go nie ma; kobiéty z temperamentem ujdą czasem, a śpiewu nie lubię.

— Tylko konie? — udał ździwienie doktór.

— Wolę od ludzi, są przynajmniéj pożyteczne.

— Pan hrabia dziś surowy — mówił doktór zapalając drugi papieros.

— Zirytował mnie dziś ten rządca — rzekł z miną kwaśną hrabia. — Zadużo sobie pozwala. Dziś go odprawiam — tu spojrzał na list przygotowany. — Czy nie wiész, doktorze, o jakim dobrym gospodarzu?

Doktór myślał chwilę i uderzając ręką w oparcie fotelu zawołał nagle:

— Mam! Gospodarz wyborny, był w dobréj szkole gospodarskiéj, cichy, spokojny i bez fantazyi.

— Nazwisko?

— Bołsunowski. Obecnie ma małą dzierżawę i może natychmiast objąć obowiązek, bo traci i krucho z nim.

— Znasz go doktorze dobrze? — dopytywał się hrabia.

— Bywam wprawdzie rzadko, ale mogę ręczyć za jego uczciwość. Nie geniusz to, ale rozsądny człowiek, energiczny gospodarz i wykonawca—zachwalał doktór.

— Mógłbyś się podjąć pośrednictwa?

— Jeśli pan hrabia mi zaufa...

— Daję 800 rubli i 30 korcy ziarna, dom, ogród i opał... Obowiązki znane ci doktorze; ja rządzę, on słucha, to pierwsze i jedyne przykazanie.

— Nie kłam, to drugie — zaśmiał się doktór.

— Nie kradnij, to trzecie i ostatnie. Niech przyjedzie, zobaczę go, pomówię i zdecyduję.

— Jutro będę u Bołsunowskiego—mówił doktór z gotowością — i jestem pewny, że pan hrabia znajdzie go możliwym.

— Służbę może objąć chociażby pojutrze. A jeszcze jedno, żonaty czy kawaler?... Kawalera nie chcę, ma mało do stracenia, to też i dba mało...

— Ale on żonaty i ma dwie córki—zawołał doktór zadowolony.

— Dorosłe?... No i tego nie lubię, zaraz bale, zabawy, tańce...

— Jedna 18 lat, ładna dziewczyna, druga to dziecko, ale obie uczą się jeszcze w domu...

— Hm... zobaczymy... zobaczymy...

W tém zapukano do drzwi i wszedł kamerdyner Ernest, oznajmiając o przebudzeniu się hrabicza Bola.

W pokoju dziecinnym zastał hrabia i doktór, Hertę i miss Ellen starające się zabawić rozbudzone i kapryśne dziecko.

— Gorączka się zmniejszyła — rzekł doktór po chwili badania — puls normalny.

Herta ucieszyła się wiadomością i zwracając się do doktora mówiła:

— Bolo chce zabawek, a co mu dać, znudzi go prędko. Chce coś zjeść, czy mu wolno?

— Coś lekkiego można — odpowiedział doktór i zwracając się do dziecka pytał: — Zabawki nudzą Bola? Czegóż chce Bolo?

— Konia, ale żywego! — zawołało dziecko.

Hrabia rad z zażądania syna, powiedział z uśmiechem:

— Jutro wstaniesz i zobaczysz twego kuca.

— A teraz nie można? — prosił Bolo.

— Dzisiaj musi Bolo leżéć w łóżeczku — rzekł doktór.

— Kiedy ja się nudzę...

— Miss Ellen opowié ci ładną bajkę — pocieszał doktór.

— Ja nie chcę miss Ellen, niech mi Herta opowié...

— Czy bajka nie zanadto go zmęczy? — troszczyła się Herta.

— Bolo już zdrów i może słuchać — odpowiedział doktór.

— Opowiadaj Herto — wołał dzieciak — ale zaraz niech ojciec posłucha i doktór, twoje bajki są bardzo ładne...

— Niech Bolo będzie grzeczny — rzekł ojciec surowo. — Herta opowié ci bajkę, ale my pójdziemy.

W oczach dziecka zabłysły łzy, Herta szybko nachyliła się ku niemu i gładząc jego miękkie blond włosy szepnęła:

— Cicho, cicho Boleczku, opowiem ci długą bajkę.

— Najdłuższą...

— Dobrze, tylko nie płacz, wstydź się, taki wielki chłopiec.

Po wyjściu ojca i doktora, Herta przyćmiła lampę, pozwoliła miss Ellen wyjść do pobocznego pokoju, usiadła na foteliku obok łóżeczka i zaczęła swą bajkę:

— Daleko, daleko, tam kędy sinieje morze, a wysokie fale z wielkim szumem i białą pianą uderzają o czarne granitowe skały jest wyspa, zielona jak wiosna, bogata jak korona królewska, silna jak lew na straży. Tam, na wysokiéj skale stał zamek, który urągał wiatrom i burzom, i patrzył daleko na sine morze, na krawędzie nieba, kędy wschodziło i zachodziło słońce. Zamek ten dzierżyli olbrzymi; ich była wyspa i cały kraj dokoła. Tu mieszkali od wieków, tu były grobowce kamienne, tak wielkie, że dzisiaj stu ludzi nie dźwignie tych płyt kamiennych. I przypłynęli karły, kawałkami rwali skały, szarpali okruchami, ale olbrzymi nie zważali na robotę karłów, bo przecież jeden olbrzym pokona stu karłów, i siedzieli spokojnie na wysokim zamku. Aż przyszedł dzień i zachwiał się cały zamek. Poznali olbrzymi, że już im ginąć trzeba. Więc wzięli największe płyty, uczynili wielki grobowiec i tam weszli gromadnie z żonami i dziećmi, by nic już po nich, prócz grobów, nie zostało. Lecz żona króla olbrzymów miała córeczkę malutką, którą bardzo kochała, i nie mogła przenieść myśli o śmierci tego dziecka, więc nim dzień zguby zaświtał, wybiegła nocą i w koszyku puściła dziecko na morze. A morze, które tyle wieków patrzyło na moc i panowanie olbrzymów, które teraz widziało ich upadek i zagładę, utuliło dziécię i niosło daleko ku brzegom.

Tam napotkał je rybak, a że dzieci nie miał, ucieszył się bardzo i zaniósł dziecko swéj żonie. Ona nazwała ją Hertą. Dziecko rosło i rosło, tak piękne, dumne i odważne, że wprawiało wszystkich w podziw. Nie wiedzieli bowiem, że to królewska córka i ostatnia z rodu. Była dobrą, posłuszną, kochała rybaków, a nadewszystko morze. Całemi godzinami stała na wybrzeżu, rozpuściła włosy swe złote na wiatr i kładła rękę na falach, które biegnąc po piasku roztrącały się u stóp jéj cicho i bez szelestu, jakby uszczęśliwione jéj pieszczotą i znów wracały do zielonego morza, opowiadając o Hercie innym falom.

Panował tam wówczas młody król Jasmund, silny jak tur, łagodny jak łania, smukły jak jeleń. Oczy jego, gdy się zapaliły gniewem, błyszczały złowrogo jak u rysia i najśmielsi drżeli, lecz gdy się uśmiechnął, to tak, jakby promień słońca rozdarł chmurę i wpadł na ziemię, tak on rozweselał wszystkich. Jednak miał zawistnych i chytrych wrogów między swymi rycerzami i gdy po wyprawie ucztował, kazał nalewać w puhary złote wino, podsunęli mu truciznę taką, że od niéj mgła ciemna, nieprzejrzana, padła na oczy. Nie śmieli go bowiem zabijać, bo kochał go lud i bali się zemsty. Od téj chwili Jasmund nie widział ani słońca jasnego, ani borów zielonych, ani błysku miecza swego. Zamknął się więc w wysokiéj wieży i rozesłał wiernych rycerzy po kraju, by szukali takiego, coby go uleczył.

Usłyszała o tém Herta, i marząc o tym pięknym, nieszczęśliwym królu, patrzała na słońce, które łagodnie kładło się do morza na swe złote i koralowe łoże. Herta pieściła falę za falą, które podpływały dziś częściéj niż zazwyczaj i zasnęła nad morzem. Śniła o młodym królu, o jego ślepocie, a morze zwolna tak się zbliżyło do niéj, że fale mogły jéj powierzyć swą tajemnicę, iż za górą, pod kamieniem jest woda, która uleczy króla. Herta, przerażona szeptem, zerwała się i spojrzała na morze, ale morze szumiało i śpiewało jak zazwyczaj.

Szła tedy Herta do tego źródła, nabrała w dzban téj wody i przyszła do króla. Wrogi nie chcieli jéj puścić, lecz widząc w niéj tylko rybacką dziewczynę z dzbankiem wody, puścili. Gdy zobaczyła młodego króla, którego włosy miały blask słońca, usta były jak róże, a taki był smutny i nieszczęśliwy, zapłakała Herta i obmyła mu oczy. Jasmund ujrzał ją i pokochał. Ukarali niewiernych rycerzy, ale król nie chciał dłużéj panować nad tym krajem, zebrał wiernych i wraz z Hertą popłynął daleko morzem i rzekami na wielkie urodzajne pola i niwy. Herta jednak tęskniła za morzem i gdy Jasmund był na dalekiéj wyprawie, porzuciła ona zamek i złoto, i syna jedynaka, i popłynęła sama na łódce do morza. A morze ucieszone pochwyciło Hertę, skryło ją głęboko, głęboko i nikt, już nigdy nie widział Herty.

Bolo słuchał opowieści z wielką uwagą, a gdy się skończyła, zawołał:

— Brzydkie morze, dlaczego ją zabrało?

— Bo kochało ją.

— A ty Herto kochasz morze?

— Kocha się tylko Boga i ludzi, ale bardzo lubię morze.

— A co się stało z Jasmundem i synem?

— Żyli długo, panowali, byli sławni, bogaci...

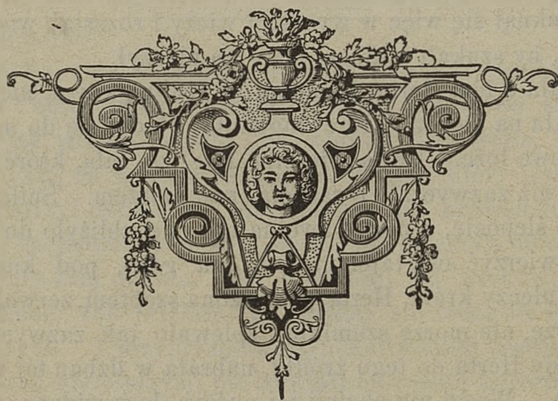
— Aż przyszli karły i ich zwyciężyli—przerwał Bolo.

— Nie, przecież ojciec i mama żyją...

— A jak przyjdą karły? — pytał Bolo uporczywie.

— Zwyciężymy!

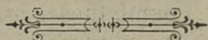
(*D. c. n.*) *Artur Gruszecki.*



Uwagi o „MARYI STUART”

SŁOWACKIEGO

w przedstawieniu prof. Małeckiego.



Siostrze méj ofiaruję.

I.

Wiem, że daję dowód wielkiéj odwagi, ba, nawet zuchwałości biorąc do ręki pióro po A. Małeckim, dla rozbioru „Maryi Stuart”. Czytelnik, spojrzawszy na tytuł, pomyśli sobie: Utwór Słowackiego od tak dawna powszechnie znany, czyżby aż dotąd oczekiwał należytéj oceny? A zresztą, młodsze to dziecko muzy Słowackiego nie jest policzone między dzieła, które wciąż przykuwają do siebie uwagę, odkrywają coraz nowsze a dalsze widnokręgi. Pocóż tedy omawiać to, co wielokrotnie już było omawiane?

Odważyłem się jednak podjąć nanowo rozbiór krytyczny wydatniejszych postaci dramatu i wejrzéć jednocześnie głębiéj w samą jego osnowę. Przecież dzieło naszego poety nietylko było w ręku szerokiego koła czytelników, ale téż i będzie w ich ręku. Mimo wszelkie zarzuty dramat utrzymuje się na scenie, posiada zatém pewien tytuł do ściągania na siebie krytycznéj uwagi. Zachęca mnie również następująca okoliczność.

W ciągu pracy zauważyłem, że wnioski moje zgadzają się z wynikami, jakie na innéj drodze poczynił p. Hahn w rozprawie swéj, zamieszczonéj w lutowym zeszycie „Ateneum" z roku 1894 („Przyczynek do genezy Maryi Stuart"). A nadto... słowo Małeckiego w stosunku do poety, któremu tak piękny pomnik postawił, bywa dotychczas bardzo często uważane za wyrocznię. Najlepszy tego dowód mamy na Spasowiczu, który idzie za biografem poety. Ale czyż wszystkie wnioski znakomitego krytyka zawsze mają równą wartość? Czyż żaden z nich nigdy nie może ulec sprostowaniu? Nie znajdzie się ani jeden zbyt pośpieszny? [1]).

Zresztą, nie jest mym zamiarem poddawać w wątpliwość całości poglądów p. Małeckiego, o ile one dotyczą „Maryi Stuart". Osnowę zaś tych poglądów rozumiem w następujący sposób.

Rzeczony utwór, mimo swéj nazwy, nie jest zgoła dramatem „historycznym". Poeta nie wyzyskał tła dziejowego, zlekka zaznaczonego w scenie wstępnéj. Warunki, które popchnęły królowę Szkocyi do upadku, nie tkwią bynajmniej w okolicznościach czasu. W utworze podjęto zagadnienie całkiem psychologiczne. Pierwotne przyczyny zbrodni i zguby złożone są w osobowości lekkomyślnéj kobiety, porwanéj wirem wypadków i namiętności osobistych. Dwa główne zarzuty uczynić można wykonaniu podjętego zadania. Pierwszy—to pominięcie etycznych względów dla osiągnięcia silnych poetyckich wrażeń: poeta nie umiał osłonić Maryi przed odrazą, jaką wzbudzają jéj zbrodnie, za pomocą współczucia, wywołanego w czytelniku, nie umiał stworzyć i utrzymać w widzach wiary w lepszą cząstkę jéj serca. Dru-

---

[1]) Rozbiór „Balladyny" np. można uważać za całkowicie chybiony. Daje on szerokie pole do przeciw-krytyki. Lecz dla rozwinięcia téj myśli wypadałoby chyba poświęcić artykuł. Dla przykładu tedy obiorę drobniejszy szczegół. W Lambrze jest mowa, iż na wygnanie towarzyszył bohaterowi „ktoś drugi", co przy nim giermka podjął się usługi. Kto to był taki? — może odgadniecie?" Oczywiście jest to sam śpiewak, który przed chwilą mówi o sobie: „Widziałem walkę, widziałem to błonie, gdzie siła naszych rycerzy poległa. Ja byłem dzieckiem i patrzałem z chaty." A nasz krytyk każe się błąkać w przebraniu męskiém kochance bohatera, z którą się spotykamy dopiéro w dalszym ciągu opowiadnia. Aby zaś wytłómaczyć fakt wkradania się Idy na okręt korsarza, prof. Małecki przypuszcza, iż ona „od pewnego czasu" już nie dzieliła losów Lambra. Lecz o tém ani wzmianki w poemacie. W następstwie tego *qui pro quo* z paziem, krytyk nie nie może dojrzéć niekonsekwencyi, któréj się dopuszcza poeta: długoletni przyjaciel wodza daje się najprzód przekupić, jako zwykły najemnik; daléj, widząc okropne skutki swego wiarołomstwa, myśli jedynie o ucieczce, nie zapominając o worze złota... Gdzie patryotyczne pobudki, które go pchnęły na ścieżki tułacze, gdzie uczucie przywiązania?

gi zarzut dotyczy wadliwości przeprowadzenia kompozycyi. Nim słuszność jego sprawdzimy, chciałbym uprzednio zwrócić uwagę czytelnika na inny, niemniejszéj wagi szczegół.

II.

W pierwszym okresie swéj twórczości poeta nasz pozostawał pod wpływem Byrona; jego bohaterowie są odbiciem Lary, Korsarza i t. p. demonicznych typów. Jeden z bohaterów „Maryi Stuart" — Botwel, posiada pewne znamiona, łączące go z innemi bajroniczno-demonicznemi postaciami, występującemi we wcześniejszych utworach Juliusza, jak „Mindowe", „Arab", „Żmija". Ta okoliczność pozwala omawiany przez nas obecnie dramat wliczyć do téj saméj kategoryi dzieł poety, do jakiéj należą pomienione utwory. Czyni to prof. Małecki, a za nim Wł. Spasowicz. Jak wiadomo, upodobaniem Słowackiego do typów demonicznych, krytyk jego tłómaczy niepowodzenie pierwszych tomików jego poezyi. Społeczeństwo polskie—mówi on—nie mogło zrozumiéć pierwiastków buntów, przekleństwa i t. d., uosobionych w bohaterach poety; nie mogło pojąć, o co chodzi właściwie i samemu poecie, i postaciom przez niego stworzonym... Otóż należy sprawdzić, o ile słuszną jest rzeczą przykładanie ogólnéj miary — demonizmu bohatera — do „Maryi Stuart". Albowiem, jeżeli jest prawdą, że dramat ów jest tylko jednym z objawów tego nieszczęśliwego usposobienia Słowackiego, w pierwszéj chwili jego wystąpienia na szerszą widownię, jeżeli jest prawdą, że w utworze tym najwyraźniéj i najgłośniéj słyszéć się daje dźwięk téj saméj struny, wciąż targanéj przez poetę, a wydającéj, niemiły i zagadkowy dla ogółu głos,— w takim razie byłoby to rzeczą naturalną, że „Marya Stuart" uległa wspólnemu losowi innych dzieł Słowackiego. Jeżeliby znowu znamiona t. zw. bajronizmu, leżały tylko lekkim pokostem na osobie kochanka Maryi, poetyckich grzechów dramatu należałoby szukać gdzieindziéj. Dlatego za wstęp do dalszych uwag obrałem postać Botwela. Posłuchajmy, w jaki sposób przedstawia nam wspólnika Maryi Spasowicz „Do typu wcielonych demonów należą także: Mindowe czyli Mendog i Botwel — w „Maryi Stuart", dwa pod względem przewrotności pokrewne sobie charaktery" („Dz. Lit. Pol.", wyd. 91 r., str. 377). Mniéj więcéj w ten sam sposób przemawia również Małecki: „Jeden z tych typów bajrońskich, nigdy niezadowolonych z niczego...." W objęciach zbrodniczego kochanka, przed którego tajemniczą istotą i sama

się wzdryga" i t. p. Gdzieindziéj Botwel ukazuje się „jakby napiętnowanym cechą potępienia na czole".

W ten sposób uprzedzeni, przypatrzmy się teraz naszemu bohaterowi, jakim on jest nie według swych słów, lecz w postępkach swych, i rozważmy pobudki jego działań. Na początku III-go aktu zastajemy go pod oknami królowéj, która bawi się właśnie w licznéem kole dworskiego otoczenia. Nasz rycerz ma w piersi całe piekło ambitnych chęci, trawi go niemożność natychmiastowego ich urzeczywistnienia. W przyszłości świeci mu zwodniczym blaskiem korona. Ale czy naprawdę znajdzie się kiedykolwiek na jego czole? Tu wątpliwość ogniem pali mu skroń.

....jam płocho marzeniom zawierzył,
Czyliż na krok jeden zbliżyłem się do tronu.

Tymczasem, jak chciwy żebrak, z zawiścią i upokorzeniem spogląda na spływające z okien światło, widzi niewyraźne zarysy postaci. A tym, co się tam cisną, wolno być blisko słońca, które go do siebie podniéść może, on tylko pominięty, zapomniany:

.....Oto na tym dworze
Tłum zalotników, pełen nadziei, zapału,
Ja jak nędzarz u progu... okna oświecone,
Cień się jakiś przesuwa po szybach kryształu—
Tak, to ona, królowa! poznałem koronę...
Bliżéj, bliżéj — o nieba! już mi sił nie stanie,
W oczach się snują dziwne gorączki kolory.

Zdaje mi się, że w tym charakterze, jak nam tu odkrywa, nie ma nic zagadkowego, nic tajemniczego. Czatujący pod oknami awanturnik o włos nie jest wyższy od zgrai dworaków, w téj właśnie chwili nadskakujących królowéj. Przenosi on ich tylko zuchwałością zamiarów. Jak daleką jest od niego wyniosłość i dumna pogarda Lary, Korsarza, Lambra, Mindowego, Żmii, Bieleckiego! który z nich tak chciwie wyciągał rękę po szych, który tak płaszczył się, takie wydobywał z siebie skomlenie psa zgłodniałego?

Nic téż dziwnego, że podobny człowiek nie wzdrygnie się przed żadną koniecznością, a wszystko złoży na ołtarzu marzonéj wielkości, i nie drogą cenę zapłaci, bo ta zapłata nie wiele go kosztować będzie. Prosi swéj gwiazdy, by mu przyświecała.

„Może krew na téj drodze, świéć — krwi się nie boję."

Poznaliśmy wytknięty sobie przez Botwela cel i drogę, którą podążać ma, zobaczymy, czy z niéj zboczy?

Natrafiwszy na dogodną dla siebie chwilę, gdy uczucia niechęci, a nawet nienawiści względem męża, doszły w sercu znieważonéj Maryi do najwyższego stopnia napięcia, — na chwilę, gdy królowa wskazuje mu w perspektywie swą miłość i koronę za cenę śmierci Henryka, Botwel odrazu czuje się panem położenia. Powtarza ostatnie słowa królowéj:

„On żyje jeszcze? W dobrą trafiłem godzinę,
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie,
Myśl zemsty w niéj ukrytą jako kwiat rozwinę;
Piękny kwiat, choć zatrute owoce wyradza,
Teraz chyba szatana wyrwie mi ją władza!
Serce się moje kobiet łzami nie rozczula...
Chce, żebym myśl jéj odgadł? nie, ja nie rozumiem!
Aż mi powié: Botwelu! zabij! zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać — nie umiem."

Jaki to zimny, pewny siebie człowiek! A przed chwilą głodna żądza przyśpieszała mu oddech, słowa z trudnością się przeciskały przez usta, spazmem chciwości skręcone.

Wyraźne wspólnictwo królowéj w zbrodni odda w ręce dzielnego rycerza władzę nad występną kobiétą, a wtedy korona już go nie minie. Nie daje tedy zagasnąć w sercu małżonki Darnleja uczuciom znieważonéj dumy i zemsty, znajduje coraz nowy powód do jątrzenia rany, a nadewszystko domaga się zdarcia wszelkiéj zasłony między myślą a czynem. Niech powié głośno — zabij!

Zrozpaczona niedomyślnością kochanka, Marya już kończy westchnieniem:

„.....Zniknęła nadzieja,
On mnie nie pojmie, ja się wyrzec nie ośmielę."

Lecz wtedy przewrotny kusiciel rzuca na szalę swą groźbę oddalenia się..., a za przyczynę podaje przykład Rizzia: los nieszczęsnego harfiarza poucza, że niebezpiecznie jest zanadto zbliżać się do téj, która tylko z imienia jest władczynią Szkotów...

Stanowcze słowo wyrwane wreszcie z ust obłąkanéj... Król ma zginąć... Ale Botwelowi nie dosyć tego upokorzenia. Daje swéj wspólniczce truciznę dla Henryka pod pozorem usypiającego napoju...

Od końca aktu III-go i przez dwa następne, Botwel wytrwale i konsekwentnie dąży do zamierzonego kresu — przykucia do siebie Maryi za pomocą występku, bo „serca zbrodnią skalane nie boją się zbrodni"—sama krwią zmazana nie odepchnie jego krwawéj ręki.

Takim jest kochanek królowéj w swych czynach. Przywykliśmy w bohaterach „demonicznego" typu widziéć jakiś wewnętrzny niepo-

kój, popychający ich do zbrodni, z którego sami sobie sprawy zdać nie umieją. Można sądzić, że występek pociąga ich ku sobie jakimś szczególnym, właściwym sobie czarem. Widok ran zadawanych, zda się, dostarcza im jakiéjś rozkoszy, połączonéj z męczarnią, z wyrzutem sumienia. Zniszczenie i pustka, którą sieją dokoła, jest jakby wynikiem i wyrazem uczuwanéj czczości życia. Obiérając sobie jakiś cel określony, nigdy nie są pewni, czy cel ów godzien podjętych wysiłków. Nic podobnego nie widzimy w Botwelu od chwili, gdy zapragnął korony za jakąbądź cenę. Wié on bardzo dobrze, czego chce, zbrodnia go nie nęci, lecz i nie odpycha, wahań ani śladu. Jest to postać tak doskonale skończona, przejrzysta, że w umyśle czytelnika nie pozostawia żadnéj wątpliwości, co do sprężyn swojego postępowania. Są one należycie oświetlone i uwydatnione. A mniejsza o zamiar autora, — mówię o wrażeniu, którego doznaje czytelnik. I jeżeli ten człowiek może mieć jakieś uroszczenie do poetycznéj aureoli, równeż prawa do niéj posiada każdy zbój, wkradający się oknem do pokoju, a z nożem w ręku, by ugodzić tego, ktoby mu stanął na drodze; każdy złodziéj, gdy wchodzi w układy ze służbą... Przecież i oni buntują się przeciw społeczeństwu.

III.

Upada tedy sam przez się główny zarzut, skierowany przeciw wcześniejszym utworom Słowackiego, a mianowicie: „Nie wiadomo, o co poecie chodzi.” Upada, powiadam, przynajmniéj co do postaci „demonicznego bohatera.”

Nie było to jednak zamiarem poety stworzenie niezłożonego charakteru, jakim się okazał w ostatecznym wypadku nasz rycerz. Zamierzał go on ubrać w ulubione swe posępne barwy duchów niespokojnych, cierpiących, potępionych. Lecz na umysł czytelnika głębsze wywierają wrażenie nie szaty skradzione, nie słowa, lecz czyny.

Poraz pierwszy ukazuje się oczom naszym Botwel w drugim akcie u astrologa. Wystąpienie to nie jest umotywowane, przykład nie jedyny w dramacie. Botwel nosi się z myślą samobójstwa, więc się sam dziwi temu, co go zapędziło w progi starca.

„Czemuż wszedłem w te progi? Muszę być szalony!
Obaczyć przyszłość? Zajrzéć w dno prawdy kielicha?
Przyszłości mi nie kryją nadziei zasłony...“

Po długich rozmyślaniach o tém, co może go czekać z tamtéj strony grobu, przychodzi wreszcie do najsłuszniéjszego wniosku:

„I czego tu przyszedłem? tak—wrócę się—wrócę“,

aż tu całkiem niespodzianie i wcale nierozsądnie dodaje:

„Nie, już się stało, tak jest—stało się, zostanę“.

Poeta chciał wprowadzić Botwela na widownię z bardzo ważnego względu dla dalszego rozwoju wypadków. Astrolog, wskazując mu tron w przyszłości, ułatwia przez to zbliżenie się jego do kochającéj go królowéj. Dążenie do włożenia na swe skronie korony — ze strony Botwela, w połączeniu z różnorodnemi uczuciami, miotającemi Maryą, sprowadza wszystkie następne powikłania dramatu. Astrolog wobec Botwela odgrywa rolę czarownic wobec Makbeta. Przepowiednia, z gwiazd wyczytana, zatrzymuje rycerza przed rzuceniem się w otchłań nicości. „Zatrzymał mnie ten starzec nad przepaścią zgonu.“ Czy dla dalszego rozwoju wydarzeń potrzebny był ten szczegół samobójczego zamiaru? Nie. Nie wiąże się on w jeden łańcuch z późniejszemi postępkami nieprzebierającego w środkach człowieka. Owszem, do określenia jego osobistości, wprowadza pewien sprzeczny rys. Gdy mu rzucają to magiczne słowo: Będziesz królem! nie odrazu daje się on uwieść ułudom wielkości. I nie dlatego, żeby nie uwierzył temu, kto mu taką nowinę zwiastuje! Nie! Oto wobec otwierającéj się przed nim perspektywy — nieolśniony przyszłém wyniesieniem, znajduje on w sobie tyle filozoficznego spokoju, że jest zdolny ważyć w umyśle względną wartość dostojeństwa królewskiego i cichości grobu.

„Będę królem... Kląć ciebie? Czy dziękować tobie?
Nie wiem, powiédz mi starcze, powiédz, czy na tronie
Spokojniéj jest niż w grobie? ten wszystko pochłonie,
Może późniejsze życie gorzki owoc wyda?
I pocóż, pocóż ścigać tak znikomą marę.“

Jakież to przyczyny wtrąciły w takie zniechęcenie, wyniszczyły żądzę życia w młodym, pełnym sił i nadziei, świetnym rycerzu? Te są pozostawione w cieniu.

„Widzisz mnie, astrologu, na wybladłéj twarzy
Gorzki uśmiéch i wzgarda, nie patrz, co jest we mnie.
Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jest to sytość życia,
Gorące serce wrzało we mnie od powicia,
Teraz jestem znużony — zimny — umrzéć muszę.“

A zatém widzimy tu przed sobą człowieka tak zmęczonego życiem, starganego cierpieniem, że z tęsknotą i z upragnieniem, z uśmie-

chem błogości wewnętrznéj zbliża się do rozwartéj przed nim otchłani mogilnéj „śmierć nie jest straszna”.

Jakże teraz wytłómaczymy sobie to nagłe przeistoczenie się Botwela-samotnika, który „tajemniczy miał smutek wyryty na czole”, Botwela, goniącego sentymentalnie różę, wypadłą z włosów królowéj, w Botwela-srogiego, ambitnego okrutnika?

Mamy tu jakby przełamanie osobistości na dwoje, widzimy raczéj dwu różnych ludzi. Jeden z nich powiada o sobie: „nie zniszczyły mnie zbrodnie” Drugi śmiało depce po trupach: „może krew na téj drodze? krwi się nie boję”. Do jednego śmierć miłosne wyciąga ramiona, drugi cały wypełniony jest brutalną żądzą życia. Bo czyż ten drugi choć raz, raz jedyny, zadał sobie pełne niepokoju pytanie: Po co mi to wszystko? A powinien był być przyzwyczajony do pytań takiego rodzaju — jeżeli to ten sam człowiek przemawiał tak gorzko w akcie drugim: syt jestem życia.

Z tego wszystkiego wolno nam uczynić następujący wniosek: Botwel miał być typem demonicznym, lecz nie utrzymał się na téj wysokości (jeżeli to jest wysokość) wbrew chęci autora. Natomiast zyskał na jasności charakteru i roli, w któréj występuje. Nadmienić też wypada, że ten drugi Botwel — z aktu III-go i następnych — sympatyi autora nie posiada. Został on żywcem przeniesiony z tragedyi Alfierego, gdy tymczasem Botwela drugiego aktu wymarzył sam poeta. Twierdzenie co do genezy postaci kochanka Maryi można uważać za dowiedzione po rozprawie p. Hahna.

W nawiasie niewielka polemiczna uwaga. Smutna postać rycerza pociąga ku sobie Maryę. Nie przeczę. Lecz myli się autor „Juliusza Słowackiego”, gdy twierdzi, że przed kochanka „t a j e m n i c z ą istotą w końcu i sama (Marya) się wzdryga”. Nie zagadkowość to, lecz całkowite jéj wyzbycie się, odsłonięcie przyłbicy przeraża królowę.

„O, Botwelu, Botwelu! nie jesteś aniołem!
I n n y s t w o r z y ł a m o b r a z niegdyś w mojém sercu.
Precz! precz ode mnie! zbójco z têm wybladłém czołem.“

Co prawda, mamy tu do czynienia z jedną jeszcze niekonsekwencyą autora. Marya przecież bardzo chciała, by ów „anioł” odgadł jéj tajoną myśl zbrodniczą! Skądże rozczarowanie?

Nim pójdziemy daléj, proszę czytelnika, ze względu na dalsze części wykładu, o pamiętanie, że Botwel występuje c z y n n i e dopiéro w akcie 4-ym i 5-ym.

IV.

A teraz postarajmy się rozstrzygnąć pytanie, czy skazy, dostrzeżone w przedstawieniu jednego z głównych bohaterów, są zjawiskiem odosobnioném? Mowa tu oczywiście o skazach estetycznych, nie moralnych.

Jeśli dzieło o psychologicznym zakroju, jakiém jest Marya Stuart, ma zyskać trwałe uznanie, winno posiadać jeden z następujących warunków, które zapewne oddzielić się od siebie zupełnie nie dadzą. Najprzód autor może poruszyć strunę współczucia, i tą jednością uczucia połączyć z sobą mniéj lub więcéj świetnie wykonane poszczególne obrazy, wystąpienia działających osób. Mam tu właśnie na myśli to, co Małecki nazywa etycznemi wymaganiami. Pod tym względem utwór naszego poety zadowolić nas nie może. Czytelnik czuje się jakoś obco, nie zespala się w uczuciu, — rzadko chyba — z przebiegającemi przed jego wzrokiem postaciami, zwłaszcza z Maryą. Nad tym punktem, dostatecznie rozwiniętym w pracy biografa poety, dłużéj zatrzymywać się nie będę.

Ale autor, zdaniem mojém, może się również chwycić innego środka, wiodącego z niemniejszą pewnością do celu: jest to przenikająca utwór ciągłość myśli, dokładność rozbioru duszy ludzkiéj, rozbioru, postępującego naprzód wciąż tą samą drogą, nie zbaczającego w stronę, nie wikłającego wyników, — lecz prowadzącego w końcu do jakiegoś głębszego wniosku. Czy utwór naszego poety wyjdzie z próby zwycięsko, jeśli doń przyłożymy taką miarę? Potrącamy tu o zarzut, o którym wspomniałem już na początku — zarzut wadliwości budowy. Wydatne miejsca są wprawdzie silnie oświetlone, lecz jakby wiszą w powietrzu, albowiem poeta — może umyślnie — nie uzasadnia postępków poruszających się osób. Oto jeden z najważniejszych przykładów, wskazanych przez pr. Małeckiego. Śmierć Rizzia jest niby punktem zwrotnym dramatu. Od téj chwili Marya coraz szybciéj stacza się w przepaść, którą otworzyła przed nią jéj własna lekkomyślność... Widzimy zatém, jak poważną jest rzeczą uzasadnić obecność Rizzia u stóp królowéj w czasie, gdy zabójcy się zbliżają. Tymczasem nic oprócz dowolności autorskiéj czytelnik dojrzeć tu nie może. Wszak wyjazd był nakazany przez królowę tak stanowczo i w tak chłodno-ironiczny sposób, iż o odwołaniu postanowienia mowy być nie może. A jednak Rizzio zjawia się w nocnéj dobie w komnatach niekochającéj go kobiety i na jéj własne żądanie!... Tyle Małecki. Możnaby łatwo wskazać inne podobne do powyższych przykłady. Jak widzieli-

śmy, z istoty uczuć, miotających sercem Botwela—zgoła nie wypadało, iż ma on zapytywać astrologa o swą przyszłość. O przyszłość—z trucizną w ręku! Jeszcze przed wystąpieniem na widownię wrzekomo smętnego rycerza, nadaremnie chcieliśmy przeniknąć uczucia Mortona, który koniecznie nastaje na życie Rizzia. Skąd tchórzliwemu dworakowi, zabiegającemu naprzemian drogę królowi i królowéj,—skąd mu przybyło tyle odwagi? Co go skłonić mogło do tak śmiałego wystąpienia? Przecie już się wytłumaczył przed Darnlejem, że nie jego to winą zabrakło imienia króla na papierze, przez Maryę podpisanym? Te i tym podobne uchybienia są wszakże podrzędniejszego znaczenia. Należą one całowicie do kategoryi braków wykonania,—nie nadwerężają istoty rzeczy. Łatwo można by je usunąć kilku pociągnięciami pióra. Słówko jakieś wystarczyłoby, iżby w pewność zamienić domysł czytelnika, że pobudką do zbyt stanowczego wystąpienia kanclerza były owe słowa Duglasa:

...Mówiła królowa:
„Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca."

Wyobraźcie sobie daléj, że Rizzio pozostaje wbrew woli królowéj, a dla dotrzymania słowa Duglasowi. (Oczywiście, już teraz wykreślić lub przerobić należy oną scenę, gdy spiskowcy wydzierają paziowi list Rizzia). Tymczasem pieśniarz z raju wygnany, błądząc pod oknami Maryi, ulega pokusie.. I oto jeden z punktów, wiszących w powietrzu, zostanie mocno ugruntowany na podstawach gmachu, nie tracąc nic z oświetlenia swego.

Ta tedy okoliczność, że akcya rozwija się skokami, bez dostatecznego ustopniowania przejść od jednego położenia do drugiego,—ta, mówię, okoliczność, łatwiéj dałaby się wybaczyć, jeżeliby ruch odbywał się wciąż w tym samym kierunku. Lecz rozwój zdarzeń w utworze jest już skrzywiony w samym pomyśle. Akcyi zbywa na wewnętrznéj jedności. Uwaga czytelnika się rozstrzela w różnych kierunkach. Najgłębsze pobudki nie pojedyńczego działania, lecz całego szeregu czynów nie są należycie wyświetlone. Wypadki, wypełniające dramat, nie zbiegają się do jednego punktu, nie są nawiązane na tę samą nić jednéj myśli przewodniéj. Oto twierdzenie, które mi należy uzasadnić. Więc najprzód — niewyraźne są uczucia, łączące czy dzielące dwie główne postaci dramatu—Maryę i Henryka. A przecie wokoło tych uczuć nawija się wątek akcyi. Poddajmy rozbiorowi sprężyny, poruszające Darnlejem. Jakie głosy najsilniéj w nim przemawiają? Czy zazdrość o władzę? Czy miłość i jéj odwrotna strona—za-

zdrość? Czy upokorzenie godności męża zdradzanego? Widzimy go doprowadzonego do wściekłości tém powiedzeniem błazna, że jego wizerunku nie ma na szylingu.

„Jestem królem — nie jestem królem, sam się dziwię,
Że tak długo cierpiałem honoru zakałę...
Dosyć już poniżenia, jam na wszystko gotów...
Gdzie się obrócę — dziecko wytyka mnie małe:
Oto jest mąż królowéj! Czemuż nie król Szkotów?
Mąż królowéj — to wielka dla Darnleja sława?“

Sporo znajdziemy podobnych wzmianek, tu i owdzie rozsianych. Nie brak wszakże i wprost przeciwnych, z którychby wywnioskować wypadało, że Henrykowi chodzi przedewszystkiém o serce Maryi:

„Długo żyjąc oddaleni
Nie żyjemy tak zgodnie, jak dawniejśmy czuli...
To prawie moja wina... jakaś zazdrość płocha
Rozdzieliła nas, zdradę podstępni uknuli,
Lecz królowa kochała i teraz mnie kocha.“

Albo z jaką czułością (Akt. IV) dziękuje Maryi, że go odwiedziła, jak usilnie chce ją zatrzymać...

„O Maryo! mój aniele! Boże! dzięki Tobie!
Nawróciłeś jéj serce, kocha mnie tak szczerze?
. . . .
Wszystko się odmieniło, już jestem szczęśliwy,
Czy widziałeś jéj uśmiech? uśmiech szczery, tkliwy?“

Jakiekolwiek pobudki działały w Darnleju, to jednak pewna, że męża Maryi odsunęło od niéj to z ogółem dzielone przekonanie, że Włoch zadaleko się posunął w łaskach królowéj. Postępowanie jego się nie zmieni, jak bądź ocenimy jego przyczyny. To téż rozbiór uczuć Darnleja ma znaczenie nie ze względu na niego samego, lecz raczéj ze względu na stosunek Maryi do męża. Ten ją kocha, jego oddaliła zazdrość, myśl o wystygnięciu w jéj sercu miłości. Być nawet może, że w głębi serca uważa miłość Maryi tylko za środek do władzy, nie za cel. A ona? Czy mamy do czynienia tylko z lekkomyślnością z jéj strony? Być może, — bo przecież nie kocha harfiarza, bawi się nim jedynie. A jeżeli to tylko lekkomyślność—co się stało pobudką do usunięcia imienia Henryka, z owego rozkazu, do którego nie chce przyłożyć pieczęci dłoń Mortona drżąca? Czy ją skłoniło do tego podejrzenie wyrażone w słowach:

„Może lud działał zgodnie z Henryka rozkazem?
Wszak jego trefniś luby sam przewodził w tłumie?“

Powód to nadto błahy, zwłaszcza jeżeli zważymy że to jest „Pierwszy czyn przeciw męża,” że nieledwie powstrzymuje ją to przypuszczenie, iż się Henryk obrazi. Czyż można na jednéj szali kłaść obrazę i poduszczanie ludu przeciw wyznaniu, które opieką swą otacza królowa i ukochana kobieta? Więc jedno z dwojga. Jeżeli Marya uważała za prawdopodobne takie objawy niechęci ze strony swego męża, jak łączenie się z „płochym ludem stolicy” — w takim razie nie miała już powodu obawiać się „obrazy.” Jeżeli zaś tak nie było, to znowu nie umiemy sobie wytłumaczyć jéj postępowania:

„Pierwszy czyn przeciw męża: opuszczone słowo
Struje szczęście domowe, dni pogodę skazi.“

Więc jeszcze szczęście nie strute, pogoda nie zmącona? Nie trudno sobie zdać sprawę i z jéj uczuć i z jéj „pierwszego czynu,” tego czynu, w którym się ukrywa zawiązek całego dalszego przebiegu wydarzeń dramatu. Jeżeli miłość własna Darnleja nie będzie obrażona, nie połączy się on z zabójcami włocha, nie wzbudzi zatém ku sobie odrazy i nienawiści ze strony Maryi, nie zostanie otruty, ani wysadzony w powietrze, występna królowa nie dozna całéj rozmaitości sprzecznych uczuć... Owóż należało koniecznie dać czytelnikowi możność głębszego wejrzenia w istotę stosunku małżonków, poznania przyczyn chłodu ze strony Maryi... Pr. Małecki tłumaczy nam, że „taka chwiejna kreatura, taka bezwarunkowa nicość mężczyzny nie była oczywiście stworzona na męża Maryi. Jeżeli Henryk znaczył coś kiedy w jéj oczach, to te czasy dawno minęły. Zgoda i porozumienie małżeńskie spadły między nimi do pustéj formy.” Nie dzielę tego zdania. W słowach biografa poety czytam wnioski przez niegoż uczynione ze znajomości postaci Darnleja. Małecki sądzi że tak nie inaczéj Marya powinna była zachować się wobec męża, że innych uczuć posiadać by nie mogła. Atoli wnioski owe ani dadzą się wyczytać bezpośrednio z przedstawienia rzeczy, ani wchodziły w zamiar autora. Ze strony Maryi nie tylko nie widzimy cienia pogardy względem męża, owszem, wierzy ona w jego moc męską; bo oto, w chwili stanowczéj, gdy ani jéj błagania, ani rozkazy nie mogły zmiękczyć twardego serca Duglasa, wtedy nieszczęśliwa z rozpaczą woła:

„O, gdyby tu był Henryk! Tak cicho jak w grobie;
Gdzież Henryk? Henryk! mąż mój.“ —

Straszna to agonia... Ustęp jeden z najwspanialszych...

V.

Zatrzymajmy się tu chwilę. Poproszę teraz czytelnika, by rzucił spojrzenie po za siebie, przypomniał sobie treść trzech aktów dramatu, uprzytomnił kolej wydarzeń, grę namiętności, która doprowadziła nas wreszcie do strasznego rozwiązania. Zostawiamy za sobą punkt ciemny, a tym jest stosunek Maryi do Henryka. Mimo to bieg wypadków podąża dotychczas równym, acz przyspieszonym krokiem. Obcy przybysz obraża dumnego barona. Darnlej, mając powody mniemać, że jest zdradzony, czuje się upokorzonym. Nie mniéj lekkomyślny, jak sama Marya, daje się wciągnąć do spisku. Rizzio u stóp królowéj zamordowany, łatwo zrozumiéć, jak silne wrażenie wywrzeć musiała na jéj umysł nocna scena i... głos Henryka, głos tego, kogo wzywała jak obrońcę i mściciela swéj czci, swéj dumy, swego uczucia zelżonego, zdeptanego.

„Jestem tu przy tobie.
— Był przy mnie? Henryk! mąż mój? Boże mój!“

Czujemy dobrze, że doznane wstrząśnienie, że ten krzyk zgrozy— nie przeminą bez śladu. Przychodząc do zmysłów, Marya znowu powtarza z przerażeniem:

„Jestem przy tobie... Boże zmiłuj się nade mną!
On był przy mnie, mąż, Henryk, był przy mnie—zabijał,
Nie poznaje Botwela, „Tyś Rizzia krwią zmazany.“

Przewidujemy kierunek, w jakim potoczą się teraz wypadki, prześcigając się w szalonym biegu, tłocząc, popychając ku przepaści i porywając z sobą występnych i niewinnych, lekkomyślnych i rozważnych.

„Mścić się potrzeba—drżyjcie—czyż krew płacić łzami?
Krew za krew—drżyjcie! Zemsta straszliwa nad wami!
Już śmierć weszła do zamku—będą zbrodnie nowe.“

Pewną komplikacyą jest wprowadzenie Botwela właśnie w chwilę po zabójstwie, Marya obłąkana przerażeniem, rozpaczą, rzuca się w objęcie pierwszego lepszego awanturnika, byle w nim zyskać powolne narzędzie swych celów.

„Rzucam się na twe łono, — już jestem zgubiona.“

Oto w jaki sposób mogłaby być zachowana wewnętrzna jedność akcyi.

Lecz myśl poety nie podążyła tym prosto wytkniętym szlakiem. W koło wypadków wpleciona została miłość Maryi dla Botwela.

Nie mówiliśmy dotąd nic o roli, jaką tenże odgrywa w rozwoju wydarzeń od chwili, gdy mamy na uwadze nie pojedyńcze charaktery, lecz ogólny ruch wypadków, a nie mówiliśmy dla tego, że tam dlań miejsca nie było. Poznaliśmy Botwela osobiście już w akcie drugim; na początku aktu trzeciego odsłonił się nam jego wewnętrzny charakter. Pobieżną wzmiankę o nim znajdujemy już w pierwszéj scenie aktu pierwszego. I oto już stoimy u kresu aktu trzeciego. Słyszeliśmy Botwela, widzieliśmy go. A jednak — nie wystąpił on czynnie ani razu, na bieg wypadków nie wpłynął w najmniejszym stopniu, nie rozplątał żadnego węzła, nie zawiązał żadnéj nici. Co innego Rizzio. Jako pośrednio główna sprężyna wszystkiego, co się dzieje, jako środkowa postać, wypełnia on sobą cały utwór. Nawet gdy pada pod ciosem zabójcy,—cień jego kryje chmurą osoby, ich czuci, postępki, myśli. Ostatnie jego słowa: „Boże zmiłuj się nade mną" stają się smutną zwrotką, którą powtarzają kolejno sama Marya, jéj mąż, biedny paź i Nick. Czyżbyśmy mogli nawet na chwilę przypuścić, że postać Rizzia została wykreślona z dramatu? Nie, boby się cała budowa rozsypała. A teraz inne przypuszczenie. Usuńmy Botwela. — Chłodne stosunki między Maryą i mężem, nie stosowne postępowanie Rizzia, lekkomyślność ostatniéj ze Stuartów rodu, zazdrość Henryka, duma i wściekłość Duglasa, zabójstwo na Włochu dokonane — wszystko pozostanie na miejscu bez zmiany, wszystko wywoła właściwe sobie następstwa. Choćby nie miał przybyć Botwel do pałacu o północnéj godzinie, Marya wezwie Henryka, tym samym gromem w nią uderzą ciche jego słowa: „Jestem tu przy tobie." A potém... potém powtarzać będzie: „Boże zmiłuj się nade mną."

„On był przy mnie, mąż, Henryk był przy mnie, zabijał!" A gdy się otrząśnie z przygnębienia — doda jeszcze: „Krew za krew."

W tém wszystkiém aż dotychczas Botwel nie ma najmniejszego udziału. Środkowym punktem jest harfiarz, chociaż gra rolę bierną. Wobec tego dziwnym mi się nieco wydaje pogląd prof. Małeckiego na rolę Rizzia, pogląd zawarty w tych słowach: „Do tragicznego obrotu rzeczy przyczyniają się uboczne okoliczności, przypadkowe zdarzenia, następstwa nieprzewidzianych, obojętnych założeń dawniejszéj daty." Małecki widocznie większe znaczenie w dramacie przypisuje Botwelowi, może dla tego, że on potrafił opanować serce Maryi.

VI.

Przeważny wpływ na wypadki Botwel wywierać zaczyna dopiéro od chwili, gdy Marya niemal obłąkana, rzuca się w jego objęcia (koniec aktu 2-go). Tu jednakże nasuwa się nam odrazu trudność nielada. Botwel stawił się na wyraźne żądanie królowéj. Uczucie jéj uprzedziło straszliwe rozwiązanie tego splotu namiętności, którego tworzeniu przyglądaliśmy się w poprzednich aktach...

„O, teraz przybądź do mnie! przybądź tu Botwelu!
Przybądź, nie mam korony i nie mam pierścienia,
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy...“

tak się odzywa królowa już w drugim akcie. Już wtedy został wprowadzony nowy czynnik, nie pogodzony z całym kierunkiem dotychczasowéj walki namiętnościowéj. Przytoczone słowa naprowadzają nas na łatwy wniosek, iż cokolwiek by się stało, Marya rzuciłaby się w objęcia kochanka; że ten czyn jéj nie wypływa przyczynowo z dramatu, który się odegrał przed chwilą w jéj obecności. Obie sceny połączył wypadek.

Nocnéj sceny w pałacu między królową a jéj kochankiem dotknął również prof. Małecki i osądził ją z tego samego stanowiska, lecz zarazem nie ustrzegł się błędu. Najprzód nie ocenia on w należytym stopniu tego znaczenia, jakie dla budowy całéj sztuki ma wątłość wiązań w tém właśnie miejscu. I nie mogło być inaczéj, ponieważ krytyk chce widziéć w całéj sztuce ciągły, prawidłowy rozwój występnych uczuć Maryi. Rizzio zaś jest dlań „uboczna”, „przypadkowa okoliczność”. Nie może zatém dostrzedz jakby przeskoku od jednego bohatera do drugiego, nie widzi, że się bieg wypadków wykoleja. Pomieniona scena jest dla niego tylko jednym jeszcze przykładem niekonsekwencyi autora. Oprócz tego błędu jest jeszcze inny, wyraźniéj rzucający się w oczy, krytyk nie dojrzał, iż w słowach, zamienionych między królową a Botwelem, obok czynników ubiegłéj doby, oprócz wyznania miłosnych uczuć, znajdują się pierwiastki nowe, będące bezpośrednim wynikiem téj strasznéj chwili, która otwiérała przed nieszczęśliwą kobietą, w przyszłości, szereg różnych, niemniéj strasznych... Dawniéj Marya potrzebowała zdjąć koronę i pierścień, przestać być królową, by czuć się tylko kobietą, by zawołać: Przybądź Botwelu! O śmierci męża, o zemście nie myślała. Jeszcze kilka godzin temu w ustach jéj nie było tych oto słów:

„... chodź przed ołtarz Pana,
Połączę z tobą dłonie, gdym serce złączyła!
Lecz nie... ta ręka z krwawą ręką powiązana,
On żyje jeszcze! Boże! cóżem wymówiła! (ucieka).

Nie ma więc zupełnéj za sobą słuszności Małecki, gdy się wyśmiéwa z czyjegoś powiedzenia, że scena powyższa jest „psychologicznie uzasadniona". W inném téż świetle przedstawi się nam monolog Botwela, jeżeli uwzględnimy opuszczone przez krytyka słowa:

„On żyje jeszcze
Botwel (sam)
On żyje jeszcze? W dobrą trafiłem godzinę,
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie".

I rzeczywiście ze stanowiska Botwela była to naprawdę „dobra godzina". Przecie nie chodziło mu o miłość Maryi, o jéj posiadanie. Przed chwilą jeszcze Marya szukała opieki u swego męża. Teraz szuka jéj przed mężem, chce jego śmierci. A zatém — Darnlej ustąpi miejsca Botwelowi, i węzeł zbrodni połączy kochanków.

Postać Rizzia coraz bardziéj teraz usuwa się w cień. U steru nawy stanął „człowiek milszy dla królowéj nad tron i nad życie..." Miłość uzyskuje stanowczą przewagę.

Na początku aktu 4-go widzimy pewną równowagę w umyśle znękanéj kobiéty. Już, jak się zdaje, wyrzekła się zemsty:

„Dziś jestem spokojniejszą, czystych modlitw władza,
Usypia wszystkie troski i uśmiérza bóle".

Ale zły jéj geniusz umié rozdmuchać jeszcze nieprzygasłą iskrę nienawiści. Nie odrazu wprawdzie zmusił Maryę do wyjawienia ukrytéj chęci — lecz w kołczanie jego nie wszystkie się jeszcze strzały wyczerpały:

„Pani! więc dziś się z tobą na wieki rozdzielę,
Przyszedłem cię pożegnać...

Cios ten nie chybił celu. Marya zgadza się na wszystko. Podejmuje się nawet dać senny napój mężowi, by ułatwić zbrodnię. A teraz rozważmy pobudki czynu: jeżeli Botwel popycha królowę do stanowczego kroku, wyzyskując jéj uczucie ku sobie — to... Rizzio mógłby żyć. On przestał już być główną posuwającą sprężyną... Dla Botwela, nie dla Rizzia Marya stała się zabójczynią. Posłuchajmy jeszcze rozmowy, jaka się toczy między Darnlejem, a jego żoną. Henryk błaga królowę o przebaczenie za swe wspólnictwo w krwawym czynie. Cóż

na to Marya? Czy uczucie zemsty, rozpaczy, odwetu przemówiło w niéj jękiem, krzykiem, groźbą, silniejszém uderzeniem serca? Nie, ona z zimną krwią stara się uśpić wszelkie podejrzenia. Śmierć męża w umyśle jéj postanowiona, bo ta śmierć—to nie kara dla zbrodniarza, to stuła, wiążąca ją z Botwelem. Cóż dla niéj znaczy pokuta zabójcy? Choćby nawet był niewinny — niech umrze. Słyszymy tę myśl, widzimy ją, jak się porusza w najtajniejszéj skrytce jéj serca, — a słysząc to i widząc, powtarzamy, Rizzio mógłby żyć.

Wogóle ze względu na bezpośredni udział w działaniach w ostatnich dwu aktach, i ze względu na wpływ, jaki uzyskał na królowę, — jedynie Botwel mógłby zasługiwać na miano głównego bohatera tragedyi, — a stosunek, łączący Maryę z kochankiem powinien być uważany za istotną przyczynę wszelkich powikłań w utworze. Tak też to zrozumiał Małecki. Lecz, jak widzielimy, do téj myśli przewodniéj ogół budowy nie jest przystosowany.

Trudno, naprawdę, poradzić sobie z posągowym rycerzem naszym. Jako główny sprawca wszystkich nieszczęść, jako główna przyczyna upadku dobréj i szlachetnéj bohatérki – występuje on zapóźno. Jako dodatkowe koło wśród innych rozbieganych kół, popychających królowę i wszystkie otaczające ją osoby do straszliwego końca (bo ocaleli tylko Morton i Astrolog) — zjawia się zawcześnie. Powinienby się ukazać dopiéro w ostatniéj scenie aktu 3-go jako srogi, ambitny awanturnik, i nie kochany przez Maryę.

VII.

Powtórzmy teraz w zwięzłéj osnowie wyniki naszego badania.

Utwór Słowackingo składa się wyraźnie z dwu różnych części, a każda z nich obraca się wokoło innéj osi, posiada odmienną budowę. Oba odłamy dramatu są spojone z sobą w ten sposób, iż w miejscach, gdzie się stykają, pokrywają siebie częściowo; dla tego też nie mogą być oddzielone od siebie wyraźną linią graniczną. Linia ta łamie się w różne skręty i zygzaki. Natrącani o miłosnych uczuciach królowéj względem rycerza jéj orszaku, przytoczone wyżej słowa: „Przybądź tu Botwelu", — wszystko to należy uważać za ułamek części drugiéj utworu, ułamek, który wrósł w ciało pierwszéj. Dzwony na pogrzebie Rizzia w akcie 4-m — to ginące odgłosy tych okrzyków namiętności, już to cichszych, już głośniejszych, które wypełniały początkowe karty dramatu. Głównem spoidłem mechanicznem między obu niezależnemi poniekąd częściami dzieła, jest piérwsze samotne spotkanie

królowéj z Botwelem. Tu też najjaskrawiéj się uwydatniły wszystkie sprzeczności w przeprowadzeniu akcyi... Przypomnę jeszcze wynik méj analizy charakteru Botwela

A teraz pozwolę sobie przytoczyć ogólny pogląd krytyka poety na zewnętrzną stronę dramatu. — „Cały akt 1-y, równie jak 2-gi przeprowadzone są w sposób chlubnie świadczący, że się talent... wzmógł, dojrzał, spotężniał... W tém rozpoczyna się akt 3-ci, a w nim jakoś akcya zaczyna wikłać — ogniwo łańcucha zdarzeń, dotąd prowadzonego tak dzielnie, pęka — charaktery owiewa jakby mgła jakaś, która nie dopuszcza dojrzéć aż w samo ich wnętrze — coś się w nich paczy, zdaje się, jakby się ich role poprzemieniały...

Zadaniem mém właśnie było dotrzeć do samego źródła owéj ról przemiany.

Jak teraz wytłómaczyć sobie wahanie się akcyi wokoło dwu różnych punktów ciężkości, jak rozwikłać pogmatwane ruchy? Tu znowu wypadnie nam powołać się na pracę p. Hahna. Wyniki rozbioru, podjętego w celu artystycznéj oceny, zbiegają się z wynikami drobiazgowego porównania motywów, które spotykamy zarówno u naszego poety, jak i gdzie indziéj — w dziełach, które zasiliły jego wyobraźnię. Słowacki usiłował zlać z sobą i wcielić w swym utworze dwa odmienne poglądy na tragiczne chwile życia Maryi, a każdy z tych poglądów w czém inném szukał osnowy dramatu. Poeta nasz, jak wykazał p. Hahn, podczas tworzenia znajdował się pod wpływem Walter Scotta. Dowodzą tego zestawienia poszczególnych ustępów, sytuacyi — wreszjednakowość charakterystyki osób, występujących u Słowackiego, a wspomnionych przez szkockiego powieściopisarza. Stąd wielkiego prawdopodobieństwa nabiera przypuszczenie p. Hahna, że Słowacki poszedł za autorem „Pięknéj dziewicy z Perthu", rozwijając dramat na tle zabójstwa harfiarza i mściwych uczuć obrażonéj królowéj, które miały początek w téj zbrodni. Niemniéj widoczny jest wpływ utworu Alfierego. Utwór ów również nosi tytuł „Maryi Stuart". Dramat włoskiego poety osnuty jest znowu na tle śmierci Henryka. Botwel — któremu się poddaje zupełnie żona Darnleja — jest jej złym duchem. Atoli miłosny między nimi stosunek należy podobno do własnéj inwencyi naszego poety, jako też owe „demoniczne" barwy bohatera w drugim akcie. Te części pomysłu nie zlały się z obcemi reminiscencyami w jedną organiczną całość. Bierność Maryi i jéj bezwzględne poddanie się Botwelowi ma podwójne źródło. Najprzód wytwarza ją wprowadzony przez naszego poetę czynnik występnéj miłości; po drugie — mamy tu poprostu do czynienia z przeszczepieniem Alfierowskiego wzoru. W następstwie obu tych przyczyn inicyatywa

czynu wymyka się właściwie z rąk bohaterki, i przez to samo zrywa się łączność ostatnich dwóch aktów z poprzedniemi częściami dramatu, ponieważ działa obca—nie Maryi—wola, która pobudek do postępowania nie czerpie w rozwoju przeszłych zdarzeń.

Brak wewnętrznéj jedności i niezadośćuczynienie „etycznym” wymaganiom — oto kardynalne wady utworu, obniżające artystyczną jego wartość. Lecz należy oddalić to przypuszczenie, żeby postać kochanka Maryi swą „demonicznością” w większéj mierze mogła ujemnie oddziaływać na losy dramatu.

Ostatni ten wniosek, dotyczący bajroniczno demonicznego kolorytu poezyi Słowackiego, zastosowałbym bez wahania do wszystkich utworów Juliusza wcześniejszéj doby. Sądzę, że „Mindowe”, „Mnich”, „Bielecki”, „Arab”, „Żmija”, „Lambro” — nie dlatego odpychały od siebie społeczeństwo polskie, że jest ono „z natury dobroduszne, optymistyczne”, jak chce Małecki; nie dlatego, że „zwątpienie, rozpacz, bunt ducha, przekleństwo odtrącające... równie nam wtedy były obce, jak metafizyczna mglistość...” Gdyby tak było w istocie, czyżby poezya niemiecka („mglista”) tylu znajdowała zwolenników, a Byron tylu wielbicieli i tłómaczów? Tymczasem Shelley, pod wielu względami stanowiący sprzeczny biegun z autorem „Kaina”, pozostaje bez żadnego wpływu, mimo że utwory jego nie były całkiem obce, np. tłómaczowi „Giaura”. Rozwiązanie zagadnienia, t. j. próżni otaczającéj Słowackiego, w pierwszych latach jego twórczości, należy szukać w słowach Goszczyńskiego: „Nad dziełami obcéj osnowy, jak Lambro, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi. Nazwijmy ten brak Słowackiego — bo niepodobna mi się jaśniéj tłómaczyć — oderwaniem od gruntu realnego. Dzieł jego powszechnéj nieuwadze nie wyrwałaby może nawet skończona ich doskonałość artystyczna. Ot, taki nawet rzewny, smutny „Mnich” nie uszedł ogólnéj kolei... Że „Kordyan” odrazu wywalczył naszemu poecie uznanie wśród ziomków, to chyba nie artyzm stał się tego przyczyną. Gdyby poeta posiadał cokolwiek zmysłu rzeczywistości, czyby mógł na chwilę przypuścić, że w jego „Żmii” np. „ożył cały naród”? Nie przeczułby, iż każdy członek tego narodu, przechodząc obok, rzuci mu obojętne słowa: Piękna świątynia—lecz bez Boga? Zrozumiał to później sam poeta, gdy przeciwstawiał swe melancholie bajrońskie „rzeczywistéj” tragedyi... Dopiéro my, oddaleni od czasu wzniesienia świątyni téj o pół wieku, my dopiéro możemy do niéj zaglądać, możemy tłómaczyć sobie szczegóły budowy i wskazać, co się nam podobać może, a co znowu uznać mu-

simy za wadliwe. Dla pokolenia, które już snem wiecznym spoczęło, uwagi nasze nie byłyby na miejscu.

Nie jest bez pewnego znaczenia stosunek krytyka do dwu kolejno po sobie następujących utworów Juliusza „Lambro” i „Kordyan”. Na sąd jego wpływają poniekąd te same czynniki, które niegdyś tak mocno zaważyły na szali wziętości poety. Wprawdzie pomysł „Lambra” jest skrzywiony. Myśl przewodnia „Kordyana” wyłania się jaśniéj; może dlatego, że poprzez poplątane sceny prowadzi nas Małecki. Ostatecznie jednak pod względem artystycznego wykonania „Kordyan” jest o tyleż chybioną całością, jak „Lambro”, jeśli nie więcéj. Parę scen „Kordyana” wykonano z nieposposlitą siłą, lecz zarazem... z pewną przesadą... Przy czytaniu owych scen pamięć mimowoli nasuwa własne Małeckiego uwagi (w rozbiorze „Wacława”) o granicach, w jakich się zamknąć winna dowolność w przekształceniu przekazanych przez dzieje, albo podanie faktów lub charakterów... Czytelnik, znający „Kordyana”, wié również, jaką postać mam na myśli. Poeta zrobił z niéj rażącą karykaturę... Lecz poszczególne ustępy są prześliczne, niekiedy wspaniałe. Nie brak ich zarówno w obu utworach, o których tu mowa. Tymczasem, na jeden z nich pada wyrok zbyt surowy, ocena „Kordyana” znowu jest nad miarę łaskawa. „Dramatyczne jego pisma późniéj wydane ani siłą, ani przedmiotowością (?), ani samą wreszcie artystyczną dzielnością nie dorównywują (?) już kilku mistrzowskim scenom, tworzącym dzieła tego akt trzeci. Wogóle jest to część utworu, którą pod względem artyzmu, zdaniem mojém, liczyć należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie literatura zawdzięcza Słowackiemu.

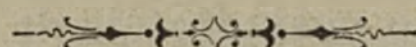
Powyższy ustęp jest zakończeniem I-go tomu pracy: „Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła”.

A. Drogosław.



Projekty i próby reformy agrarnéj.

(Dokończenie).



III.

Uzyskawszy podstawę teoretyczną dla zrozumienia potrzeb, odczuwanych zewsząd na widok upadającego rolnictwa, postaramy się poznać w ogólnym przynajmniéj zarysie bądź dokonane już, bądź projektowane dopiéro próby ustawodawczéj reformy agrarnéj.

W Prusiech przez długi czas nie znano istoty niebezpieczeństwa, grożącego rolnictwu i własności ziemskiéj. Dopiéro gdy wyłoniła się z jednéj strony kwestya robotników wiejskich, t. j. kwestya, jak uchronić gospodarstwo rolne od utraty rąk roboczych wskutek emigracyi do miast lub za morze, z drugiéj strony zaś kwestya, jak zaradzić tworzeniu się latyfundyów i nadmiernemu obciążeniu oraz nędzy upadającego włościaństwa, dopiéro wtenczas zaczęto poważnie zastanawiać się nad sprawą rolnictwa. Wówczas Rodbertus ogłosił był swoją dyagnozę i teoryę rentową. Pod jego to wpływem w r. 1879 kolegium ekonomiczne oświadczyło się w zasadzie za wprowadzeniem wieczystéj dzierżawy, aby umożliwić osadnictwo robotników wiejskich. Zmierzano wtenczas do zmniejszenia obszaru zbyt wielkiéj własności ziemskiéj i odłączenia od niéj części, którąby potem miano odprzedać

chłopom. Fundusz w ten sposób uzyskany miał służyć na umorzenie długów hipotecznych. Natrafiono jednak na trudność. Z jednéj strony bowiem brakło chłopom, pragnącym nabyć ziemię, funduszów, z drugiéj strony właścicieli, którzy byli skłonni do oddzielenia od swego obszaru części, krępowały najrozmaitsze przeszkody prawne. W roku 1885 ministeryum przedłożyło jednak kolegium ekonomicznemu memoryał o dobrach rentowych, w którym zerwawszy z zamiarem ustanowienia wieczystéj dzierżawy, wprowadzono nową zasadę, mianowicie: przenoszenie własności ziemskiéj za stałą rentę, stosownie do umowy niewypowiedzialną. Kolegium ekonomiczne memoryał ten przyjęło przychylnie. Niebawem zasadę tam wyrażoną poczęto stosować, zrazu z tendencyą polityczną. W roku 1886 na porządku dziennym stanęła ustawa kolonizacyjna. Sejm pruski wówczas wcielił zasady, w memoryale wyrażone, do ustawy o popieraniu kolonizacyi niemieckiéj w Prusiech Zachodnich i w Poznańskiém. Wykupno ziemi z rąk polskich dla Prus korzystny wydało rezultat. Za tém poszło, iż zasadę rentową i opierającą się na niéj instytucyę posiadłości rentowych rozszerzono i na inne prowincye pruskie. W roku 1890 rząd przedłożył sejmowi pruskiemu projekt o posiadłościach rentowych, mający jako ustawa obowiązywać w całych Prusiech. Projekt ten stał się ustawą, okazał się jednak późniéj niedostatecznym. Z tego powodu wydano w r. 1891 uzupełniającą ustawę, która określa współdziałanie banków rentowych i komisyi generalnych przy zakładaniu posiadłości rentowych.

Ustawa z r. 1890 stanowi, że w zamian za stałą rentę wolno własność gruntu przenieść na inną osobę. Umowa decyduje o tém, czy renta ma być spłacalną. Jeśli dług jest wypowiedzialny, stronom wolno umówić się o kwotę, za pomocą któréj rentę spłacić należy, i ustanowić termin wypowiedzenia. Posiadłość rentowa musi być założona bez ciężarów gruntowych i długów hipotecznych, obciążających grunt pierwotny, macierzysty. Oddzielenie posiadłości rentowéj od większego, pierwotnego gruntu, może nastąpić bez interwencyi wierzycieli hipotecznych pod pewnemi warunkami. Umowa o nabycie posiadłości rentowéj mogła bowiem zawisłą uczynić dalszą parcelacyę od zgody wierzyciela rentowego. Gdy więc ten wierzyciel zezwolenia swego odmówi, to komisya generalna może orzec, że w interesie ogólnym dalsza parcelacya jest dopuszczalna. Ustawa pruska z r. 1890 wymagała istotnego uzupełnienia, gdyż nie zawierała żadnego postanowienia, któreby większym właścicielom z oddzielenia części od swego gruntu zapewniało jakie korzyści. Drobne sumy, płacone przez nabywców, nie miały dla tych właścicieli większego znaczenia, bo oni

potrzebowali właśnie sum większych dla spłaty swych długów hipotecznych. Z tego powodu ustawa z r. 1891 o popieraniu tworzenia posiadłości rentowych ma na celu zapewnienie pomocy państwa przy zakładaniu wiejskich dóbr rentowych średniego lub mniejszego obszaru, innemi słowy, ma na celu popieranie kolonizacyi wewnętrznéj. Komisya generalna normuje warunki, pod którémi obszar ziemski może korzystać z téj ustawy. Renty są spłacalne za pośrednictwem banku rentowego, a mianowicie przy pomocy listów rentowych, poręczonych przez państwo. Bank wypłaca wierzycielowi rentowemu 27-krotną rentę w $3^1/_2\%$ listach, nabywca gruntu zaś obowiązany jest płacić w ciągu $60^1/_2$ lat 4% wartości nominalnéj listów rentowych (lub też w innéj przewidzianéj kombinacyi). Nadto mogą komisye generalne na wniosek jednego z interesowanych zajmować się same zakładaniem posiadłości rentowych.

Reformy pruskie na polu polityki agrarnéj obejmują prócz tego zawodową organizacyę rolników i organizacyę kredytu rolnego. Mianowicie jeszcze w r. 1864 powstał ogólno niemiecki związek towarzystw zarobkowych i gospodarczych, który dziś ma pewne znaczenie także dla rolników, o ile oni korzystać mogą z centralnéj jego instytucyi finansowéj w Berlinie. Głównie jednak działają dobrowolne rolnicze związki kredytowe, jak towarzystwa zaliczkowe, „ziemstwa" (*Landschaften*), kasy pożyczkowe Raiffeisena, obok nich także ogólno-niemieckie związki jak: związek towarzystw rolniczych, główny związek rolniczy w Berlinie, związek chłopski połączony od roku 1893 ze związkiem rolniczym. Celem wszystkich tych organizacyi jest wzajemna pomoc. W czerwcu 1894 wyszła nadto w Prusiech ustawa o izbach rolniczych, mających na celu korporacyjną organizacyę zawodu rolniczego [1]). W końcu należy wspomnieć o uchwałach pruskiéj rady stanu z marca 1895 r. w sprawie rolnictwa. Obrady nad „środkami koniecznemi na polu organizacyi kredytu" zakończyły się uchwałami, które wychodzą z następującéj zasady: Dla uzdrowienia kredytu rzeczowego potrzeba jak najszerszéj przemiany wypowiedzialnych, nie spłacalnych i zwykle wysoko oprocentowanych hipotek prywatnych na kredyt tańszy, wypowiedzialny, połączony z przymusową amortyzacyą. W tym celu należy granicę odłużenia w ziemstwach i w podobnych instytucyach odpowiednio uregulować i wogóle, a zwłaszcza dla mniejszéj własności ziemskiéj bardziéj uprzystępnić. W interesie kre-

---

[1]) Por. Beilagen der erläuternden Bemerkungen zu den Gesetzentwürfen betreffend die Errichtung von Berufsgenossenschaften der Landwirte und betreffend die Errichtung von Rentengütern 1893; Leopold Caro: Pomoc dla rolników w Austryi, 1894.

dytu osobistego pożądane jest utworzenie krajowéj instytucyi kredytowéj, któraby związkom stowarzyszeń rolniczych udzielała kredytu pod dogodnemi warunkami [1]).

Na odmiennéj zasadzie, niż ustawa pruska, polegają reformy projektowane w Austryi. Przedłożenie rządowe, wniesione 1893 r. do parlamentu postanawia, że posiadłości rentowe mogą być zakładane tylko za pośrednictwem przymusowéj korporacyi rolników, na podstawie umowy zawartéj między osobą prywatną a korporacyą. Wzorem dla tego projektu była ustawa angielska z roku 1892, Small-Holdings Act.

Ażeby lepiéj poznać projektowaną przez rząd austryacki organizacyę, należy zdać sobie sprawę z głównych postanowień organizacyjnych Small-Holdings-Actu angielskiego. Ta ustawa ma na celu utworzenie własności mniejszéj, któréj brak w Anglii. Jeśli bowiem rada hrabstwa (*County council*) jest zdania, że w hrabstwie zachodzi potrzeba drobnych posiadłości, może ona nabyć wszelki odpowiedni kawałek gruntu dla tych osób, któreby pragnęły nabyć same takie małe grunta i na nich gospodarować. Nabywca płaci przy kupnie co najmniéj $^1/_5$ ceny w gotówce, część, najwyżéj $^1/_4$ ceny kupna pozostaje jako dług rentowy, obciążający posiadłość, resztę ma nabywca spłacić w ciągu co najwyżéj lat 50, licząc od daty nabycia. Rada hrabstwa może nadto pod pewnemi warunkami, oznaczonemi w ustawie, grunta wydzierżawiać bądź osobom fizycznym, bądź stowarzyszeniom. Suma jeszcze nie spłacona jest spłacalną każdéj chwili wedle tabel władzy. Prócz tego ma nabywca obowiązek spłaty regularnie uskuteczniać, nie wolno mu gruntu dzielić, ani pozbywać, ani wydzierżawiać.

Projekt austryacki opiéra organizacyę posiadłości rentowych również na związku przymusowym. Posiadłość rentowa jestto nieruchomość, za którą cenę kupna uiszcza się w formie stałéj renty, spłacalnéj wedle przepisów ustawy i któréj właściciel podlega ograniczeniom w ustawie określonym. Posiadłością rentową może być tylko posiadłość, należąca do stowarzyszenia rolników, i może być założona tylko za pośrednictwem krajowego stowarzyszenia rolników. Przepisy ustawy odnoszą się tylko do takich gruntów, które są poświęcone gospodarstwu rolnemu lub leśnemu albo pewnéj gałęzi tych gospodarstw. Założenie może nastąpić w sposób dwojaki: albo w drodze przymusowéj, albo dobrowolnie. W drodze przymusowéj zostaje posiadłość rentowa założona w razie licytacyi nieruchomości. Przy egzekucyjném

---

[1]) Por. „Agrarbeschlüsse des preuss. Staatsrats“ w Zeitschrift f. d. ges. Staatswissenschaft, 1895, str. 744 nast.

oszacowaniu nieruchomości, ewentualnie przed rozpisaniem licytacyi sędzia ma zbadać, czy nieruchomość wpisana jest do stowarzyszenia zawodowego. Sąd ma w razie zezwolenia na licytacyę zawiadomić o tém odnośne powiatowe i krajowe stowarzyszenie. Powiatowe stowarzyszenie winno natychmiast postarać się o sprawdzenie wartości nieruchomości na podstawie czystego przychodu katastralnego. Krajowe stowarzyszenie jest obowiązane brać udział w licytacyi, aż do wysokości 20-krotnego czystego przychodu katastralnego. Dobrowolne założenie posiadłości przychodzi do skutku na żądanie właściciela, wniesione do stowarzyszenia powiatowego. W razie, jeżeli odłużenie nieruchomości przenosi jéj wartość, sąd na prośbę stowarzyszenia rozpisuje licytacyę. Cenę wywołania stanowi wartość nieruchomości przez stowarzyszenie uznana. Gdyby jednak obciążenie było mniejsze od wartości nieruchomości, w takim razie stowarzyszenie nabywa tę nieruchomość kontraktem kupna i wpisuje się do ksiąg jako właściciel. Z ceny kupna potrąca się ciężary, płaci się długi hipoteczne a resztę wypłaca się dotychczasowemu właścicielowi. Każda nabyta nieruchomość powinna być poddaną postępowaniu rentowemu, to znaczy, należy po pierwsze ustanowić kapitał rentowy i przypadającą rentę, powtóre wyszukać nabywcę posiadłości rentowéj, po trzecie zawrzéć kontrakt rentowy. Kapitał rentowy odpowiada nominalnéj wartości wydawanych przez krajowe stowarzyszenie rolników listów rentowych, po sprzedaży których otrzymano kwotę na nabycie nieruchomości. Renta jest to roczna przez nabywcę opłata na oprocentowanie kapitału, na jego amortyzacyę i na pokrycie kosztów administracyjnych. Nabywcą może być tylko jedna osoba, pierwszeństwo ma dawny właściciel, potém jego żona, jego zstępni. Na podstawie umowy rentowéj ze stowarzyszeniem, nabywca obejmuje ciężary rentowe i inne z tego stosunku płynące zobowiązania. W rozporządzaniu własnością jest posiadacz rentowy o tyle ograniczony, że bez zezwolenia stowarzyszenia nie może własności przenosić, nie może zmieniać gospodarstwa rolnego lub leśnego, nie może ustanawiać zastawu. Po śmierci właściciela rentowego posiadłość nie należy do masy spadkowéj, lecz oddaje się ją osobie wskazanéj rozporządzeniem ostatniéj woli zmarłego. W razie spłaty kapitału rentowego w przepisanym terminie stowarzyszenie orzeka, że posiadłość przestała być rentową i zarządza jéj wykreślenie z odnośnego rejestru. Pożyczek może stowarzyszenie udzielać w listach rentowych na melioracye, w razie klęsk elementarnych lub klęsk rodzinnych. Pożyczka nie może jednak przewyższać sumy spłaconéj z kapitału rentowego. Stowarzyszenie zawiera kontrakt pożyczki z posiadaczem włości rentowéj i czuwa nad tém, żeby pożyczka na odpowiedni

cel była użyta. Listy rentowe, wydawane przez krajowe stowarzyszenie rolników, mają gwarancyę swą w całym jego majątku [1]).

Oto główne punkta projektu zaprowadzenia włości rentowych. Równocześnie jednak z tym projektem wniósł rząd inny, który się odnosi do zawodowéj organizacyi rolników. Projekt drugi ma na celu ułatwić spełnianie wspólnych członkom zadań. Przymusowa wedle projektu organizacya rolników składa się z powiatowych stowarzyszeń w każdym powiecie sądowym, podlegających krajowemu stowarzyszeniu w każdym poszczególnym kraju koronnym Przedlitawii. Organizacya ta obok zadań etycznych ma do spełnienia ważne posłannictwo gospodarcze i społeczne. Do niéj należy zakupno artykułów potrzebnych gospodarstwu rolnemu, sprzedaż rolnych płodów swych członków, urządzanie domów składowych, odpowiadających temu celowi, organizacya kredytu, opartego na złożonych w składach towarach. Środki pieniężne gromadzi stowarzyszenie drogą nakładania dodatków do państwowego podatku gruntowego; organa administracyjne mogą pośredniczyć w wybieraniu tych dodatków. Celem wykonywania prawa nadzoru, rząd jakotéż wydział krajowy miałby reprezentanta w stowarzyszeniu. Wyżéj wymienione zadania stowarzyszenia są podrzędne, punkt ciężkości stowarzyszenia rolników ma leżéć w zakładaniu włości rentowych [2]).

Staraliśmy się przedstawić z pomiędzy ustawodawczych prób agrarno-politycznych tylko te, które najbardziéj na uwagę zasługują. Dodajemy, że i rządy węgierski i włoski wniosły do odnośnych parlamentów w ostatnim czasie projekta reformy agrarnéj.

IV.

Historyczny rozwój społecznych i gospodarczych stosunków rolnych, naszkicowany na wstępie w ogólnych zarysach, stanowi dla nas podstawę do rozbioru i oceny tak teoretycznych zapatrywań na kwestyę agrarną, jak prób reformy ustawodawczéj. Wykazał on, zdaje się, dostatecznie, że na przesilenie, jakie rolnictwo europejskie obecnie przebywa, składa się cały szereg zjawisk, przyczynowo ze sobą związanych. Wykazał on przedewszystkiém, że rolnictwo jest zagrożone

---

[1]) Por. „Gesetzentwurf betreffend die Errichtung von Rentengütern, XI Session, 1893“, wraz z „Erläuternde Bemerkungen“; por. téż Leopold Caro: j. w., i Aleksander Mataczyński: „Posiadłości rentowe według ustaw pruskich i według projektu austryackiego rządowego“, 1894.

[2]) Por. „Gesetzentwurf betreffend die Errichtung von Berufsgenossenschaften d. Landwirte, XI Session, 1893“.

w swoich podstawach i to nie w małym stopniu, dzięki nowoczesnemu ustrojowi prawnemu i gospodarczemu, na którym liberalizm wycisnął swoje piętno. Stąd wynika, że zrodzony w historycznym rozwoju stan rzeczy wymaga dokładniejszéj obserwacyi i że nie wystarcza traktowanie sprawy tak doniosłéj dla całego społeczeństwa powierzchowne, jak to czynią zwolennicy szkoły liberalnéj. W każdym razie mylném jest zapatrywanie, iż za depresyę produkcyi zboża, którą pociąga za sobą wywołany konkurencyą zagraniczną spadek cen, winić należy rolników w odnośnych krajach dowożących, którzy nie mogą produkować zboża w dostatecznéj ilości. Za tém idzie bezzasadność wniosku, iż rolnicy ci powinni zaniechać produkcyi zboża, a jąć się innych, zyskowniejszych rodzajów uprawy. Zupełnie mylnym i niesprawiedliwym jest zarzut, że sami właściciele ziemscy spowodowali niezaprzeczenie nadmierne odłużenie. O ile zwolennicy liberalizmu ekonomicznego uznają smutne położenie rolników, wskazują „pomoc własną” jako jedyny środek zbawczy, państwu zaś konsekwentnie odmawiają ingerencyi, przynajmniéj dopóki położenie rolnictwa nie jest nieznośném. Wiemy atoli, że już dzisiaj położenie to jest opłakane, że pomoc własna nie jest wystarczająca dla uzdrowienia upadającego rolnictwa, że koniecznem staje się podjęcie akcyi ratunkowéj ze strony państwa na wielką skalę [1]).

Terapia nie powinna jednak być tak symptomatyczną, jak proponują zwolennicy polityki prohibicyjnéj. Nie można zatrzymywać wzroku na zewnętrznych objawach, jak np. na fakcie ciągłéj zniżki cen płodów rolnych i starać się o środek zaradczy na każdy z dostrzeganych objawów z osobna, lecz trzeba sięgnąć głębiéj. Zresztą pominąwszy, że środki te luźne nie opiérają się na jakiéjś wyższéj myśli przewodniéj, nie wszystkie są skuteczne i racyonalne, nie wszystkie dadzą się wykonać. Najważniejszy, zdaniem téj kategoryi polityków, bo najwidoczniejszy na zewnątrz objaw, spadek cen zboża, ma wymagać reakcyi w formie odpowiedniéj polityki celnéj i monetarnéj. Ale cła zbożowe nawet w tym kierunku nie są skuteczne dla rolnictwa, ponieważ nie mogą wpływać na równomierny rozdział dochodów między wszystkie kategorye własności. Nadto zaś, podnosząc cenę środków żywności w kraju, oddziaływają ze swéj strony na wzrost płacy, więc i na wzrost kosztów produkcyi nietylko rolniczéj, neutralizując niejako w ten sposób swój bezpośredni skutek, lecz i produkcyi przemysłowéj i sprowadzają konieczność ochrony celnéj także dla przemysłu, innemi słowy, one w konsekwencyi prowadzą do otoczenia całego gospodar-

---

[1]) Por. Ruhland: j. w.; K. Preser: j. w.

stwa społecznego niby murem chińskim, co jest równoznaczne z jego ruiną. Nie trzeba prócz tego zapominać, że konkurencya zamorska, która właśnie powoduje skutkiem znacznéj podaży produktów zniżkę cen, nie jest zjawiskiem przemijającém, wyjątkowém, należy ją raczéj uważać za związaną z całym dzisiejszym rozwojem ekonomicznym i z tendencyą tego rozwoju w przyszłości. A lubo nie można pomijać trafnéj uwagi Ruhlanda, że „zbytnia podaż płodów rolnych na targu światowym wiecznie trwać nie będzie, gdyż żaden kraj rolniczy nie zechce dłużéj, niż tego wymaga absolutna konieczność, zostawać na tym niskim stopniu rozwoju", to przecież nie można przypuszczać, żeby to przejście do wyższego, przemysłowego typu gospodarczego, miało nastąpić rychło i w całym świecie równocześnie. Należy raczéj przyjąć, że gdyby nawet przepowiednia Ruhlanda w niedalekiéj przyszłości ziścić się miała w Ameryce północnéj, to jeszcze przez długie pono wieki podostatkiem będzie ziemi do uprawy w Ameryce południowéj, w Azyi, w Afryce i w Australii. Wobec tego zaś z konkurencyą zagraniczną i z jéj wpływem liczyć się trzeba dzisiaj jakby ze zjawiskiem trwałém. To téż za daremne uważać należy usiłowania trwałego zneutralizowania wpływu zagranicznéj konkurencyi za pomocą ceł zbożowych. Nie więcéj widoków ma drugi ze środków proponowanych na spadek cen, t. j. polityka monetarna w kierunku bimetalistycznym. Można wprawdzie przypuścić, że międzynarodowy układ monetarny, gdyby kiedyś przyszedł do skutku, zdołałby wpływ drożejącego pieniądza złotego na ceny, jeśli nie usunąć, to złagodzić przez zaprowadzenie powszechnéj waluty podwójnéj. Widoki jednak międzypaństwowego porozumienia w tym względzie są tak słabe, że i sprawy walutowéj w rachubę brać nie można, chcąc przystąpić do pozytywnéj reformy agrarnéj wewnątrz państw poszczególnych. Tak tedy środki, mające wedle zwolenników ceł opiekuńczych zaradzić przesileniu rolniczemu, bądź jako niedostateczne, bądź jako przemijające, nie mogą służyć za podstawę szerokiéj reformy [1]).

Mniéj oddalona od poznania istoty kwestyi agrarnéj jest grupa pisarzy z Schäffle'm na czele, która w zbytniém odłużeniu hypoteczném upatruje główne źródło przesilenia, a w usunięciu wadliwéj organizacyi kredytu ratunek upadającego rolnictwa. Ale i ten pogląd nie obejmuje jeszcze całości kwestyi. Wprawdzie bowiem nadmierne odłużenie hypoteczne jest najdotkliwszym objawem krytycznego stanu rolnictwa, lecz nie jedynym. Stąd złudną jest nadzieja, jakoby z wadliwą organizacyą kredytu i samo odłużenie ustąpić musiało. Wszak na odłuże-

---

1) Hdw. d. Staatsw. Agrarkrisis.

nie, jak wiadomo, składa się cały szereg przyczyn, związanych organicznie z wytworzonym ustrojem gospodarczo-społecznym. Dlatego też nie można „inkorporacyi kredytu hypotecznego" uważać, jak pragnie Schäffle, za główny gmach przyszłéj reformy, do którego należałoby dostroić jeszcze dobudowania odpowiednie. Przedewszystkiém bowiem położyć musimy fundament pod przyszłą budowę. A fundamentu dostarczyć nam może znajomość historycznych warunków reformy. W tym celu zaś należy badać dalej i zbadać najpierw istotę samego odłużenia. Z tém wszystkiém projektu Schäfflego reorganizacyi kredytu nie można ignorować. Zawiera on myśl zdrową, która w przyszłéj reformie agrarnéj nie może być bez wielkiego znaczenia. Mówimy o idei korporacyjnego złączenia średnich i małych właścicieli ziemskich i o oparciu na niém organizacyi kredytu. Do tego punktu jakotéż do poruszonéj również przez Schäffle'go myśli ustanowienia granicy odłużenia późniéj powrócimy.

Istotę samego odłużenia hypotecznego, jego głębszą przyczynę zbadać się starał Rodbertus. „Zasada rentowa" bliższa też jest prawdy, zwłaszcza prowadząc do świetnéj dyagnozy przesilenia. Wprawdzie trudno przyznać słuszność zapatrywaniu Rodbertusa w téj formie, iż ziemia wogóle jest czémś zasadniczo zupełnie różném od kapitału, iż należy uważać ją i traktować za źródło renty jedynie, za fundusz dający rentę. Nie ulega wątpliwości, że między ziemią a kapitałem zachodzi istotna różnica, kiedy ziemia przedstawia nam się jako prosty wytwór przyrody. Jest ona siłą surową tylko, gdy zaś kapitał z natury swéj jest siłą wykształconą, czynnikiem produkcyi, obdarzonym temi własnościami, jakie mu w świetnym wywodzie przypisuje Rodbertus. Ale też ona nie jest owém źródłem renty, stanowi część przyrody, *in potentia* wprawdzie zdolną stać się pod wpływem społecznéj pracy ludzkiéj czynnikiem produkcyi, ale w rzeczywistości jeszcze martwa Ażeby ziemia dawała jakiś dochód, musi już miéć udział w produkcyi jako wykształcona pracą ludzką siła. W takim razie jednak nie można, jak to czyni Rodbertus, przychodu z ziemi rozkładać na przychód z przedsiębiorstwa rolnego i na przychód przypadający w udziale właścicielowi ziemi jako takiemu, czyli na zysk i na rentę gruntową. Mimo to słuszne jest zapatrywanie, że renta gruntowa przy rozdziale dochodów zostaje pod wpływem innych czynników, aniżeli zysk z kapitału lub płaca. Doświadczenie uczy, że przychód z ziemi a z kapitału nie zawsze pozostają w harmonii, że to, co wpływa na wzrost zysku, nie koniecznie tak samo, a czasem wręcz odwrotnie działa na przychód z ziemi. Jest to wyraz wzajemnéj zawisłości wszystkich gałęzi gospodarstwa społecznego, z drugiéj strony

zaś także wyraz nie dającéj się zaprzeczyć różnicy ekonomicznéj między gospodarstwem rolném, jako grupą pewnych czynności, a innemi dziedzinami gospodarczemi. Do téj różnicy powinna się stosować wszelka racyonalna organizacya kredytu, a o ile istniejąca organizacya jéj nie uwzględnia w pożądanéj mierze, należałoby dążyć do jéj zmiany. Pytanie tylko, czy w takim razie organizacyę kredytu rolnego oprzéć należy na myśli Rodbertusa, iż przy oznaczeniu wartości ziemi winno się brać za podstawę sam przychód, nie kapitalizując go wcale. Kwestya stosunku t. zw. prawdziwéj wartości, t. j. wartości wedle przychodu, a wartości obrotowéj zbyt mało jest zbadana, żeby można wydać sąd o tém zapatrywaniu Rodbertusa, które na pierwszy rzut oka uderza swą naturalnością, swą prostotą. To jednak zdaje się ze słusznością zaznaczyć można, że myśl ta w konsekwencyi prowadzi do odcięcia niejako gospodarstwa rolnego od całego organizmu społecznego i wymaga dlań odrębnych urządzeń, które niełatwo pogodzić się dadzą z duchem całego ustroju gospodarczego istniejącego, albo z tendencyą prawdopodobnego ukształtowania się jego w przyszłości. Uwaga ta znajduje poparcie w dalszém żądaniu Rodbertusa oparcia zalecanéj organizacyi kredytu na lokalnych związkach samych właścicieli ziemskich [1]).

Bądź co bądź, bystre zapatrywanie Rodbertusa, jego wyświetlenie właściwości gospodarstwa rolnego, podkreślenienie potrzeby uwzględniania tych właściwości i zwrócenie uwagi na kierunek, w którym szukać trzeba źródła nadmiernego odłużenia własności ziemskiéj, odkrywa całą doniosłość kwestyi agrarnéj i otwiéra dla późniejszych badaczy szerszy widnokrąg. Sam pogląd Rodbertusa na kwestyę agrarną nie mógł objąć wszystkich jéj zjawisk, ponieważ za jego czasów jeszcze się nie ukazywały, stąd nie jest wolny od zarzutu jednostronności lub niedokładności.

Za to daleko dokładniejszém, wszechstronniejszém jest naszkicowane wyżéj zapatrywanie większości dzisiejszych ekonomistów. Ci na podstawie historycznego badania doszli do słusznego wniosku, że na dzisiejszy stan rolnictwa złożyło się przeobrażenie prawne i gospodarcze w ostatnim wieku, że ono uczyniło go wrażliwym na wszelkie wpływy zewnętrzne. Stąd to pochodzi, że spadek cen płodów rolnych i długi tak bardzo dziś przygniatają gospodarstwo rolne. Nie uzasadnia to jednak twierdzenia konserwatywnéj grupy owych pisarzy, że dla uzdrowienia stosunków rolnych, należy znieść cały dzisiejszy ustrój prawny i gospodarczy i powrócić do dawnych urządzeń — przynaj-

---

[1]) Por. J. Kirszrot-Prawnicki („Ekonomista polski", 1894): j. w.

mniéj, jak dodają, co do własności ziemskiéj. Ustrój dzisiejszy, a raczéj jego duchowa podstawa stanowi cywilizacyjną zdobycz społeczeństw europejskich. Jedynie odżywiający rozwój kulturalny zdoła go przekształcić, żadną miarą zaś nie ustąpi miejsca dawnym urządzeniom, choćby go przymusem usunąć próbowano. Co prawda, nie zawsze pozytywne prawo odpowiada rzeczywistym potrzebom życia społecznego. W naturze każdego pozytywnego ustroju prawnego leży to, że nie może podążać za kalejdoskopowém kształtowaniem się stosunków rzeczywistych, że nie przewidując tych zmian wielu, rodzących się z niemi nowych potrzeb nie uwzględnia, że z czasem „rozum staje się nonsensem, dobrodziejstwo—plagą". Z drugiéj jednak strony pracujący bezustannie duch ludzki wykrywa odpowiadające owym nowym potrzebom ideały i wymogi etyczne, które w miarę przenikania do umysłów ogółu sprawiają, że dawne formy prawne, przy sposobności praktycznego stosowania ze strony państwa pozytywnych przepisów, otrzymują coraz odpowiedniejszą treść i naginają się do świeżych potrzeb — aż się okażą tak krępującemi, że wypadnie je zastąpić nowym, opartym na świéżo uzyskanéj podstawie kulturalnéj pozytywnym ustrojem prawnym. Zadaniem państwa jest właśnie baczyć na to, żeby forma ustroju prawnego odpowiadała ile możności zawsze rzeczywistym potrzebom życia społecznego i wymogom etycznym. W tym celu powinno ciągle formę tę w drodze administracyjnéj ożywiać, w stosownéj zaś chwili w drodze prawodawczéj zmienić odpowiednio do owych potrzeb społecznych i wymogów etycznych. Nigdy jednak nie powinno wracać do urządzeń, które w swoim czasie miały racyę bytu, spełniając swe posłannictwo, ale które, ustąpiwszy pod naporem nowych stosunków i idei, nie dałyby się organicznie wcielić do dzisiejszego ustroju i stanowiłyby w nim element obcy. Uwagi te odnoszą się do szermierzy ultrakonserwatywnéj, antykapitalistycznéj polityki agrarnéj, przedewszystkiém do systemu agrarnego Ruhlanda. System ten dąży do cechowego urządzenia gospodarstwa rolnego, do wyodrębnienia tego gospodarstwa od całości organizmu gospodarczego. Wśród dzisiejszych stosunków znaczyłoby to usunąć rolnictwo od wpływu świata gospodarczego, utrudnić mu odżywianie się z innych dziedzin gospodarstwa społecznego, zamknąć i jakby sparaliżować jedną, istotną część organizmu społecznego. Zresztą i podstawa, na któréj się wznosi cały system agrarny Ruhlanda, nie jest bardzo pewna. „Prawdziwa wartość" własności ziemskiéj, mająca być tą podstawą, jest to pojęcie zaczerpnięte u Rodbertusa, a rozwinięte i określone ściśléj przez Ruhlanda z uwzględnieniem różnych stopni rozwoju gospodarczego. Trudność oznaczenia stosunku téj prawdziwéj wartości do

wartości obiegowéj, obliczanéj na zasadzie kapitalizowania przychodu, wskazaliśmy już wyżéj przy rozbiorze poglądu Rodbertusa. Co się zaś tyczy pojęć: „pierwotna wartość przychodu", „prawdziwa wartość" wedle określenia Ruhlanda, odsyłamy do szeregu wątpliwości, podniesionych przez Buchenbergera, a przez tamtego nie rozwianych [1]. W końcu nie zawadzi wspomniéć, że, zdaniem niektórych pisarzy, system agrarny Ruhlanda przyczyniłby się do przyśpieszenia procesu proletaryzacyi ludności wiejskiéj [2].

Z pomiędzy reform, proponowanych przez Seringa i innych uczonych, wypada najpierw omówić reformę spadkową. Nie ulega wątpliwości, że prawo spadkowe bardzo doniosły wywiéra wpływ na własnościowe stosunki w społeczeństwie. To też reforma prawa spadkowego w zasadzie jest usprawiedliwioną, jeśli stosunki własnościowe stały się z przyczyny tego prawa nieodpowiedniemi. Ale kierunek i zakres takiéj reformy nie są obojętne. Wedle wspomnianych pisarzy, reforma spadkowa miałaby przeciwdziałać rozdrabnianiu się własności ziemskiéj w téj saméj rodzinie. W kombinacyi z „zasadą rentową" nowe prawo dziedziczenia ograniczałoby także możność nadmiernego odłużenia. Do tego celu byłoby, zdaniem ich, zastosowane jedynie ustawnicze beztestamentowe niepodzielne prawo dziedziczenia. Przedewszystkiém zauważyć należy, że idzie nietyle o utrzymanie własności ziemskiéj przy dzieleniu spadku i opiérać się na zasadzie utrzymania własności ziemskiéj w téj saméj rodzinie, ile raczéj o utrzymanie jedności i całości gospodarstwa. W takim razie zachodzi pytanie, czy cel nie da się osiągnąć w inny sposób, aniżeli przez proponowane prawo dziedziczenia [3]. Pominąwszy to nawet, stwierdzić musimy, że poważne podnoszą się wątpliwości tak co do kierunku, jak co do zakresu reformy. Niektórzy pisarze mianowicie wykazują, że zalecane to prawo dziedziczenia nieraz wychodzi na niekorzyść albo rodzeństwa, albo głównego dziedzica, dając tamtemu zamiast działu własności wynagrodzenie, więc wyzuwając je z posiadania, dziedzica zaś narażając na zadłużenie [4]. Prawo takie zmniejsza podaż gruntów i przyczynia się w ten sposób do wzrostu ceny ziemi, koncentruje ono własność ziemską w ręku nielicznych jednostek i mogłoby podobnie, jak to było w Anglii, w połowie naszego stulecia, przyczynić się do pochłonięcia gospodarstw

---

1) „Zeitschrift f. d. ges. Staatsw.", 1895, str. 355 nast. i str. 736 nast.

2) Por. „Die Neue Zeit", 1894 (XIII), str. 58.

3) L. Brentano. „Die Wirkungen des Anerbenrechtes" w „Die Zukunft", 1895 (XII), 590.

4) Schäffle. „Agrarpolitik" w „Die Zukunft", VII, 491 i VIII, 159.

małych przez wielkie przedsiębiorstwa rolne [1]). Niepodzielne prawo dziedziczenia nie nadaje się zresztą dla wszystkich okolic. W okolicach z gospodarstwem intensywném osłabia ono energię gospodarczą uprzywilejowanego dziedzica, utrudnia mu używanie kapitału obrotowego i korzystanie z kredytu obrotowego [2]). W takich okolicach, gdzie pod wpływem stosunków gospodarczych zapanowała już zasada podzielności gruntów, natrafiłoby nowe prawo spadkowe na wielki opór ludności, a przymusowo wprowadzone zaostrzyłoby sprzeczności interesów, zwiększyłoby liczbę proletaryatu wiejskiego, nie osiągnęłoby więc pożądanego skutku, wzmagając natomiast niezadowolenie [3]). Wobec takich wątpliwości uzasadnioném jest zdanie Buchenbergera, „że tam, gdzie zgodnie z wytworzonemi raz stosunkami gospodarczemi utrzymało się niepodzielne dziedziczenie własności ziemskiéj, zwyczaj ten utwierdzić należy przy pomocy ustawniczego prawa niepodzielnego dziedziczenia, że jednak ogółowi prawa takiego powszechnego narzucać nie można, zadając gwałt rozwojowi historycznemu, który w pewnych okolicach z konieczności gospodarczéj prowadził do swobodniejszych form dziedziczenia" [4]). Widzimy zatém, że reforma spadkowa, proponowana przez Seringa i innych, nie miałaby bardzo szerokiego zastosowania. Mimo to, ograniczony jéj zakres byłby dość znaczny, bo, wedle zdania Schäffle'go i Buchenbergera, dałaby się stosować na znacznym obszarze, zwłaszcza w północnych Niemczech, w północnéj Francyi, w Skandynawii i w wielu okolicach w Austryi. Należałoby jednak w tym jéj zakresie i o tém pamiętać, że zasada niepodzielności nie może być bezwzględnie stosowana do wszystkich kategoryi własności, że nie może być zamiarem wspomnianéj reformy ustawodawczéj popiérać tworzenie się rozległych fideikomisów z jednéj strony, ani wieczne wegetowanie karłowatych parcel, że opieka ustawodawcza, dążąca do utrzymania całości gospodarstwa, rozciągać się powinna tylko na średnią własność ziemską, któraby wobec tego pośród tamtych dwóch kategoryi rozwijać się mogła swobodnie w kierunku wzrostu obszaru własności i liczby właścicieli.

Drugi główny środek zaradczy przeciw przesileniu rolniczemu, proponowany przez Seringa i niektórych innych ekonomistów, t. j. ustanowienie granicy odłużenia napotyka również liczne zarzuty. Po-

---

[1]) L. Brentano: j. w., 593.

[2]) Schäffle: j. w., VIII, 161.

[3]) A. Stengele. „Die Bedeutung des Anerbenrechts für Süddeutschland", Stuttgart, 1894.

[4]) „Zeitschrift f. d. ges. Staatsw., 1895, 346.

wiadają mianowicie, że ustanowienie takiéj granicy jest niemożliwe z powodu trudności oszacowania gruntu, które przecież jest warunkiem jego nieodzownym. Wartość gruntu jest względną, różną z różnych punktów widzenia, bo inną dla posiadacza, inną dla pragnącego nabyć, inną przy grożącém wywłaszczeniu [1]). Nie mniejszą trudność przedstawia, zdaniem niektórych, oznaczenie owego *minimum* utrzymania rodziny rolnika, mające wraz z innymi momentami służyć, wedle Schäffle'go, za miarę owego ograniczenia. Ani rodzinne stosunki pod względem liczby członków rodziny nie wszędzie są równe. ani potrzeby stanu rolniczego nie wszędzie na jednym znajdują się stopnia rozwoju. To téż organizacya kredytu z tendencyą ograniczenia musiałaby być szablonową, nie uwzględniając indywidualnych różnic, często stosownie do okolic bardzo daleko idących [2]). Większą racyę przyznaje się myśli Seringa, żeby za podstawę granicy odłużenia uważać wysokość czynszu dzierżawnego gruntu [3]). Ale myśl ta jeszcze nie usuwa wątpliwości co do możności ustawodawczego ograniczenia odłużenia. Zresztą sam Sering tyle dopuszcza wyjątków od granicy odłużenia dla kredytu melioracyjnego, dla kredytu na powiększenie kapitału obrotowego i w razie klęsk, że granica byłaby ułudną, tembardziéj, że i obecnie większość wypadków nadmiernego odłużenia do tych przyczyn sprowadzić się daje. Prócz tego byłaby prawdopodobnie zbyt daleko wysunięta, ażeby stosować się mogła ogólnie. W takim zaś razie możność zbytniego odłużenia w wielu wypadkach nie byłaby uchylona. W końcu niektórzy wykazują zgubne skutki, jakieby ustanowienie granicy odłużenia sprowadzić mogło, gdyby w drodze ustawodawczéj weszło w życie. Wywołałoby prawpopodobnie obniżkę cen ziemi, co wśród dzisiejszych okoliczności pociągnęłoby za sobą bankructwo średniéj własności [4]). Tych wszystkich trudności zwolennicy zasady ograniczenia możności zaciągania długów nie widzą w tym stopniu, żeby od niéj mieli odstąpić. Schäffle twierdzi, że możność odłużenia do granicy przez niego wskazanéj uważać należy za kierującą zasadę tylko, że natomiast w praktyce nieraz od téj zasady odstępować się będzie, odpowiednio do wymogów miejscowych. Po ewentualnéj zniżce cen ziemi spodziéwa się Schäffle, że i ludzie o mniejszym majątku mogliby nabyć małą posiadłość na trwałą własność. Zresztą byłaby

---

[1]) Bon. w „Verhandlungen der Agrarkonferenz" (Landw, Jahrb. 1894 r., jak wyżéj).

[2]) Tamże; Th. v. d. Goltz: j. w.

[3]) Buchenberger, w „Zeitschrift f. d. ges. Staatsw., 1895, str. 353.

[4]) Bon: j. w., po części hr. Kanitz w „Verhandlungen der Agrarkonferenz", j. w.

owa obniżka ceny ziemi, zdaniem jego, zgodna z „naturalną” ceną. Granica odłużenia reguluje cenę ziemi w ten sposób, że „wartość obrotową prze ku naturalnomu punktowi ciężkości ceny, ku wartości kapitałowéj przeciętnego przychodu czystego” [1]). Zdaje nam się, że podniesione wyżéj wątpliwości oparte są na dość dokładnéj obserwacyi stosunków i że trudno je obalić zanadto abstrakcyjnemi przypuszczemi. Z tém wszystkiém zasada ustanowienia granicy odłużenia mogłaby mieć zastosowanie pośrednie przy zakładaniu nowych posiadłości, jak sądzi Conrad, który jednak z góry dodaje, że przy ustanawianiu téj granicy odmiennie należy traktować posiadłości wielkie a małe [2]). Ale nawet stosowanie téj zasady w mniéjszym zakresie zawisło od odpowiedniéj organizacyi kredytu.

Organizacya kredytu odpowiedniejsza, niż dotąd, należy obok instytucyi posiadłości rentowych do wspomnianych wyżéj, zalecanych przez Seringa, uzupełnień reformy agrarnéj pod względem społecznym i gospodarczym. Co do zasad reorganizacyi kredytu nie ma zgody pomiędzy uczonymi, to jednak wszyscy utrzymują, iż reorganizacya ta powinną obejmować nietylko kredyt hypoteczny, ale i osobisty. Zapatrywanie to jest zupełnie słuszne, jak słusznem jest żądanie, żeby kredyt osobisty dla rolników zorganizować w pożyczkowych kasach systemu Raiffeisena, które okazały się bardzo odpowiedniemi zwłaszcza w Niemczech. Co się tyczy kredytu hypotecznego, jak wiadomo, Schäffle pragnie go „inkorporować”, t. j. udzielanie tego kredytu monopolicznie zastrzedz zawodowéj korporacyi rolników. Sama idea korporacyjnego złączenia rolników jest bez kwestyi nietylko piękną i doniosłego znaczenia cywilizacyjnego, bo dąży do podniesienia wartości człowieka i jego poczucia obowiązku, ale stoi téż w zupełnéj harmonii z asocyacyjnemi dążeniami najnowszych czasów, i ma widoki rychlejszego czy późniejszego urzeczywistnienia się w sferze społecznéj. To téż i oparcie na takim związku organizacyi kredytu wydaje się uzasadnioném. Bardzo wątpliwém jest tylko, czy korporacya powinna mieć zastrzeżony sobie monopol przyznawania kredytu, a jeszcze bardziéj, jak widzieliśmy, czy podstawę téj organizacyi kredytu mogłaby stanowić granica odłużenia w kierunku wytkniętym przez Schäffle'go. O instytucyi posiadłości rentowych, zalecanéj również jako uzupełnienie reformy, wypowiemy zdanie swoje przy rozbiorze ustaw i projektów agrarno-politycznych. Tu zauważymy tylko, że da

---

[1]) „Agrarpolitik“ w „Zukunft“, VII, 496.
[2]) W „Verhandlungen d. Agrarkonferenz“, Ldw., Jbrb. j. w.

się ona sprowadzić do „zasady rentowéj” Rodbertusa, którą w zmienionéj nieco formie stosuje praktycznie w szczupłym zakresie.

Staraliśmy się poddać analizie najwybitniejsze zapatrywania na kwestyę agrarną z pominięciem tylko poglądu socyalistycznego, w krytykę którego tu wdawać się nie można, ponieważ opuszcza właściwą dziedzinę naszego badania, dzisiejszy ustrój społeczny. Przystępujemy do rozbioru ustawodawczych środków zaradczych przeciw niedomaganiu rolnictwa, których znaczenie i miejsce pośród ogółu proponowanych reform łatwiéj teraz ocenić zdołamy ze stanowiska wymagań nauki i potrzeb rolnictwa.

Tak ustawy pruska i angielska, jako téż projekt austryacki mają cel na pozór podobny. Przypatrzywszy się zaś bliżéj, spostrzegamy, że w Anglii przeważa wzgląd na potrzebę nierozwiniętéj tam mniejszéj własności ziemskiéj, że więc ten wzgląd cechuje Small-Holdings-Act. W Prusiech idzie o dostarczenie większéj własności ziemskiéj sił roboczych, o działanie przeciw emigracyi robotników wiejskich i o kolonizacyę wewnętrzną. Projekt austryacki pragnie przeciwdziałać zbytniemu odłużeniu rolników, oczyścić własność ziemską z ciężarów hipotecznych i dąży do utrzymania stanu włościańskiego [1]. Bądź co bądź nie ulega wątpliwości, że punkt wyjścia wszystkich trzech prób ustawodawczéj reformy jest społeczny. Mimo to, już na pierwszy rzut oka wobec ogromu zadań polityki agrarnéj przedstawiają się jako środki drobne, zresztą w jednym tylko kierunku stosowane. Stosuje się to głównie do ustawy pruskiéj, która ani pod względem tendencyi, ani pod względem sposobu przeprowadzenia nie może mieć pretensyi do załatwienia kwestyi rolnictwa w Prusiech. Oparta na wolnéj umowie prywatnéj instytucya posiadłości rentowych nie rokuje nawet widoków skuteczności reformy choćby tylko w kierunku, który jéj ustawa wytknęła. Doświadczenie bowiem uczy, że stosunku rentowego bez pomocy państwa wcale nie zawierano. Dopiéro gdy państwo zamienia wierzytelność rentową w kapitał, osoby interesowane mogą z ustawy korzystać. Atoli widzieliśmy, że ta pomoc publiczna wedle ustaw pruskich jest tylko pomocniczą, wyjątkiem od reguły, którą pozostaje i nadal stosunek dobrowolny. Taki stosunek zaś może nieraz zgubne mieć następstwa. Gdyby mianowicie często zawiérały ze sobą stosunek rentowy osoby, z których jedna, sprzedawca jest chlebodawcą nabywającego, mógłby się łatwo wyrobić pewien rodzaj poddaństwa. Wprawdzie, jak nam wiadomo, taki stan rzeczy nie byłby przeciwny zapatrywaniom niektórych teoretyków, ale nie dałby się pogodzić

[1] Por. „Erläuternde Bemerkungen“: j. w.

z duchem czasu ani wogóle z ideą rozwoju. Z tego wszystkiego wynika, że z podobnych ustawach tylko pod tym warunkiem spodziewać się można pewnych korzyści, jeżeli państwo lub korporacye publiczne zawierają umowy rentowe z interesowanymi. Nadto wytknąć należy jako wadę ustaw pruskich, że nie chronią posiadłości rentowych od zadłużenia [1]).

Co się tyczy innych urządzeń agrarno-politycznych w Prusiech, wszystkie, któreśmy wyżéj poznali, dążą w odpowiednim kierunku do wzmocnienia siły odpornéj rolnictwa. Dążenie to cechuje także miarodajne zwykle uchwały pruskiéj rady stanu. Tylko pod względem organizacyi rolników pożądaném byłoby oparcie jéj na idei korporacyjnego zawodowego złączenia zamiast kontentowania się, jak dotychczas, reprezentacyą interesów.

Ustawa angielska bierze już za podstawę związek przymusowy, radę hrabstwa i o tyle jest racyonalniejsza od pruskiéj. Ustawa ta w swoim zakresie, t. j. w zakresie tworzenia własności mniejszéj, będzie prawdopodobnie także skuteczną. Mimo to, nie może być uważana za reformę agrarną. Cel jéj zbyt drobny, więc i środek nie ma daleko sięgającego znaczenia. Zdaje się, że w Anglii nie zwrócono jeszcze należytéj uwagi na całość kwestyi agrarnéj.

Projekta austryackie na nierównie szerszéj opierają się podstawie od poprzednio wymienionych ustaw Z tego powodu zasługują na bliższe cokolwiek rozpatrzenie. Jak ustawie pruskiéj tak austryackiemu projektowi zakładania posiadłości rentowych przyświeca myśl, zawarta w „zasadzie rentowéj" Rodbertusa. Projekt zawodowéj organizacyi rolników jest zużytkowaniem idei Schäfflego, wyrażonéj w jego „inkorporacyi kredytu hipotecznego." Samo zaś urządzenie instytucyi posiadłości rentowych wzoruje się na angielskim Small Holdings-act. Widzimy zatém, że projekta wspomniane mogłyby doniosłe mieć znaczenie dla rolnictwa, mając sposobność połączenia wymogów teoretycznych i praktycznych, byleby tylko zdołały odpowiednio dostroić się do rzeczywistych stosunków rolnych w Przedlitawii.

Wiadomo, jaki główny cel sobie zakreśla projekt odnoszący się do zakładania posiadłości rentowych: przeciwdziałanie zbytniemu odłużeniu hipotecznemu. Wprawdzie znając rozciągłość przesilenia rolniczego, musimy uważać zakres ten za zbyt szczupły, ale w tym szczupłym zakresie cel jest bardzo ważny. Idzie tylko o odpowiednie środki do jego osiągnięcia. Otóż właśnie znaczenie tych środków

---

[1]) Hdw. d. Staatsw.: Rentengüter (M. Sering).

prawie wszyscy krytycy projektu podają w wątpliwość. Mianowicie wskazują, że już w zasadzie wielkim stowarzyszeniom, które wedle projektu mają obowiązek uczestniczyć w licytacyi nieruchomości, będzie to bardzo trudne bez znacznego ryzyka [1]). Wskazują także na zbyt nizką granicę maksymalną, t. j. 20-krotny czysty przychód katastralny, do którój właśnie stowarzyszenie rolników ma brać udział w licytacyi. Nieliczne skutkiem tego byłyby wypadki, w których krajowe stowarzyszenie mogłoby nabyć posiadłość licytowaną [2]). Obawiać się nawet można, czyby taki stan rzeczy nie sprzyjał spekulacyi. Mógłby bowiem spekulant nabywszy grunt za 21-krotny przychód odprzedać go natychmiast włościaninowi za 40-krotny przychód w ten sposób, że tylko część np. 1/4 ceny kupna otrzymałby w gotówce, resztę „kredytując.” Pominąwszy to wszystko, wypadki egzekucyjnych sprzedaży zadłużonych własności stanowią bądź co bądź małą bardzo część własności ziemskiéj obciążonéj długami hipotecznemi [3]). Środki te są więc niedostateczne do osiągnięcia celu zakreślonego. Bo nie można się spodziewać, żeby po za drogą przymusową na dobrowolny wniosek właściciela często powstawały posiadłości rentowe w myśl przypuszczenia ustawy. W razie nieznacznego odłużenia właściciel niełatwo zdecyduje się poddać kurateli stowarzyszenia, w razie zaś większego lub bardzo wielkiego odłużenia zachodzi niebezpieczeństwo, że przy rozpisać się mającéj licytacyi ktoś trzeci przelicytuje stowarzyszenie, że zatém właściciel grunt na zawsze utraci. Zresztą sam sposób urządzenia posiadłości rentowych nie mógłby nęcić nawet najbardziéj zadłużonych właścicieli. Ustawa poddaje bowiem właściciela posiadłości rentowéj tak wielkim ograniczeniom pod względem rozporządzania, że „prawo użytkowania z posiadłości rentowéj pod względem mocy swojéj pozostaje daleko po za własnością użytkową dawniejszych ustrojów prawnych” [4]). Nie dziw przeto, że projekt austryacki, dotyczący instytucyi posiadłości rentowych, nie znalazł wielu zwolenników i obrońców i że niedawno koła fachowe, reprezentanci Towarzystwa gospodarskiego oświadczyli się przeciw wprowadzeniu téj instytucyi.

O wiele racyonalniejszym przedstawia się projekt drugi, odnoszący się do organizacyi właścicieli ziemskich w przymusowych związkach zawodowych. Zakres działania stowarzyszeń rolniczych ma swój

---

[1]) Conrad: j. w.

[2]) Walter Schiff: Landw. Berufsgenossenschaften u. Rentengüter in Oesterr. (w Zeitschrift f. d. ges. Staatsw. 1895, 383 nast.: v. Grabmayr: Schuldnot und Agrarnot, 1894.

[3]) v. Grabmayr: j. w.

[4]) v. Grabmayr: j. w.; por. téż W. Schiff, j. w.

punkt ciężkości w zakładaniu posiadłości rentowych, ale jest oprócz tego bardzo rozległy, obejmując zaspokojenie etycznych i ekonomicznych potrzeb ludności rolniczéj. Ba, zakres ten jest tak rozległy, że powstaje wątpliwość, czy ludność wiejska w Austryi wszędzie dorosła do tych zadań [1]). Projektowana organizacya rolników ma ten kardynalny błąd, że nie uwzględnia różnych stopni kultury ludności wiejskiéj, różnych historycznie wytworzonych warunków gospodarczych, odmiennego w różnych okolicach usposobienia i charakteru ludności i tym podobnych zasługujących na uwagę różnic. Ta szablonowość i centralizacyjna tendencya, objawiająca się np. w tém, że decyzya stowarzyszenia nawet w sprawach niewielkiéj wagi zawisła aż od ministeryum, w końcu ociężały aparat biurokratycznego postępowania utrudnia bardzo przeprowadzenie organizacyi. Jeśli zatém zawodowa organizacya rolników ma przyjść kiedyś do skutku i działać korzystnie, musi projekt obecny uledz gruntownéj zmianie w tym kierunku, żeby ustawa państwowa, co najwięcéj, zawierała normy ogólne organizacyi, żeby zaś wypełnienie ram ogólnych zostawić ustawodawstwu krajowemu, które do właściwości i potrzeb lokalnych łatwo stosować się może [2]). Niektórzy pisarze są nawet zdania, że za podstawę organizacyi zawodowéj mogłaby służyć gmina, ponieważ doświadczenie uczy, że asocyacye rolnicze w związkach lokalnych (w kasach pożyczkowych, stowarzyszeniach spożywczych i t. p.) cieszą się powodzeniem [3]). Należałoby jeszcze zdaniem naszém przy takiéj organizacyi mieć na uwadze, żeby wewnątrz stowarzyszeń obejmujących — wedle projektu obecnego—wszystkie kategorye własności, nie ścierały się ze sobą interesa klasowe, szczególnie zaś żeby nie miały przewagi żywioły o wielkiéj potędze socyalnéj nad słabszemi, lecz żeby organizacya była korzystną i dla słabszych, właśnie dla słabszych.

V.

W szeregu teoretycznych poglądów na istotę przesilenia rolniczego i ustawodawczych kroków do jego zażegnania, których przedstawieniu niniejsza rozprawa była poświęcona, nie mogliśmy wskazać jednego któryby bezwarunkowo do celu prowadził. Przekonaliśmy się, że zapatrywaniom na zawikłaną kwestyę agrarną brak jeszcze téj jednolitéj podstawy harmonijnéj i wszechstronności, jakiéj wymaga po-

---

1) v. Grabmayr: j. w.
2) W. Schiff: j. w.; Leopold Caro: j. w.; Aleksander Mataczyński: j. w.
3) v. Grabmayr: j. w.

ważne dzieło społeczne, że brak jeszcze przewodniéj myśli wielkiéj reformy agrarnéj. Przewodnia myśl nieodzownie przyświecać zaś musi każdéj pracy istotnie społecznéj, jeśli jéj rezultaty mają być żywotne i trwałe, więc i pracy, która chce dźwignąć z upadku rolnictwo, tak ważny organ gospodarstwa społecznego. Skreślone przez nas zapatrywania teoretyczne i próby praktyczne ani same dla siebie ani nawet razem wzięte nie przedstawiają owéj pożądanéj budowy reformy agrarnéj, budowa ta jeszcze nam nieznana, czeka ona nie na budowniczego, lecz na plan architekta. Jednak, bądź co bądź, jakąkolwiek będzie przyszła budowa, dwie rzeczy będą dla niéj niezbędne, a obudwu dostarczą jéj przedstawione wyżéj zapatrywania i dążenia ustawodawcze. Z jednéj strony dostarczą one materyału dość obfitego, którego zrzec się niepodobna. Nie będzie bowiem można ignorować ani owéj wysoce pedagogicznéj i postępowéj idei Schäfflego korporacyjnego połączenia rolników, ani w zupełności zasady rentowéj Rodbertusa i praktycznego jéj zastosowania w instytucyi takiéj, jak posiadłości rentowe, ani wskazanego przezeń i rozwiniętego przez późniejszych teoretyków kierunku badania istoty kwestyi, ani rezultatów tego badania. Wszystkie te momenta będą musiały być uwzględnione przy konstrukcyi reformy. Będą jednak uwzględnione tylko o tyle—i tego uczy nas właśnie z drugiéj strony rozbiór znanych nam zapatrywań i dążeń — o ile pogodzić się dadzą ze współczesnym stanem cywilizacyjnego rozwoju i z tendencyą tego rozwoju w przyszłości. Bo jeśli w miarę rozwoju cywilizacyi stosunek osobistéj zawisłości jednego człowieka od drugiego coraz bardziéj się rozluźnia i ustępuje miejsca z jednéj strony coraz większemu znaczeniu społecznemu jednostki, z drugiéj strony zaś, mimo to, zawisłości jednostek od całego społeczeństwa, ale zawisłości w równéj mierze wszystkich jednostek, jeśli daléj w miarę rozwoju cywilizacyi każde gospodarstwo społeczne wchodzi w sferę wpływu całego świata a objawy społeczne, występujące w jednym krańcu gospodarzącego świata cywilizowanego, rychléj czy późniéj docierają do drugiego krańca — to każda reforma agrarna z tém wszystkiém liczyć się będzie musiała, tak samo, jak wszelka poważna działalność społeczna. Prócz tego, wszelka reforma agrarna zostawać będzie musiała w harmonii z innemi stronami wewnętrznego życia społecznego. Wprawdzie wzgląd na właściwości gospodarstwa rolnego, których dziś nikt nie zaprzecza, nawet socyaliści, może wymagać będzie wytworzenia odrębnego prawa normującego stosunki rolne, prawa agrarnego o analogicznym zakresie, jak istniejące już dziś prawo handlowe, prawo wekslowe, w każdym jednak razie odosobnienie rolnictwa, zamknięcie go, usunięcie od wpływów innych gałęzi pracy społecznéj ni-

gdy nie byłoby uzasadnioném. Życie społeczne stanowi organiczną całość a wszystkie strony tego życia w swéj różnorodności objawiać powinny jedność. Skoro jednak utrudnimy rozmaitym gałęziom pracy ludzkiéj wzajemne na się oddziaływanie, zabraknie życiu społecznemu normalnych warunków rozwoju. Po tych naszych uwagach zbytecznem byłoby, zdaje się, dodawać, że przyszła reforma agrarna, pomna swego zadania społecznego i pragnąca zadaniu temu odpowiedzieć, nie powinna ograniczyć się na zabezpieczeniu interesów pewnéj tylko grupy jednostek, lecz mieć na względzie dobro wszystkich, pracujących na téj saméj dziedzinie gospodarstwa społecznego.

A. Korkis.



Historya w świetle dzisiejszéj nauki.

„German schools of History." szkic p. lorda Acton. — The new spirit in History" p. Lilly, artykuł w „Nineteenth Century" za październik 1895.—„Illustrated London News" Nr 2915 r. 1895.

Z powodu powołania lorda Actona na katedrę historyi nowożytnéj w Cambridge, jeden z najpoważniejszych miesięczników angielskich [1]) zamieścił rozprawę znanego historyka p. Lilly, który oprócz własnych poglądów podaje nadto osnowę lekcyi wstępnéj nowego profesora. — Ponieważ wyżéj wspomniana praca zawiéra wiele uwag krytycznych o „nowym duchu" panującym w dzisiejszéj historyografii, przeto sądzę iż nie będzie bez pożytku przedstawić je wraz z nasuwającemi się spostrzeżeniami i naszemu kołu czytelników.

Już sam fakt wyboru w mowie będącego uczonego na tak ważne stanowisko, jest znaczącym objawem w obecném życiu publiczném Anglii; bo (jak to zresztą zaznaczył już sam profesor w swém pierwszém przemówieniu) czterdzieści lat temu kołatał on naprózno jako kandydat o tęż samą posadę w Cambridge. Za tym uniwersytetem trzy inne zamknęły przed nim swe podwoje. Wtedy jeszcze religia [2]), w któréj

[1]) Nineteenth Century.

[2]) Katolicka.

się był Acton urodził i wychował, była mu w tém bardzo ważną przeszkodą nawet w liberalniejszym [1]) z dwóch głównych uniwersytetów angielskich.

Dziś czasy się do tyla zmieniły, że wyborowi prezesa angielskich ministrów przyklasnął kraj cały, oxfordzka Trinity spieszy z nominacyą nowego profesora swoim członkiem honorowym a jego lekcyi wstępnéj słuchają najznakomitsi przedstawiciele uniwersytetu ze wszystkich wydziałów. Jest to może najlepsza ilustracya zanikania tego starego ducha sekciarskiego, który jeszcze niedawno znajdował wyraz w sporach religijnych, oraz radykalnéj zmiany, jaka w ciągu lat ostatnich zaszła w głównych przybytkach wiedzy angielskiéj, czyniąc z fanatycznych twierdz protestantyzmu, skarbnice nauki w rzeczywistém i prawdziwém tego słowa znaczeniu.

Drugą przyczyną, dla któréj objęcie przez lorda Actona wyżéj wspomnianéj katedry ważnym faktem nazwać można, jest to, iż bez zaprzeczenia jest szanowny profesor jednym z najuczeńszych przedstawicieli nowoczesnego ducha w historyi.

Sir John Emerych Edward Dalberg Acton jest synem nieżyjącego już Ferdynanda Ryszarda Actona, po którym nastąpił jako ósmy z rzędu baronet w r. 1837. Dzisiejszy profesor ma lat 62 a wyniesionym został do godności para Anglii w 1869. Edukacyę pobierał najpierw w kolegium St. Mary w Oscott, kiedy zakładem tym kierował kardynał Wiseman, potém zaś kształcił się pod kierunkiem d-ra Döllingera w Monachium. W śmiałych poglądach ucznia na kwestyę soboru watykańskiego znać téż silny wpływ monachijskiego profesora. Karyerę polityczną rozpoczął Acton, jako reprezentant miasta Carlow w szeregach partyi liberalnéj od 1859 — 1865, potém wybrany przez Bridgnorth a od czasu wyniesienia do godności para zabierał kilkakrotnie głos w izbie lordów, ostatnio jako zastępca sekretarza dla Irlandyi. W roku 1865 ożenił się z hrabianką Maryą-Arco-Valler (zm. r. 1889), z którą miał jednego syna i trzy córki. W Anglii znane są szerszemu kołu czytelników jego prace dziennikarskie, jako wydawcy trzech pism peryodycznych [2]), które jednak krótko wychodziły; lecz zawierają wiele artykułów treści historyczno-teologicznéj pióra Actona. Podczas soboru watykańskiego, na skutek głośnéj broszury Gladstone'a, prowadził z nim w téj materyi bardzo wyczerpującą polemikę w „Timesie". Wreszcie ogłoszona w „Quaterly Review" rozprawa p. t. „Wolsey i rozwód Henryka VIII" zwróciła nań powszechną uwa-

---

[1]) Cambridge.

[2]) „Home und Foreign Review" od 1862 — 1864, „The Chronicle" i „The North British Review."

gę. — Lord Acton piastuje wiele honorowych godności: w r. 1872 podczas jubileuszu uniwersytetu monachijskiego mianowany został doktorem wydziału prawnego; w 1887 Oxford dał mu honorowy stopień doktora prawa cywilnego a kolegium All Souls mianowało go swoim członkiem honorowym, który to zaszczyt dzieli Acton tylko z Gladstonem. W Niemczech historyczne prace Actona znane są lepiéj jeszcze prawie niż w Anglii, gdzie taki np. „List do niemieckiego biskupa obecnego na koncylium watykańskiém" nie wielu znajdzie czytelników. Rozprawę p. t. „German Schools of History" tłomaczył na niemiecki Immelmann (Berlin 1887, Gaertner Verlagsbuchhandlung). We Francyi, Actona listy o wolności tłomaczył Emil Laveleye. Oprócz tego wiele innych prac w mowie będącego uczonego pojawiło się bezimiennie. Lord Acton jest przyjacielem Gladstone'a, który często w kwestyach dotyczących historyi odnosi się do jego rady i erudycyi.

Dotychczas w Anglii katedra historyi nowożytnéj w Cambridge, wielkie bezzaprzeczenia mająca znaczenie pedagogiczne, traktowana była iście po macoszemu. Tak się jakoś składało, że zawsze prawie powoływano na nią ludzi niekompetentnych. Możnaby powiedzieć, iż w wyborze profesorów kierowano się zasadą lorda Lyndhurst, który mianując sędziów, mawiał: „najważniejsza, aby dany człowiek był przedewszystkiém gentlemanem a jeżeli oprócz tego zna jeszcze i trochę prawa, to tém lepiéj!" Podobnie też i poprzedni ministrowie zdawali się uważać każdego literata za dostatecznie uzdolnionego do zajęcia stanowiska profesora historyi nowożytnéj w Oxfordzie lub Cambridge a pewna popularność zdobyta w dziedzinie romansu historycznego, szczególną już do tego zdawała się być kwalifikacyą. Oto najbliższe dwa przykłady: nadzwyczaj powierzchowny wykład Kingsleya, którego w r. 1860 mianował profesorem Palmerston a po nim wybór autora *Ecce homo* Sir John'a Seeley [1]). Ten wprawdzie na stanowisku swém pracował dużo a owocem téj pracy było dzieło jego o Steinie, lecz pomimo to najgorętsi nawet jego wielbiciele nie mogą powiedzieć, iż był to uczony historyk. Z lordem Acton rzecz ma się zupełnie inaczéj. Całe swe pracowite życie poświęcił on badaniom historycznym, prowadzonym z metodą iście naukową. We wszystkich zaś ogniskach wiedzy kontynentalnéj znany jest jako jeden z niewielu dziś angielskich uczonych, którego erudycya pozwala postawić go w jednym rzędzie z Niebuhrem i Rankem, Mommsenem i Treitschkem.

„Cztery powyżéj wymienione nazwiska, pisze Lilly, przypominają najlepiéj ile uczyniono w naszych czasach, aby posunąć badania histo-

---

[1]) Poprzednik Actona w Cambridge.

ryczne na stanowisko naukowe. Może nie od rzeczy będzie bliżéj określić co przez to rozumiemy.

Dwa najważniejsze są pytania, z któremi ciągle spotyka się historyk są: co? i dlaczego? W naszych czasach zaś odpowiada na nie nauka daleko gruntowniéj i systematyczniéj niż kiedykolwiek przedtém. Weźmy np. wielkich dziejopisów Grecyi i Rzymu. Dalecy od czynienia im jakiéjkolwiek ujmy, sądzimy nawet, że pod pewnemi względami przewyższają oni o całe niebo historyków późniejszych. Panuje w nich przedewszystkiém ten jakiś duch czy ton męzkości i powagi, są prawdziwemi skarbami wielkich myśli i bohaterskich czynów—kapłanami tego, co Milton nazywa „zupełną a szlachetną edukacyą, która czyni człowieka zdolnym do pełnienia sprawiedliwie, skutecznie i wspaniałomyślnie, wszystkich urzędów tak publicznych jak prywatnych, zarówno w czasie pokoju jak i wojny.” „Literackie zaś ich zalety są równie wielkie, jak etyczne. Gdzież bowiem znajdziemy więcéj skupioną siłę wymowy jak u Tacyta, większą malowniczość opisów jak u Liwiusza, czystszy i prostoty pełniejszy styl, niż u Xenofonta a groźniejszą tragiczność i siłę niż u Tucydydesa? Lecz niewielu z nich analizuje surowo opowiadane przez siebie fakty a żaden nie stara się z danych faktów, ogólnych wyciągnąć prawideł. Oni nie znają wcale tego, co my nazywamy filozofią przyczyn. Nawet u najbardziéj postępowego z nich wszystkich, u Tucydydesa, znajdujemy bardzo niewiele rzeczywistego pierwiastku naukowego. Jest on wielkim krytykiem, wielkim myślicielem i wielkim artystą. Nie zaniedbuje téż badać przyczyn. Zajmują go urządzenia i instytucye społeczne, dążenia pojedynczych partyi, walki namiętności, wymowa mężów stanu, strategia wojowników; lecz bardzo mało, prawie wcale nie zastanawiają go względy fizyczne i ekonomiczne. Tucydydes nie spostrzega jak wielkiemi i potężnemi czynnikami w ogólnym biegu wypadków historycznych są konfiguracye geograficzne, wpływy klimatu, stan sztuk i nauk, poziom moralny i warunki handlowe. Tém mniéj zaś zastanawia go ten fakt, iż prócz tego wszystkiego jest jeszcze pewna wewnętrzna konieczność przyrodzona, która wielce wpływa na kształtowanie się wypadków a konieczność ta ma swe źródło w charakterze narodowym.”

Powyższa uwaga wydaje mi się nader słuszną, bo częste potępianie naszéj np. przeszłości za to, że nie postąpiła w danym razie jak jéj sąsiedzi lub inne ludy europejskie, może właśnie winno być hamowane tym względem na charakter danego narodu. Jest to może jeden z najważniejszych punktów, którego rozpoczynający swe dzieło mąż stanu nigdy z oczu stracić nie powinien.

„Zdaje się, iż nie będzie zbyt śmiałém twierdzenie, ciągnie daléj powołany powyżéj historyk, iż Montesqieu i Vico byli pierwszymi, którzy szukać zaczęli praw rządzących zjawiskami politycznemi, Leibnitz zaś był może najpierwszym, który prawdziwie pojął ideę powszechnéj przyczynowości w dziejach ludzkich; lecz późniejszemu filozofowi, choć mniéj niż tamten sławnemu, zawdzięczamy pierwszą jasną ocenę téj ciągłości w historyi, o któréj właśnie mówił lord Acton w swéj lekcyi wstępnéj. Herdera to bowiem pojęcie o przeznaczeniu ludów, jako jednéj wielkiéj epopei, przyczyniło się bardzo do posunięcia badań historycznych na tory naukowe. Nie miejsce tu i nie czas wyliczać tych pisarzów, którzy poszli w ślady niemieckiego poety - myśliciela; dodam tylko, że i tutaj także zauważyć można jak i w każdéj innéj sferze nowożytnéj myśli ludzkiéj, wpływ potężnéj osobistości Hegla. On bowiem niewątpliwie dał silny popęd nowemu duchowi historycznemu, jakkolwiek sam we własnych dziełach poświęcał fakty dla mrzonek i podporządkowywał prawdę swoim teoryom.

W prelekcyi swéj lord Acton twierdzi, iż nowa era w dziedzinie historyoznawstwa zaczęła się dopiéro naprawdę w drugiéj ćwierci naszego stulecia. Był to czas nadzwyczajnego ruchu w dziedzinie nauk przyrodniczych a wielki ich postęp najwidoczniéj wynikał z doskonałości stosowanéj przez nie metody. Ztąd silna chęć przystosowania téjże metody do nauk moralnych a w szczególności do historyi i wkrótce „atmosfera uprawomocnionego kłamstwa," która zawisła była nad wiekami średniemi, rozproszyła się. Przestarzałe tradycye historycznego racyonalizmu, tak drogie uczonym wieku ośmnastego, znikły zupełnie. „Każda historya, mówi Emerson, powinna być pisana w duchu mądrości, który wnika w zakres naszych skłonności duchowych i patrzy na fakty, jako na symbole. Wstydzę się przyznać jak płytką gadaniną jest nasza t. z. historya."

Spostrzeżenie powyższe myśliciela amerykańskiego doskonale charakteryzuje jedno z głównych znamion nowego ducha w historyoznawstwie.

„Nie należy zapominać, są zawsze słowa p. Lilly, iż nowy ten zwrot jest, po większéj części, wynikiem wielkiéj rewolucyi francuskiéj, która sama w sobie była pewnego rodzaju buntem przeciw historyi, zmierzającym do zatarcia przeszłości i uczynienia wszystkiego nowém. Duclos twierdził, że „pewna fermentacya rozumu powszechnego, dążącego do rozwinięcia się" była cechą jego stulecia. I w rzeczy saméj: rewolucya francuska, w któréj się ta fermentacya odbyła, wprowadziła panowanie idei ogólnych. Historya stała się naukowém badaniem sił rządzących ludzkością. Rozproszony sposób zapatrywania się

na rzeczy stał się już niepodobnym dla inteligentniejszego badacza. Lessing w swoim *Nathan der Weise* słusznie pisze o wielostronności każdéj kwestyi i o trudności należytego ocenienia związku zachodzącego pomiędzy niemi:

„*In der Welt*
Ein jedes Ding, so *manche Seiten hat,*
Von denen oft sich gar nicht denken lässt,
Wie sie zusammenpassen.

Historyk dzisiejszy jednak stara się i usiłuje wykazać, jak i w jaki sposób rzeczy i wypadki wzajemnie od siebie zależą. Jego zadaniem stać po za aktorami w tym powszechnym dramacie i szukać przyczyn—geograficznych, ekonomicznych, etnograficznych, psychologicznych, politycznych i etycznych, oraz zrozumiéć należycie instytucye, w których przyczyny powyższe wyraz swój znalazły. Każdy z nas wié; jak wielce stosowanie téj metody wpłynęło na nasze poglądy w każdéj prawie epoce dziejów ludzkich. Jakież to jasne światło na religijne, domowe i polityczne instytucye Grecyi i Rzymu, albo raczéj na cywilizacyę starożytną wogóle rzuca dzieło Fustel de Coulanges p. t. *La Cité antique!* Jakże zmieniły się nasze pojęcia o ekonomiczno-socyalnéj organizacyi Niemiec w krytycznym okresie 1450—1500 r. pod wpływem badań Janssena! Ileż to zawdzięczamy wielkiemu dziełu Taine'a, które przedstawia nam prawdziwy stan dawnego porządku we Francyi, przyczyny przewrotu i rzeczywistą naturę instytucyi, które rewolucya temuż porządkowi przeciwstawiła! Są to trzy od niechcenia postawione przyklady, bo najpierw się na myśl nasuwają. Zbytecznèm jest prawie wymieniać pisarzów, którzy z pożytkiem na téjże saméj pracowali niwie—pisarzów, pomiędzy którymi widzimy przedewszystkiém Ottfryda Müllera i Niebuhra, Rankego i Mommsena, Locky'ego i Creighton'a, Alexego de Tocqueville i Alberta Sorel. Wszystko to są „wzniosłe dusze", które podług Montaigne'a są: „*âmes universelles*, *ouvertes*, *prestes à tout.*

Dosięgliśmy zatém tego, co lord Acton nazywa „pełnym rozwojem historyi", epoka ta zaś, jak i wiele innych, przedstawia pewne wyłącznie sobie właściwe trudności. Jedną zaś z najważniejszych jest niezmierna rozległość i ogrom materyału, który obecnie powinien być znanym badaczowi historyi nowożytnéj. Mówiąc o historyi nowożytnéj, rozumiéć należy wraz z lordem Acton'em wszystko to, co się stało od czterystu lat, a odgranicza się i oddziela wyraźnie od czasów je poprzedzających, a w biegu swym rozwija specyficzne i charakterystyczne cechy. Starając się zrozumiéć wypadki ostatnich czterech wieków, stajemy zdumieni przed ofitością odkryć już porobionych w archiwach

a wzrastających z dniem każdym. „Około r. 1830 (mówi prelegent) rozpoczęto na szeroką skalę badania dokumentów, a do dziś dnia badania te rozwijają się coraz więcéj i wciąż jeszcze jesteśmy zaledwie w początku ery dokumentów.” Powołując się daléj na wyżéj wspomnianą prelekcyą, ciekawą będzie np. wiadomość, że same tylko archiwa Watykanu, oddane teraz do użytku świata uczonego, wypełniły 3,239 skrzyń, gdy je przesyłano do Francyi. Każde państwo pozwala badać swe archiwa, a skutek z tego taki, iż życie całe spędzone w jednym z takich zbiorów nie wystarczyłoby na wykształcenie prawdziwego mistrza historyi nowożytnéj. Bo zanimby zdołał przejść od literatury do źródeł, od Macaulay'a, od Thiersa do nieprzebranéj korespondencyi Bonapartych, wciąż jeszcze czułby brak pobieżnego choć poznania historycznych skarbów Wenecyi i Neapolu, biblioteki Ossuna lub Ermitażu.

Rzeczą jest niewątpliwą, że pierwszym skutkiem tak wielkiego nagromadzenia się materyałów historycznych będzie podział pracy w téj sferze działności umysłowéj. I może téż tak lepiéj będzie. Często bowiem się zdarza, że człowiek pewien przedziwnie uzdolniony do krytycznego badania dokumentów, wyposażony jest bardzo skąpo, lub czasem wcale nie w literackie zdolności do umiejętnego ich ujęcia w pewną organiczną całość. Zdolność krytyczna jest bezwątpienia rzadszą niż literacka. Oto co mówi p. Lilly: „Dokument jakiś może być autentyczny, a jednak nieprawdziwy. Cóż bardziéj autentycznego, jak akt parlamentu? A jednak przez ślepe zaufanie do Aktów parlamentu, niedawno zgasły historyk Froude dał się zaprowadzić na manowce i popełnił kardynalne błędy historyczne. W studyum swém, wydaném w r. 1855 p. t. „Najlepsze sposoby nauczania historyi angielskiéj” [1]), pierwszy raz ogłosił światu swe wielkie odkrycie, że w statutach angielskich „zarówno nauczyciel jak uczeń, znajdą współczesny sąd zdrowych umysłów kraju, wyrażony z jasnością poglądów, a często z majestatem słowa, którego wpływu żadne prywatne próby imaginacyi zatrzéć nie zdołają.” Na to odpowiedział słuszną uwagą Freeman, „gdyby wstęp do Aktów parlamentu przyjąć zawsze za wiarogodne świadectwo historyczne, to historya angielska stałaby się bardzo dziwną bajką, dziwniejszą o wiele, niż nią jest nawet na kartach pism p. Froude.”

Idąc daléj, Lilly mówi, że sprawozdania i korespondencye dyplomatyczne nie zawsze téż na wiarę zasługują: „Należy być bardzo ostrożnym, aby odróżniać w nich wiadomości, spisywane przez ambasado-

---

1) The best means of teaching English History.

rów dla swego dworu, wiadomości dawnemi czasy podobne do dzisiejszego Biura Reutera, a szczególnemi świadectwami, które dane są przez naocznych świadków, lub też odezwami posłów w kwestyi specyalnie ich obchodzącéj. Trzeba przedewszystkiém poznać wszelkie idyosynkrazye danego autora, zanim zdecydujemy się jaką wagę przywiązywać należy do pism jego. Paolo Sarpi np. w opowiadaniach swych o Jezuitach jest nietyle świadkiem, co filozofem moralności. Coby należało uczynić dla krytycznego badania dokumentów, to stosować sądową metodę przesłuchiwania świadków. Jest to jednak niepodobném, przeto nie pozostaje nic innego, jak zastosować proces krytyczny, opisany przez lorda Acton jak następuje:

„Krytykiem jest ten badacz historyczny, który, natrafiwszy na interesujące i ważne świadectwo, zaczyna od podejrzywania go. I w nieufności téj trwa, dopóki świadka swego nie podda trojakiéj próbie. Najpierw pyta sam siebie, czy przeczytał dany dokument w tym duchu, w jakim go autor napisał. Czasem bowiem sekretarz, który go przepisywał, czasem wydawca, a czasem cenzor oficyalny, płatali różne figle. Jeżeli zaś żadne tego rodzaju nieporozumienie nie miało miejsca, to mogło się zdarzyć, że autor napisał dzieło swe dwa razy, że można odnaleść pierwszy jego zarys, pewne rzeczy dodane, inne zupełnie wykreślone. Drugą próbą jest pytanie, skąd autor zaczerpnął swoje informacye. Jeżeli z drugiéj ręki, trzeba to sprawdzić i badanie rozpoczynać *ab ovo*. Jeżeli z niewydanych dokumentów, trzeba je odszukać, a odszukawszy znów badać, czy na wiarę zasługują. Należy stwierdzić odpowiedzialność danego świadka historycznego, znać jego stanowisko, charakter, przeszłość i pobudki, jakie nim w życiu, karyerze i danéj pracy kierowały. I to jest, co w innéni a ściśléni tego słowa znaczeniu, zowie się krytyką wyższą, różną wielce od służalczéj, a często czysto mechanicznéj pracy śledzenia danych faktów u t. zw. źródeł. Bo historyk musi być traktowany, jak świadek przed kratkami sądowemi, t. j. nie mieć wiary, póki nie stwierdzono jego prawdomówności. Zasada, że każdy człowiek uważany winien być za uczciwego, dopóki nie dowiedziono mu, iż tak nie jest, dla historyka nie istnieje. Główném tedy usiłowaniem jego winno być nie gromadzenie materyału; lecz sztuka krytycznego badania tegoż, odróżniania prawdy od fałszu i rzeczy pewnych od wątpliwych. Badania historyczne wzmacniają, prostują i rozszerzają poglądy umysłu nietyle przez bogactwo erudycyi, ile przez sumienną i gruntowną krytykę".

Słowa te nowego profesora głębokie są i, zdaniem naszém, winny być ideałem historyków polskich szczególniéj; bo należy się obawiać, by z powodzi dokumentów i źródeł, które ostatniemi czasy ogło-

szono, nie wyciągano zbyt pośpiesznie nadto potępiających wniosków. Najlepszém i najpewniejszém świadectwem o stanie danego narodu pozostanie zawsze to, które dane było bezwiednie i nieświadomie.

„Historya—mówi daléj p. Lilly—była i będzie zawsze poniekąd psychologią. Wypadki, które opisuje, są tylko o tyle ciekawe, o ile malują i charakteryzują: namiętności, uczucia, przekonania i dążenia ludzkości.” I dlatego słuszność ma wspomniany przez nas dopiéro co autor, gdy w mowie wypowiedzianéj na bankiecie literackim, rzekł: „jeżeli chcemy się przekonać, czém było życie jakiegoś narodu w pewnym danym okresie, to objaśni nas o tém najlepiéj jego literatura.” To jest zwierciadło, w którém czasy się odbijają, to jest owo bezwiedne, nieświadome siebie świadectwo. „Każda generacya zanim zniknie, odbije się w niém. I dlatego to Arystoteles uważał poezyę za więcéj filozoficzną i na większą zasługującą uwagę niż historya φιλοσοφώτερον καὶ σπουδαιότερον ποίησις ἱστορίας ἐστίν. Tak samo zapatruje się na tę sprawę jeden z najpierwszych nowożytnych historyków Taine, twierdząc, iż literatura jest owocem najwybitniejszych zdolności każdego narodu *(les facultés maîtresses)*. „Literatura daje nam obraz życia, które przeszło przez oczyszczający je ogień myśli. I dlatego to pewno znamy wiek Peryklesa lepiéj, niż jakąkolwiek epokę historyczną, bo tak całkowicie duszę téj epoki odzwierciedlili wielcy pisarze tego okresu. Prawdziwy charakter i rzeczywiste zasługi przywódzców rewolucyi francuskiéj pozostawiły niezatarte piętno na jéj literaturze, nie wiele co wartéj sama przez się; lecz jako ilustracya epoki, nieskończone mającéj znaczenie. Jest to literatura gwałtu, fanatyzmu i nienawiści, mająca swój osobny słownik charakterystyczny; lecz maluje doskonale panujący naówczas konflikt idei, przeciwstawiający religii — naturę, przesądom —zdrowy rozsądek, zabobonom—postęp, a tyranii—wolność.”

Przypuśćmy teraz—pisze Lilly—że historyk, zgodnie z radą lorda Acton, zebrał już dostateczny łańcuch powodów i sprawdził je podług wyżéj wspomnianéj metody krytycznéj. Zadaniem jego dalszém będzie ugrupować te fakty i dowody tak, aby prowadziły czytelnika do pewnych konkluzyi. I tu jest właśnie różnica, jaka zachodzi pomiędzy krytykiem a sędzią. Ten wielki arsenał faktów, których dostarcza historya, daje broń w rękę wszystkim partyom. Zdaje się, iż Talleyrand to jeszcze powiedział, że *„il n'y a rien qui s'arrange aussi facilement que les faits”*. Na podstawie jednych i tychże samych świadectw można zwykle osnuć dwa sprzeczne twierdzenia, czego zresztą rozprawy sądowe codziennie prawie dowodzą. Szczęściem, przysięgli nie wydają wyroku, lecz sędzia, którego zadaniem jest beznamiętnie

i bez uprzedzeń zesumować wszystkie dowody nie w interesie żadnéj ze stron, ale w interesie prawdy. Taka téż bezstronność jest obowiązkiem historyka. W miarę, jak tylko przechyla się na stronę jakiéjkolwiek partyi, obniża się ideał jego wysokiego powołania. Józef de Maistre świetnie to określił słowami: „zabraniam krótkowidzom pisać historyi”. I bez zaprzeczenia, zbyt wielu historyków opisuje i przedstawia przeszłość w interesie teraźniejszości, odtwarza ją dla własnych celów i często prawie bezwiednie przystosowuje ją do swoich nadziei lub obaw, sympatyi i antypatyi. Ich zapatrywania polityczne, filozoficzne lub religijne z góry już kształt nadają ich wnioskom. Lord Acton przytacza w téj materyi charakterystyczną anegdotę o Rankem. Gdy pewien duchowny, który podobnie jak znakomity historyk niemiecki pisał o reformacyi, powitał go jako kolegę, ten odpowiedział: „Pan jesteś przedewszystkiém chrześcianinem, ja zaś przedewszystkiém historykiem; więc pomiędzy nami cała przepaść.” Niepodobna lepiéj wyrazić, jak dalekim winien być historyk od ducha partyi i stronnictwa, — mówimy: powinien być, lecz rozumiemy przez to, iż winien miłować, zbliżyć się jak najwięcéj do tego ideału, gdyż bezwzględnéj bezstronności żaden chyba człowiek nie posiada. Niepodobna bowiem wyzuć się (jakkolwiekbyśmy się o to starali) ze znamiennych cech naszego ducha, wszystkich instynktownych wstrętów lub głębokich, wrodzonych sympatyi. Ludźmi jesteśmy i ludzie niestety, jak mówi Schiller, piszą historyę:

O Schade!
Dass Menschen nur, nicht Wesen höhrer Art
Die Weltgeschichte schreiben!

„Możemy jednak pochlebiać sobie, że w naszym wieku osiągnęliśmy pojęcie i jasno sobie zdajemy sprawę z sędziowskiego charakteru historyka. Lord Acton mówi, iż główną cechą téj nowéj generacyi pisarzów, która wykopała tak głęboką przepaść pomiędzy historyą, tak jak ją pojmowali nasi przodkowie, a tém jak się nam ona dziś przedstawia, jest ten dogmat bezstronności. Jest to już rzeczywiście bardzo wiele podnieść zasadę bezstronności historycznéj do godności dogmatu. Co się zaś do rozszerzenia tego pojęcia najwięcéj przyczyniło, to zdobyte przekonanie, że w historyi nie panuje *absolutum* (twierdzenie bezwzględne), lecz relatywne, od wielu przyczyn zależne fakty.”

Pan Lilly rozwija tę myśl szerzéj w tych słowach: Historyk sądzi lub gani. Te same wielkie prawa i zasady etyki, które rządzą życiem indywidualném każdego człowieka, panują także w życiu zbiorowém całéj ludzkości. Napoleon zwykł był mawiać, iż są dwie moralności:

jedna dla spraw prywatnych, druga dla spraw publicznych—moralność życia codziennego, kierowana względami sprawiedliwości i krzywdy, oraz moralność mężów stanu i wojowników, kierująca się względami powodzenia lub niepowodzenia. I te dwie moralności, podług niego, są sobie wprost przeciwne — *la petite morale est ennemie de la grande.* Podług p. Lilly, jest to fałsz. Nie ma dwóch moralności. W życiu publicznem, zarówno jak w prywatnem najważniejszemi hasłami są dobro i zło. Prawo moralne jest zasadniczym probierzem i podstawą nietylko egzystencyi indywidualnéj, ale i porządku społecznego. Jest to słońce sprawiedliwości, oświecające świat racyonalnego bytu. Uznanie powyżéj wyrażonéj prawdy stanowi, zdaniem naszém, największy urok pism jednego ze starożytnych historyków. Sprawiedliwość, honor, wdzięczność, przekonania religijne, są to, według Tucydydesa, zasady kierujące wzajemnemi stosunkami państwa z państwem, człowieka z człowiekiem.

Jednym z najpiękniejszych ustępów w prelekcyi lorda Actona był ten, w którym szczegolny kładąc nacisk na tę teoryę mówi: „Zaklinam was, panowie, abyście nigdy nie obniżali moralnego dążenia dziejów, lub obrażali choćby na jotę ideał sprawiedliwości; sądźcie drugich podług tych samych praw, jakie przy końcu życia zastosowywane będą do was samych i nie pozwalajcie, by żaden człowiek, ni żadna sprawa nie uszły kary, którą historya piętnuje wszelkie zło. Jeżeli błądzimy często, to lepiéj być zbyt surowym, niż nadto pobłażliwym, bo wtedy przynajmniéj nie obniżamy wartości zasad."

Na to wszystko godzi się p. Lilly, twierdząc, że surowe godło poważnéj „*Edinburgh Review*": *Judex damnatur cum nocens absolvitur*, stosuje się dosłownie do historyka; lecz z drugiéj strony dodaje od siebie:

„Nie należy ani na chwilę zapominać, jak dziwnie dobro i zło plączą się czasem w tym chaotycznym dramacie historyi ludzkiéj, jak często właśnie pewne wybryki własności narodów wypełniają najszlachetniejsze i najpiękniejsze karty dziejów. Dlatego to historyk powinien posiadać ten subtelny dar ogólnego współczucia, powinien patrzéć „innemi, większemi oczyma", niż zwykli ludzie. Nigdy bowiem nie bywa tak, aby wszelka słuszność była po jednéj stronie, a błąd po drugiéj.

Dwa wielkie ruchy w dziejach nowożytnych, t. j. reformacya i rewolucya francuska, mogą tutaj służyć za przykład. Wiemy, co Goethe o nich powiedział:

„*Franzthum drängt in diesen verworrenen Tagen, wie ehemals Lutherthum es gethan, ruhige Bildung zurück.*"

I to jest bez zaprzeczenia prawda. Reformacya i rewolucya francuska bezwątpienia cofnęły wstecz spokojny, tak drogi Goethemu, rozwój kulturalny, lecz skądinąd możemy być pewni, iż nawet Goethe ani na chwilę nie przypuszczał, iż słowa powyższe są sprawiedliwym sądem historycznym o tych wielkich i tak ogromne znaczenie mających przewrotach społecznych.

„Przypominam sobie — pisze Lilly — jakto, gdy wielkie dzieło Taine'a *„Les origines de la France contemporaine"*, było już prawie na ukończeniu,. w obozie współczesnych Taine'owi Jakobinów, podniósł się jeden okrzyk zgrozy i oburzenia: *il détruit la légende* — wołano. I w rzeczy saméj takim jest istotny wynik tego monumentalnego przedsięwzięcia, arcydzieła niestrudzonéj, bezstronnéj a jasnéj analizy, choć trochę przeciążonéj szczegółami. Janssen uczynił to samo z historyą reformacyi Lutra, przedstawiając ją potomności w jéj rzeczywistéj, niczém nie ubarwionéj, prawdzie. Odtąd nikt nie powié, iż lata 1521 i 1789 są datami rozpoczynającemi nowe ery łaski i prawdy. Bezpośrednim skutkiem rewolucyi francuskiéj, zarówno jak i reformacyi, była anarchia, wandalizm, niewola ogólna i zaprzeczenie praw sumienia i rozprzężenie obyczajów. Lecz nie ulega kwestyi, że zarówno jeden, jak i drugi z tych przewrotów, był logiczném przesileniem w historyi. Jeden i drugi jest buntem przeciw stanowi rzeczy, który się stał nieznośnym, a niemożebnym do naprawienia drogą pokojową. Pomimo to jednak, przewodnią ich myślą była idea prawdziwa, któréj windykacya przyczyniła się do ogólnego postępu ludzkości." I tu znów przytoczyć można słowa lorda Actona, który, mówiąc o obu tych epokach historycznych, każe widzieć w nich „niespożytą ideę przynależnego każdemu człowiekowi prawa, by mu nic i nikt nie przeszkadzał w pełnieniu jego obowiązków względem Boga!"

„Tyle co do naukowego ducha historyi — pisze Lilly — ale historya nietylko jest nauką, jest ona również i sztuką. Ażeby być wielkim historykiem, trzeba téż być i wielkim artystą. Każdy, kto chce sprawić, aby pod jego piórem przeszłość ożyła, posiadać musi ten niedający się zdobyć lecz wrodzony przymiot, t. j. geniusz czyli siłę poetycką. Prześlicznie wyraził to Taine w swém studyum o Liwiuszu: „w historyku jest krytyk sprawdzający fakty, erudyt gromadzący je, filozof, co je wyjaśnia; lecz ich wszystkich zasłania poeta, co opowiada. Historyk w czasach dzisiejszych nie powinien zapominać o téj prawdzie; chociaż z drugiéj strony nie ulega wątpliwości, że bez nauki, ścisłości, zmysłu krytycznego, rozsądku i prawości nie napisze niczego, coby na miano historyi zasługiwało." Tak podług p. Lilly miała się rzecz z niedawno zmarłym historykiem angielskim Froude, który po-

wodowany uprzedzeniami obrażał prawdę historyczną. W drobne atoli szczegóły wycieczki p. Lilly przeciw Froude'owi wdawać się tu nie będziemy; wolimy raczéj iść daléj z biegiem ogólniejszych poglądów autora.

Zadawano sobie niejednokrotnie pytanie: Czego właściwie uczy nas historya? Otóż ten rodzaj historycznego romansu, jaki uprawiają historycy ze szkoły p. Froude, nie wiele zaiste nauczyć nas może. Lecz prawdziwa historya daje nam wiele nauk praktycznych. I nikt tego nie wyraził lepiéj, jak jeden z nowszych pisarzów, stanowiący poważny kontrast ze wspomnianym wyżéj profesorem oksfordzkim, t. j. Lecky: „Ten, kto nauczył się rozumiéć prawdziwy charakter i dążenia wielu poprzednich wieków, nie może się wielce mylić w sądzeniu wypadków sobie współczesnych."

Tak jest, dla każdego narodu znajomość historyi wogóle, a swych dziejów ojczystych w szczególności, to szkoła jego życia na przyszłość. A dlaczego tak jest, powiedział już blisko dwa tysiące lat temu Tucydydes, który swoją historyę wojny peloponeskiéj, poświęca tym, *co pragną mieć prawdziwy pogląd na ówczesne wypadki i podobne albo tylko przybliżone im rzeczy, mogące zgodnie z naturą ludzką*[1] *przytrafić się i potém*. Jest to głęboka myśl, a rzeczywiste korzyści ze znajomości historyi osiągniemy wtedy, gdy w wykładzie dziejów ojczystych kierować się będziemy tém zdaniem historyka ateńskiego.

Historya — mówi daléj p. Lilly — to dzieje ciągłych zmian. Lecz jest coś, co się nigdy w istocie swéj nie zmienia, a tém jest owo τὸ ἀνθρώπειον Tucydydesa. I dlatego to muza historyi jest téż zarazem i wieszczym duchem. Oto nawet dalekie czasy wojny peloponeskiéj pełne są nauczających przykładów dla nas dzieci XIX-go stulecia. Nigdzie zaiste nie znajdujemy tylu kart pożytecznych dla męża stanu, co w tych dziejach kreślących demoralizujący wpływ ducha partyi i stronnictw, który wkrótce miał pogrążyć Grecyę w niewolę. I tu nasuwa się p. Lilly ciekawe porównanie pomiędzy niedawno odkrytém dziełem Arystotelesa o upadku sławnéj rzeczypospolitéj ateńskiéj a dziejami Anglii współczesnéj. „Historya konstytucyi ateńskiéj ciągnie się przez przeciąg niespełna dwóch wieków. Zaczynając się za Solona i dosięgnąwszy stopnia najwyższego rozwoju pod Peryklesem, kończy się w dwadzieścia cztery lat po jego śmierci niepowetowaną klęską pod Egospotamos. Znamy w drobnych nawet szczegółach bieg wypadków politycznych w Atenach przez ciąg tych dwudziestu czterech lat. Na-

---

[1]) κατὰ τὸ ἀνθρώπειον.

stępujące po sobie jedna po drugiéj radykalne zmiany w konstytucyi jeden przywódzca partyi wysuwający się ponad drugiego i szukający poklasków motłochu, obaj zarówno obojętni na dobro publiczne, własne tylko interesy mający na celu, a w ciągu tego wszystkiego „nieuniknione koniec, zbliżający się nieublaganie". Tak wyraził się o dziejach swéj ojczyzny jeden z największych myślicieli politycznych, a zdanie to może i dziś jeszcze obudzić bardzo niepokojące myśli wśród wielu społeczeństw. Historya czasów nowszych szczególnie obfituje w wymowne pod tym względem przykłady. Doświadczenia poczynione przez inne narody w rozwiązywaniu zagadnień politycznych są lekcyami poglądowemi, jasnemi dla wszystkich, którzy tylko patrzéć umieją. Przytoczę tu dwa, a w przedstawieniu ich użyję słów jednego z pisarzów, którego szerokość i niezawisłość poglądów dają mu szczególne prawo do wyjątkowéj uwagi tego stronnictwa, które się zowie liberalném, i które, był czas, że uważało go za swą wyrocznię [1]). Jednym z ulubionych sofizmatów, często używanych obecnie przez liberałów, jest identyfikacya wolności cywilnéj i religijnéj z niczém nie hamowaną przewagą (teroryzmem, że tak powiem) większości i głosowania powszechnego. Jest to, jak to już wyżéj powiedzieliśmy, sofizmat, który najelementarniejsza znajomość wypadków historycznych odeprzéć potrafi.

„Doświadczenie uczy — powiada J. St. Mill — że przedstawiciele władzy, będący tylko reprezentantami ludu, są tak samo gotowi (jeżeli tylko mogą liczyć na poparcie ogółu) do użycia środków despotycznych i niewłaściwego wdzierania się w życie prywatne, jak każdy inny organ oligarchiczny."

Co do drugiego przykładu, to członkowie parlamentu, uważający się za nader liberalnych, domagają się wciąż, aby członkowie izby gmin pobiérali pensye z funduszów publicznych. Mill był temu stanowczo przeciwny. W książce p. t. „*On the representative Government*" mówi, iż system podobny prowadziłby do głębokiego poniżenia władz ustawodawczych. Książka Milla wyszła w r. 1861, a historya Europy przez przeciąg trzydziestu czterech lat, które nas od jéj ukazania się oddzielają, dowiodła aż nadto dobrze słuszności tego zapatrywania. We wszystkich krajach, w których wprowadzono wynagradzanie pieniężne przedstawicieli narodu, stanowisko posła stało się celem westchnień wszelkich awanturników, stało się rzemioslem uprawianém, jak każde inne tylko ze względu na to, jakie im przynosi korzyści. Wszystkich tego rodzaju błędów uchroniłyby się zatém ludy, gdyby

[1]) J. St. Mill.

kierowały się znajomością historyi. Pytanie jednak, czy historya ma jaką wartość praktyczną? pociąga za sobą pytanie drugie, mianowicie: czy my wogóle posiadamy jaką rzeczywistą moc kształtowania i urabiania biegu wypadków? Historya przedstawia nam przecież działanie sił i praw, które z pokolenia w pokolenie są zawsze też same. Więc jakiéjże natury są te siły i te prawa? Sąż one wszystkie tylko fizyczne, które podobnie jak siły materyi skrępowały naturę przeznaczeniem? I oto, zadając sobie te pytania, stajemy oko w oko z dwiema szkołami myśli, zarówno na polu historyi jak i innych dziedzin nauki. Jest to konkluzya, obracająca się głównie około jednostki ludzkiéj; a mianowicie: czy człowiek jest jedynie ślepém narzędziem praw natury, t. j. swoich sensacyi, lub téż czy posiada w duszy swéj prawdziwą przyczynowość?

Nie pora tu wdawać się w dyskusye metafizyczne; p. Lilly mówi, iż w jego przekonaniu zapatrywania deterministów na zbiorowe i indywidualne życie ludzkości, zapatrywanie, które czyni z tego życia jakiś mechanizm fizyologiczny — jest zupełnie fałszywe. A przekonanie to swoje opiera na téj zasadzie (nie mówiąc o innych), że jest ono stanowczo przeciwne idei ludzkiej samowiedzy. „Nie można jednak zaprzeczyć, mówi daléj, że pogląd deterministów mieści w sobie nieco prawdy, bo to, co nazywamy fatalizmem czyli przeznaczeniem, gra jednak wielką rolę w sprawach ludzkich. Tak jest: istnieje pewna konieczność, wynikająca z natury rzeczy. Działanie przyczyn ekonomicznych i fizycznych jest nieustanne, historya ludzka ma więc swoją stronę fizyologiczną; lecz działanie przyczyn moralnych, idei, pragnień, cnót, występków, zarówno jednostek jak i całych narodów jest również nieustanne; — historya ludzka ma zatém również i swoją stronę psychologiczną. Przypuszczamy, że po za zjawiskami szukać należy praw, po za przypadkowością kryje się konieczność, za wolą natura. To prawda; lecz czyż twierdzić tak (a zaiste czasem musimy tak twierdzić) nie jest to przemieniać historyę w coś podobnego do jakiéjś fizyki socyalnéj, zrobić z niéj to, co Niemcy nazywają „*eine reine Naturgeschichte.*" Przeznaczenie nie krępuje absolutnie człowieka. Pierwszym warunkiem jego postępu jest wyłamanie się z pod praw fizycznego fatalizmu. Rzymski poeta wyraził to krótko: „*Et mihi res non me rebus subjungere conor.*" Historya ludzka to raczéj stopniowy tryumf sił sumienia i rozumu nad ślepemi siłami natury, instynktu i temperamentu człowieka. Żeby cywilizacya polegała na samém poznaniu i stosowaniu się do praw fizycznych, uważam to za jeden z najniedorzeczniejszych aksyomatów. Pierwiastki cywilizacyjne są przedewszystkiém moralne. Główny postęp ludzkości—a wszelki inny postęp podporząd-

kowanym mu być musi — polega na rozwoju téj idei etycznéj, która istniejąc w naszym umyśle, rozwijała coraz więcéj pierwiastek osobisty, ludzki w historyi. Rozwijała go jako odżywczą zasadę tych instytucyi, wśród których żyjemy będąc ludźmi cywilizowanymi; jest to usprawiedliwienie potęgi ogółu, która bez tego byłaby tylko brutalną siłą. Twierdzenie Hegla, że filozofia historyi to filozofia ducha, jest wielce prawdziwe, bo kreśli ona rozwój rozumu, objawiającego się w państwie."

„Najbardziéj nauczającą lekcyą historyi wydaje mi się ta, która mówi o postępie; lecz nie o téj ciągle wzrastającéj znajomości fizycznych praw natury, czyli praw wygody, ale o naszych głębszych dążeniach i pragnieniach, o świętości i wartości człowieka jako istoty etycznéj, obdarzonéj wolą, wolnością wyboru i odpowiedzialnością. Są tacy, którzy w obecnéj cywilizacyi widzą wiele rzeczy smutnych i złe zapowiadających następstwa. Trudno im zaprzeczyć, kiedy spojrzawszy naokoło siebie, widzimy tylko ubóstwianie mamony, materyi i mechanizmu, upadek obyczajów, nienawiść rzeczywistéj wyższości, skłonność płynięcia z prądem kaprysów ogółu, składanie odpowiedzialności całéj na wypadki, przyjmowanie faktów za konieczność bez względu na ich moralne znaczenie i usprawiedliwianie wszystkiego paradoksami? Tak jest, surowi cenzorowie naszego wieku mają po za sobą wiele dowodów na poparcie swego twierdzenia. A jednak, jeżeli spojrzymy w przeszłość, jeżeli weźmiemy dzieje ludzkie jako całość, choćby tylko nawet te niezbyt odległe wieki, które zowiemy dziejami nowożytnemi, to czyż nie należy uwierzyć, że:

„W nieświadomym postępie świata
Działa za nas duch mądrzejszy
I oko bystrzejsze niż nasze?"

W szczególności zaś kończy Lilly, zgadzam się z lordem Actonem, że zdobyta wolność jest najważniejszym rezultatem moralnym, opierającym się na połączonych wszystkich warunkach postępu. Postęp w dziedzinie zorganizowanéj wolności jest charakterystycznym objawem historyi nowożytnéj i hołdem, który taż historya składa teoryi Opatrzności."

Widzę bowiem, słowa są p. Lilly, działający w historyi, (która bez tego nie miałaby dla mnie znaczenia) porządek moralny, przyczynowość-ideał. I przekonany jestem, że przywilejem każdego człowieka jest: stosując się do tego porządku, do tych przyczyn i tego ideału: pracować w miarę sił nad posunięciem naprzód ogólnego postępu świata i zostanie robotnikiem w tém nieskończonem dziele, które się cią-

gnie przez wieki; być pomocnikiem w osiąganiu tego oddalonego jeszcze wielce, lecz boskiego zakończenia, ku któremu dąży cały wszechświat! I w tém to przeświadczeniu jedynie, znajduję dla duszy silną i pewną kotwicę na wzburzoném morzu zbrodni, potwarzy, tryumfu fałszywych zasad, jakich tak pełno w historyi."

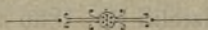
Témi słowy kończy p. Lilly swoją zajmującą rozprawę, którą podawszy tutaj w głównych zarysach, sądzę, iż nie użyłem czasu bezowocnie. Zacna i głęboka myśl, choćby tylko zlekka i niezbyt udatnie podjęta, pobudza przecież do dalszego myślenia a czasem i znakomitego téjże myśli rozwinięcia. Dobrze jest przypomniéć sobie i znaléźć to potwierdzoném przez mędrców tego świata, że historyą oprócz sił i praw natury, rządzi przedewszystkiém odwieczna sprawiedliwość.

M. W.



EKONOMICZNY STAN WIOSEK

i ich przyszłość.



Kto wsi nie zna? — wszyscy ją znamy, jest to zwykle szereg chałup, pośród których wije się droga, co nierzadko zbacza z traktu do dworu, rezydencyi właściciela większego obszaru. Oprócz dworów, w wielu wsiach mamy kościoły i obok tonące w zieleni oborki i dom proboszcza. Taka wieś zawsze posiada budynek z zajazdem, czyli karczmę, punkt zebrań świątecznych i, jak obecnie, miejsce kupna towaru fabryczno-miejskiego. Często gdzieś na uboczu stoi kuźnia i dom kowala, i wiatrak na wzniesieniu przy wsi lub za wsią, dwa konieczne zakłady dla rolnika.

Typowa wioska w Królestwie przedstawia to zjawisko, iż wzrastająca rodzina wieśniaka musi się rozejść, bo posiadany grunt nie wystarczy, więc u chłopa pragnienie gruntu, wogóle posiadania, jest dominującą cechą, — gdy chęć wyzyskania tego, co jest, stanowi dominującą cechę dworów; lecz brak robotnika, a właściwie niechęć i zawiść ze strony wsi uniemożliwia wiele robót, mających osobiste dobro właściciela większego obszaru i korzyść całéj wioski na celu, wskutek czego trwa zastój w ekonomicznym jéj rozwoju.

Ponieważ przedmiot tego antagonizmu zajmuje mnie oddawna, i o ile wiem, stanowi w ustroju gospodarstwa społecznego jako praca u podstaw, kardynalny warunek zmian na szerszą skalę oczekiwanych,

przeto podaję charakterystykę wsi w jéj ekonomicznéin położeniu obecnie, albowiem to będzie wskaźnikiem reform, które nastąpić mogą.

Najbliższa wioska Ossa (pow. opoczyńskiego), w sąsiedztwie któréj zamieszkuję, rozpada się na starą wieś i nową, czyli kolonie, istniejące od lat szesnastu na gruntach rozparcelowanego dworu, wtedy jeszcze, kiedy Banku włościańskiego nie było; mamy tu więc do czynienia z pozostałością historyczną i nowotworem. W staréj wsi, na skutek uwłaszczenia, powstało 30 gospodarek, obejmujących przecięciowo po 30 morgów. Grunta owéj wioski wogóle piaskowe, w czém tylko dwa pola, szerokie ogrody i wąskie ogrody, posiadają czarnoziemy o głębokiéj warstwie rodzajnéj i odwiecznéj kulturze, te dwa bowiem pola były pierwotnym punktem uprawy z chwilą powstania téj wsi, zdaje się w XV-ym wieku.

Oprócz włókowéj przestrzeni gruntów indywidualnego władania, do każdego numeru takiéj gospodarki, wedle tabeli nadawczéj przywiązanego, cała wieś czyli gromada otrzymala 140 morgów na pastwiska po wyciętym lesie i około 70 morgów łąk błotnych, któremi sami włościanie podzielili się 1866 roku. Przytém wieś cała otrzymała 62 morgi lasu, którym również w kilka lat po uwłaszczeniu podzielono się w stosunku do ilości gospodarek w tabeli zapisanych i las wycięto; lecz ten podział po dziś dzień nie został przez komisarza legalizowany, a przestrzeń leśna jest uważana za wspólną całéj wsi, jak grunta pastwiska.

Obecnie, 1896 roku, zatém po 32-ch latach od daty uwłaszczenia, na gruncie 30 ukazowych gospodarek, mamy 48 domostw, a 84 tak zwanych „gospodarzy", chociaż początkowo było tyle chałup, ile ukazowych gospodarek. Zatém przybyło 54 gospodarzy, a tylko 18 chałup, czyli że w większości domów mieszka po dwie rodziny (dwóch gospodarzy), a w kilku gospodarkach, oprócz rozdzielonego gruntu ukazowéj gospodarki, zachowała się wspólna stodoła, chléw, obora, a nawet jak u kilku (3) z rodziny Penkalów, wspólnego konia, karmionego i używanego kolejno w lecie co drugi dzień, a w zimie co tydzień. Jest to cenny szczegół, bo inni, dzieląc pierwotne gospodarki, starają się o własne budynki gospodarskie, chociaż niejednokrotnie pług, sieczkarnia, drobiny i t. d. bywają używane wspólnie, to jest ciągle wzajem sobie „pożyczane".

W téj wiosce dotychczas zachowała się niepodzielna tylko jedna gospodarka ukazowa, mająca 36 morgów, gdy tymczasem:

7 gospodarzy posiada po 16 morgów
16 „ „ „ 12 „

14	gospodarzy	posiada	po	10	morgów
25	"	"	"	8	"
13	"	"	"	6	"
6	"	"	"	5	"
2	"	"	"	4	"

a mieliby znacznie mniéj, gdyby zmysł ludowy nie wprowadził systemu ożenku na miany, to jest że brat żeniwszy się we wsi Wola Kamienna, a siostra, idąca tam za chłopa, wymieniają sobie należne cząstki gruntów, przyczém różnica bywa dopłacana w kosztach weselnych, lub gotówką, albo *in natura* krową, zbożem i t. d. Gdy zaś nie mogą zgodzić się na miany, a małżeństwo zostaje uskutecznione, albo młodsze rodzeństwo jeszcze nie podrosło, aby mogło się pobrać i nastąpić wymiana poletek, to każde stadło z odległości swojéj wsi uprawia należny działek — kobiéty, gdy ta się przeniosła do wsi męża, lub odwrotnie działek chłopa, gdy zamieszkał we wsi żony. Że zaś takowy działek nigdy nie bywa właściwie mierzwiony, a tylko ugoruje, a jak obecnie łubinuje co lat kilka, przeto rola ubożeje i jak to zwykle się zdarza, dopiéro wtedy bywa sprzedawaną lub idzie pod zastaw. Kto zaś policzy straty gospodarcze, gdy dana rodzina posiada grunta w dwóch sąsiednich wioskach, gdzie koszta zbioru, uprawy i siewu są połączone z rozległemi kosztami transportu?! A ma to miejsce zawsze przy stworzeniu nowéj rodziny wśród uboższych włościan, gdy sami rodzice nie mogą przeprowadzić operacyi wyposażenia, a w kasie gminnéj brakuje (jak zwykle) zapasu na zaciągnięcie pożyczki [1]).

Wśród otoczenia wiedzą, iż w końcu należny działek nie będzie uprawiony z odległości drugiéj wsi, więc brat czy szwagier czeka cierpliwie téj chwili, kiedy rola zubożeje i albo wtedy korzysta prawem kaduka, lub obiecuje spłatę, która się ciągnie całe lata, przechodzi na dzieci i kończy się procesem lub zatkaniem gęby i odpisem na korzyść zaborcy. Nieraz o tém rozmawiałem, i zawsze dostrzegałem, iż zła wola z jednéj strony, a wygórowane żądania z drugiéj nie pozwalają na normalną sprzedaż należnego za kobiétą działka, jeżeli tego rodzice nie przeprowadzili, robiąc zgodę między synami i zięciami, młodszemi a starszemi dziećmi. Taki stan rzeczy wywołuje liczne procesy, zemsty i kłótnie, a nawet zabójstwa, oraz taki chaos w życiu wsi, tam, gdzie już rozdrobnienie znacznie postąpiło naprzód, że tam lite-

[1]) Wkłady do kas gminnych dają 6%. Mało kto wié o téj pewnéj lokacyi, która ma tém większe znaczenie przy akcyi konwersyjnéj. Taka lokacya jest czynem obywatelskim, bo umożliwia ekonomiczny rozwój wsi.

ralnie nikt napewno nie wié, do kogo właściwie pewien dany działek należy.

Całą prawdę tego stanu rzeczy łatwiéj zrozumiemy, gdy się zwróci uwagę na istniejący rozkład gruntów i system uprawy włościańskiéj. Dlatego jednak trzeba rzucić okiem wstecz, nie zapominajmy bowiem, iż z chwilą uwłaszczenia w każdéj wsi istniała gospodarka trzypolowa, t. j. z wiosną każdego roku, gromada stanowiła na gruntach *A* jarzyny, na gruntach *B* oziminy, a na gruntach *C* ugór czyli pastwisko, że zaś każda wieś takich różnych pól mogła miéć po kilkanaście [1]), przeto starsi gromady modyfikowali nie system uprawy, (bo istniały tylko trzy wyżéj zaznaczone zmianowania, ale rozkład tych płodów w tém lub owém polu. W dobrach, gdzie we wsi był dwór lub mieszkanie starosty (ekonoma), starsi gromady mieli głos doradczy; na pytanie dziedzica radzili tak lub owak, lecz zawsze dwór szedł wspólnie ze wsią i bez względu na zmiany i inowacyę dziedziców, trzypolówka istniała na przeważnéj przestrzeni dóbr kraju [2]). Otóż z chwilą, gdy chłopi zrozumieli, iż naprawdę otrzymają grunta na własność, każdy z nich chciał miéć dział pola w przypadających oziminach, jarzynach i ugorze, jak również w ogrodach, lesie i pastwisku.

Opowiadali mi w kilku miejscach świadkowie naoczni, tak z chłopów jak i nie-chłopów, jak tu lub tam światły geometra dowodził przy pomiarze straty dla wsi, jakie sprowadzić musi takie drobienie pól; lecz wtedy chłopi tego ani chcieli, ani mogli zrozumiéć, chociaż dziś wielu z nich wspomina swą głupotę, gdy mówi: „mogłem miéć grunt w całości, a teraz mam w 10-ciu kawałkach"; bowiem przy pomiarze nie dość, że chciano miéć po działku w każdém polu, ale znów chciał miéć każdy w owém polu, jak to zwykle się trafia, cząstkę najbardziéj rodzajną, — więc gdy nie chciano się sprzeciwiać, to nietylko pola A, B, C i t. d. dzielono, ale każdą znów różną cząstkę tych pól drobiono na pasy ciągnące się przez całą długość tego pola. Wtedy nikt lub mało kto myślał o następstwach techniki gospodarczéj wobec takiego podziału [3]), lecz chłopi byli zadowoleni i działacze w za-

---

[1]) Jak w omawianéj wiosce Ossa jest takich pól 9 i każde z nich ma swą historyę, nazwy i powstania, mianowicie Bórki, pod Domoszno, podbzidek, Szerokie działy Kieszki, Ogrody szerokie, wąskie i pod zapowiedź.

[2]) Nawet obecnie bodaj czy jeszcze nie $^1/_4$ dóbr w kraju bywa rządzoną na podstawie trzypólówki, którą spotykałem nawet w Sandomierskiém.

[3]) Prawda, iż w dobrach rządowych i poduchownych, jak to w sąsiednich Brodzewicach, Domośnie, Redzicach starano się zachować system oddzielnych przestrzeni, czyli kolonii, wskutek czego włościanie tych wiosek lepiéj się mają, ale i w wielu dobrach koronnych ulegano żądaniu ludności i grunta drobiono.

pale doktrynerskim kontenci. Ale oczywistość szkód i strat gospodarskich szybko wyszła na jaw; tak naprzykład w opisywanéj wiosce Ossa proszę sobie wyobrazić (podobnie w całym kraju) gospodarstwo nie 6 morgowego, ale nawet 10 morgowego chłopa, gdy te grunta posiada w 9-ciu różnych polach pasami na wiorstę i dłużéj, a kilkołokciowéj szerokości.

Już dawno taki rozkład gruntów sprowadziłby zupełny chaos we władaniu ziemskiém, gdyby znów zmysł ludowy nie pozwolił żyć bez nadmiernéj kłótni o granice pól i szkody, przez wzajemne przejazdy i paszenie bydła wyrządzone. W tym bowiem podziale na cząstki pasami się ciągnące przez całą długość pól byłoby niemożebnością uskuteczniać pasanie na swojém i tutaj to pomógł instynkt wspólnictwa, wskutek czego pasanie początkowo po uwłaszczeniu, jak dawniéj, odbywało się bez różnicy właściciela na całéj przestrzeni gruntów wioski. Pastwisko gromadzkie, chociaż obejmuje, jak wyżéj wspomniałem, z górą 3 włóki (140 morgów), lecz tylko na wiosnę i początku lata starczy, bo jednocześnie tam, chodzą gęsi, owce, krowy i konie, więc już w czerwcu daje się czuć brak pastwiska; chodzi tedy bydło po lesie, bywa tam codzień ganiane stado owiec, a gęś wszędzie bywa, gdzie cośkolwiek porasta. Dzieją się wzajemne szkody, dające początek kłótni, złości, zemstom i procesom; lecz to wszystko nie decyduje ani pastwiska nie zwiększa i natychmiast po żniwach inwentarz korzysta z trawy w ścierni będącéj, co daje chwilową ulgę i porost na pastwisku, z którego znów od połowy sierpnia inwentarz korzysta, póki ziemia nie zeskorupieje, kiedy jeszcze bydło, konie i owce w dni pogody wyganiają na pola ozimin całéj wsi, dopóki śniegi ziemię nie okryją.

Ta wspólność pasania korzystna dla mniéj i więcéj gruntu posiadających, ma tę dodatnią stronę, iż zachowuje równowagę w utrzymaniu biédniejszego i możniejszego chłopa, gdy oba mogą z małą różnicą trzymać jednaką ilość bydła w lecie; ale ten przymus wspólnictwa ma swe strony ujemne zawsze tam, gdzie istnieją różnice intelektualne, a z chwilą uwłaszczenia zyskały one na wsi warunki dla swego rozwoju.

* * *

W wypadku wspólnictwa, pierwotnie istniejącego na całéj przestrzeni kraju, co obecnie się jeszcze zachowuje, nie znać było materyalnych różnic; lecz z chwilą zastosowania nowych roślin i upraw wspólnictwo pasania musiało upaść i uledz reformie, jaka obecnie ma miejsce. Mianowicie, gdy który z możniejszych włościan sieje sera-

delę w żyto lub koniczynę białą albo czerwoną i chce stale siewać rośliny motylkowe (jako wiążące azot atmosferyczny), bądź w jare zboża, bądź oziminy, to szkoda ziarna i roboty, bo plon otrzymany w ściernі zaraz po żniwach bywa spasiony wskutek wspólnego używania ściernisk na pasanie. Zatém możniejsi włościanie, chociaż mogą pojmować jaknajlepiéj korzyści z wysiewu roślin pastewnych, motylkowych i innych celem przysporzenia paszy i zielonych nawozów, czynić tego nie mogą wobec gromadzkiego pasania, a jeżeli to robią, to na kawałkach roli odgrodzonéj żerdziami, a blisko domu, aby można było od szkody upilnować. Że zaś ogół wiejski, jak i na całym świecie, nie znosi żadnéj inowacyi, przeto niejeden taki emancypant rolniczy miewa na złość spasioną koniczynę, wobec czego tacy pionierowie poprawniejszego gospodarstwa na wsi są zniewoleni albo: 1) niejako zmusić całą wieś do postępowego systemu gospodarki i widokiem korzyści materyalnych ogół za sobą pociągnąć [1]), lub 2) jak to zwykle bywa, siłą pięści i materyalnéj przewagi wyłamują się z pod gromadzkiego pasania, zatém wspólnictwa użytkowania, lecz wtedy wieś rozpada się na dwa sobie wrogie stronnictwa i wchodzi na nową drogę bytu. Mianowicie, ponieważ stosowanie nowych roślin i upraw jest już koniecznością techniki gospodarczéj w pracy na roli dla wielu już wiosek i mają przykłady z dworów, które już poszły w tym kierunku, przeto i w tym wypadku zmysł ludowy znalazł sposób wyjścia, godząc wymagania obu dziś różnych, jak wyżéj rzekłem, stronnictw na wsi.

Tam, gdzie już powszechniéj włościanie zrozumieli zyski gospodarcze z siewu koniczyn, seradeli i t. d., bądź w zboża, bądź w stanie czystym, tam każdy pasie na swojém — wskutek czego już powstaje gospodarstwo postępowe, o ile naturalnie dwory w okolicy dają ku temu przykład a chłopi za korzystne dla siebie uznają.

Lecz ten obecny stan bytu dla wielu wiosek (a w niedalekiéj przyszłości dla wszystkich), gdy wszędzie każdy będzie pasał na swojém po za użyciem w ciągu kilku miesięcy wspólnego pastwiska [2]), sprowadza wybitny rozdział włościan na bezinwentarzowych, a potém już bezrolnych i zamożnych.

Albowiem ci którzy obecnie mają po kilka morgów rozrzuconych na pasy w kilku polach, będąc pozbawieni wspólnego pasania, muszą

---

[1]) Jak to w Czechach uczynił F. Skopalik i inni włościanie-pionierowie, którzy umieli zreformować swe wioski własnym przykładem, bo utożsamiali swój interes z potrzebą ogółu, udzielali rad i pomocy, co ich uczyniło wielkimi ludźmi swego narodu.

[2]) Pospolicie są to piachy porosłe jałowcami, sosną i lichą brzozą, jako dawne poręby, lub są to dawne moczary i łąki błotne.

posyłać za kilkorgiem dobytku dorastającego chłopca czy dziewczynę, co bez względu na olbrzymią zatratę sił roboczych—gdy miasto jednego wspólnego pastucha cała gromada dzieciaków ugania się po polach i każde pilnuje swego działku i bydła, — lecz gdy może, to korzysta z działku sąsiada, co nie zmniejsza kłótni idących od dzieci do rodziców, a nieraz opierających się o proboszcza lub sąd gminny.

Przytém posyłanie podrastających dzieci za kilkorgiem dobytku, lub z krową na postronku, jak to ma miejsce w kaliskiém, gdzie gromadzkie pasanie zanikło, możliwe do pewnego czasu, w końcu staje się uciążliwém, gdy dla kwarty mléka dorastający chłopak już nic nie robi. Więc w miarę podrastania dzieci, kupna słonina zastępuje mléko, bo krowa idzie na targ a dzieci na zarobek; więc omasta bywa otrzymywana z grosza a nie z domowego przemysłu. Wtedy cała pieczołowitość chłopa skupia się koło prosiaka, co w sposób najbardziéj racyonalny kapitalizuje płody małorolnego chłopa, które sprzedane dały by o połowę mniéj niż użyte na wypasanie trzody: prosiak nabyty za kilka rubli wyrasta do kilkudziesięciu, przyczém chłop z rodziną ma utrzymanie, gdyż u małorolnego trzoda spożywa to co i gospodarz a często lepiéj—bo prosię to całe bogactwo, a jego śmierć to ruina rodziny. U małorolnego, zamiast krowy i konia mamy trzodę, kury, gęsi, lecz ten inwentarz nawozu dla roli nie zapewnia a daje tyle tylko, aby było na zagony pod kartofle i warzywo. Taki „gospodarz" musi zejść na wyrobnika, rolnika bez roli, a w końcu emigranta.

Z zanikiem gromadzkiego pasania, ginie hodowla owiec, możliwa przy pasaniu po ścierni, paśnikach gromadzkich i wspólnym lesie, co w opisywanéj wiosce Ossa i sąsiednich zachowane, jeszcze umożliwiają swojszczyznę, ubiera w samodziały; w wielu innych miejscowościach kraju zostały podzielone między spadkobierców gospodarek w tabeli ukazowéj zapisanych i obrócone pod zasiew. Z zanikiem więc pastwisk wspólnych ginie hodowla owiec, przemysł tkacki i ubiór wiejski, co wypływa nie tyle z braku zamiłowania i emancypacyi ludu, jak to większość sądzi, ale z konieczności, spowodowanéj brakiem pastwisk i zanikiem dawnych urządzeń gromadzkich. Jeżeli drogą przyzwyczajenia zachowała się hodowla owiec mimo zaniku gromadzkiego pasania i użytkowania, to trzeba téj hodowli poświęcić chłopca na pilnowanie owiec, które, jak każde inne stworzenie, potrzebuje dużo ruchu i powietrza. Ostatecznie staje się to niemożliwém, gdy chłopiec wyrasta i musi przejść do innych robót, a młodszych dzieci brak, lub rodzina się pomnaża przez ożenek starszych dzieci, grunt rozdziela a nie ma wnucząt dorosłych któreby mogły być obrócone do pasania owiec, gęsi i t. d. Skoro tedy już starsze rodzeństwo idzie na zarobek lub służbę do możniejszych we

wsi, do dworu lub miast, to już nie ma rąk na wyroby tkackie, wymagające dużego nakładu pracy i czasu, najmują się bowiem do płatnéj pracy, gdy brak raz soli, to nafty, to okrasy a nieraz i chleba na przednówku.

Chłop małorolny pojmuje wartość samodziału jako materyału niespożytego, ale on nie ma na to, żeby kobieta, syn lub dziéwka w czasie zimowych miesięcy siedziała w chałupie nad warsztatem [1]). Taki małorolny żyje bardziéj z dnia na dzień niż zgoła służący, bo ten ma na rok zapewnione utrzymanie, gdy małorolny jako przywiązany do ziemi i miejsca, ma ograniczoną sferę zarobków i to wtedy właśnie, kiedy i sam potrzebuje swych rąk około swego poletka i lichego plonu, w ciągu zaś reszty zimowych miesięcy jest skazany na bezczynność i wyzysk, bo musi tyle brać, ile dają, a i to dobrze gdy jakakolwiek robota się zdarzy. Przytém nie trzeba się dziwić, że taki chłop jak ma kartofle i może przetrwać do nowego, to chociaż raz na dzień kobiéta strawę warzy, woli próżnować niż iść za byle co, zresztą jest to robotnik lichy, bo źle odżywiany i apatyczny na warunki dokonywanéj pracy. Taki małorolny chłop zwykle zapożycza się w zboże i kartofle na odrobek u bogatszych we wsi i po dworach, a wiecznie jest w długach, nieakuratny w pełnieniu odrobku, co powiększa złe sądy o nim u dworu, nieraz traci zaufanie i w końcu przedwcześnie umiéra wskutek nierozumnego przywiązania do tych kilku zagonów, które w spadku otrzymał. Jakże śmieszne, jeżeli nie okrutne, są tyrady naszych prowincyonalnych katonów, piszących korespondencye o demoralizacyi ludu, opiérające się zwykle na zniechęceniu (słuszném ale i wytłomaczoném) do robotnika z pośród włościan małorolnych, i niezadowolnieniu z sąsiadów włościan możnych, którzy także dostarczają mało i złego robotnika i rzetelnie objawiają cechy emancypacyjne; — ale z tym z duchem czasu godzić się trzeba — bo „co mnie za niewola, jak mówi syn chłopa możnego, iść do dworu na robotę, kiedy człowieka nie uszanują.” Jest to kwestya wciąż otwarta, którą mimochodem poruszam.

Spadkobiercy i dziś coraz liczniejsze rzesze małorolnych są o wiele praktyczniejsi, bo z łatwością wyprzedają co się daje, a gdy się nie daje (bo w otoczeniu wiedzą iż sprzedać muszą) bez żalu emigrują do miast i na służbę a gruntu prawem kaduka używa kum lub krewniak za nędzną nieraz opłatę (30 kop. z morgi), którą zjawiający się od czasu do czasu właściciel z trudnością odbiera.

---

[1]) Najpierw małorolny poczyna się ubierać w tandetę wiejską po jarmarkach, co jest najlepszym dowodem, iż emancypacya gra tu drugorzędną rolę.

Zastaw dokonany u krewniaka staje się własnością tego możniejszego, i w ten sposób sama z siebie uskutecznia się komasacya gruntów włościańskich o któréj osobliwie w Galicyi tyle i oddawna już mówią, jako o nieodzownéj akcyi prawodawczéj. Jak widzimy, komasacya sama z siebie powstaje kosztem chałupników i wogóle małorolnych, i taki stan rzeczy rozwija się w opisywanéj wsi Ossa, gdzie kilku możniejszych ma po kilka zastawów, nie chce wspólnego pasania i własne bydło i owce trzyma oddzielnie, korzystając z ogółu — ale nie pozwala pasania na własnych gruntach obsiewanych koniczyną i seradelą, które w sąsiednim folwarku od lat 10 dają doskonałe paśniki w ścierni po żniwach.

Dziś żyjący ojcowie rodzin, mający grunta w części zastawione lub niedostateczne ilościowo gospodarki, są właśnie tymi małorolnymi — których dzieci grunta spieniężą i pójdą na wsze strony świata, lub zostanie jeden brat, spłacający rodzinę posagiem żony i przy pomocy pożyczki z kasy gminnéj. Chociaż więc wedle litery prawa gruntów ukazowych nie wolno dzielić poniżéj 6 morgów, gdyby dziś chciano przeprowadzić urzędową kontrolę, to bezwarunkowo w każdéj wiosce znalazłyby się działki będące w zastawie lub prawem kaduka używane — dla których trzeba by prawych właścicieli szukać wśród okolicznéj ludności. Zatém nie ma zgoła żadnéj przesady w twierdzeniu, iż na wsi istnieje chaos władania ziemią, trudny do uregulowania, który wynikł biegiem wypadków z samego założenia przy uwłaszczeniu, kiedy zerwano spójnię, jaka historycznie istniała między wsią i dworem, która jedynie gwarantowała całość a i obecnie przedstawia rękojmię pomyślniejszego rozwoju ekonomicznego.

* * *

Kolonie w omawianéj wsi Ossa powstałe po rozparcelowaniu gruntów dworskich, przed 16 laty, na 40 gospodarek o wspólnym lesie, łąkach i pastwisku, dziś już od lat kilku rozdzieloném, posiadają także międzyrzędowy rozkład gruntów, pasami się ciągnących przez całą długość pól; lecz już 16 lat temu ówcześni chłopi rozumieli szkody ze zbytniego drobienia różnych działów na działki. Starano się więc o zachowanie jednolitych całości mimo drobnych różnic gleby, czego jak wiadomo chłopi z 1864 r. nie dopuszczali. Otóż wśród tych gospodarek-kolonii jest jeszcze kilka w ręku pierwotnych nabywców, którzy roli między dzieci jeszcze nie rozdrobili. Gospodarki te, zawierające przeciętnie po 40 morgów, składają się przeważnie z 5 różnych działów, w czém po odliczeniu łąk, pastwisk, lasu około 6 morgów oddzielnie,

które w ostateczności mogły by służyć za warsztat na samodzielną gospodarkę, czego w większości dawnych wiosek być nie może, bo brakuje w jednym pasie takich ilości.

Kilku kolonistów pobudowało się nie przy drodze gdzie utworzyła się ta nowa wieś zwana Wzgórze, ale wprost na swojej parceli którą własną drogą połączyli z gościńcem. Mamy już tutaj początek gospodarstwa kolonialnego (system ferm) i komasacyę, bo są to gospodarki istniejące same w sobie o własném wodopoju (studni), własnéj drodze i paśniku. W tym rozkładzie pól, uprawa koniczyn i polowa kultura ogrodowizn, lub innych roślin delikatniejszych, może być stosowana bez szkody ze strony sąsiada i gromadzkiego użytkowania.

Ze zmianą techniki gospodarczéj w koloniach, idą różnice w poglądach ludu nowych wsi a ludźmi starych wiosek, czego najlepszym dowodem to zjawisko, że od lat 16 jak istnieją kolonie, tylko $^1/_5$ gospodarek uległa rozdrobnieniu, gdy inne zachowały się w całości; współspadkobiercy bowiem kolonii, mających się rozdrobnić, chętnie sobie ustępują należne działy, które są spłacane posagami żon, przy pomocy pożyczek i ratami składanemi przez starsze rodzeństwo do kas pocztowych i gminnych. Prawda, iż teraz na wsi w zawiązującém się małżeństwie na pierwszy plan występuje „spłata", lecz zmateryalizowanie uczuć ludu wiejskiego, dziwić nikogo nie powinno, bo jest faktem trzeźwości umysłowéj i konieczności cywilizacyjnéj, która ogólnie zmianę tę życia i uczuć sprowadziła.

Spłaceni lub oczekujący spłaty służą na „kobietę", to jest idą na kilka lat tam do służby, gdzie są dorastające dziéwki i gdzie składają swój udział, wstępując w gospodarkę z chwilą zawarcia małżeństwa. Są między nimi ryzykanci emigrujący do miast i tam pracujący po fabrykach, sklepach; potém sami zostają sklepikarzami, lub powracają na wieś i przy pomocy banku włościańskiego, spekulują na zbudowanie własnéj gospodarki.

Kolonistą będzie nie byle chłop—ale tylko ryzykant. Wiele się kryje pojęć w tém wyrażeniu—dość, iż ryzykantem zostaje wykolejony osobnik chłopski lub sam kwiat intelektualny i materyalny ludu wiejskiego. Że tak jest i dawniéj było, świadczy fakt, iż koloniści w omawianéj wsi Ossa mają o wiele szersze poglądy od swoich sąsiadów w staréj wsi, co niedowodzi ich jakiegoś lepszego pochodzenia z innéj okolicy, gdzie lud sprytniejszy, (bo to również ludność miejscowa), ale że to sam kwiat, ponieważ 16 lat temu gdy nie było pomocy bankowéj, mimo różnostronnego pochodzenia téj ludności z okolicy, doszło do zgody i koloniści wzajemnie ręczyli za siebie, wskutek czego dokonali w Radomiu pożyczki na spłatę właściciela i Tow. Kred. Prawda iż

był w tém motorem żyd spekulant, który podjął się chłopów zebrać i dobra rozparcelował, bo sam właściciel wtedy tego dokonać nie mógł, raz iż wówczas świéżo po uwłaszczeniu chłopi zupełnie nie ufali, powtóre, iż była większa ciemnota i sądzono, że nawet kupione grunta, jako szlacheckie, dzieci właściciela będą mogły odebrać. Dopiéro gdy użyto pośrednictwa miejscowego żyda (ongiś pachciarza, dziś właściciela), ten umiał zebrać ufających i przeprowadził parcelacyę oraz zbiorową pożyczkę kolonistów — dopiéro wtedy chłopi Staréj Wsi spostrzegli się i po dziś dzień żałują, bo zrozumieli swój błąd; z tego téż powodu trwa pewien antagonizm między kolonistami a mieszkańcami Staréj Wsi.

Jak była wtedy wielka niewiara chłopów, dość przytoczyć fakt— iż gdy jeden z Borowieckich, członków zasiedziałéj rodziny z Staréj Wsi zadatkował $^1/_4$ kolonii a o tém wieś się zwiedziała, był maltretowany przez współwieśniaków i chwiać się zaczął w zamiarze. Dopiéro żyd spekulant dowiedziawszy się o tém, umiał upewnić go, że pieniądze nie przepadną wskutek czego chłop chwilowo się znów uspokoił, a dziś tryumfuje, gdy inni gospodarze Staréj Wsi żałują, iż wierzyli bałamutnym wieściom.

Jak wtedy, tak i dziś, gdy którykolwiek dwór zwróci się do chłopów swojéj wsi, aby brali kolonie, naturalnie teraz przy pomocy banku, to ociągają się i pertraktacye wstępne, trwają 2 i 3 lata; ale gdy kilku obcych weźmie jakiekolwiek parcele, to i miejscowi włościanie rzucają się do kupna, chociaż poprzednio targowali się bez umiarkowania. U większości wieśniaków tkwi mniemanie, bardziéj instynktownie niż rozumowo rozwinięte, że co dworskie, to winno należéć do ludzi miejscowych. Nie ulega kwestyi, iż chcą położenie wyzyskać, tak iż znane są wypadki formalnéj zmowy, gdy włościanie sami kolonii nie biorą a innych amatorów parceli odpędzają grozą spasania, pożaru i innych szkód; wskutek tego przyciskany do muru obywatel mięknie i ustępuje. Lecz tam gdzie trafi kosa na kamień, fikcyjna sprzedaż parceli ludziom z obcych stron narusza zmowę chłopów i poczyna się ruch nabywczy, który, jako już ważny moment psychologicznego nastroju, prowadzący parcelacyę winien wyzyskać.

Ale wracam do mego założenia.

Znamiennym rysem kolonisty jest duża doza wytrwałości i przedsiębiorczości, tak iż dla pozyskania gospodarki ojczyzną dla niego cały kraj, wszędzie tam, gdzie są największe widoki nabycia ziemi.

Gdy wieśniak typowy, którego reprezentuje Stara Wieś, jest dość ciasnych pojęć, bo jego ojczyzna to kąt rodzinny, kolonista jest za szerokich, bo kupi i sprzeda i daléj pójdzie, jeżeli tylko ma pewność zwiększenia obszaru i wogóle zarobku.

Typowy wieśniak roli nigdy nie sprzeda, zastawi, wydzierżawi, da nawet krewniakowi, ale nie łatwo z kątem rodzinnym zrywa; jest on z natury lokalista; kolonista zaś jest obywatelem całego kraju i to stanowi główną jego charakterystykę.

Typowych jest coraz mniéj, jak typowego szlachcica spotykamy coraz rzadziéj; a jak młodzież szlachecka przechodzi w inne, aniżeli u rodziców, fazy, tak samo młódź wiejska kształci się na wzór kolonisty i stara się jak on ubiérać czarno.

Dziwić się temu nie można: jakby mnie najinteligentniejsi warszawianie wyśmiali, gdybym pojechał do Warszawy w opoczyńskim ryjku (kapeluszu z sukna), buraczkowych spodniach i modnym kaftanie, w których chodzę w domu i bywam na jarmarku; tak samo kolonista wyśmiéwa miejscowe stroje [1]). Gdy koloniście dobrze się powodzi, to on, jako ojciec rodziny, stanowi tylko szczebel do powstania nowéj szlachty, przyszłéj inteligencyi, zatém księży, doktorów i t. d.

Po tym nawiasie, nie będącym od rzeczy dla charakterystyki wsi i zrozumienia jéj potrzeb, wracam do swego dowodzenia, iż oprócz naturalnego biegu komasacyi drogą małżeństw na miany, skupu i brania zastawów, spłaty i urządzania kolonii samych w sobie jako fermy zagraniczne, jak to obecnie się praktykuje przy parcelacyi, iż mimo to wszystko — ani komasacya, ani system ferm i ustrój rentowy dla zachowania całości gospodarek włościańskich, więc i tak zwane majoraty chłopskie, nie prowadzą do celu — bo, nie zapominajmy, iż ideałem rolniczym z punktu techniki gospodarowania jest ani wielka, ani średnia, ani mała własność, lecz wielka a podzielona odnośnie do warunków gleby i położenia na różne uprawy pod jednym zarządem, lub średnia czy mała własność, ale stowarzyszona w celach wzajemnéj wymiany usług, a na zewnątrz potężna jako całość wytwórczo-spożywcza.

* * *

Znaczenie stowarzyszenia się w celach wytwórczości i zbytu lub wzajemnego kupna i spożycia jest coraz lepiéj pojmowane, raz z powodów materyalnych, drugi raz ze względu na etyczną i handlową przewagę stowarzyszenia w porównaniu z jednostką samotną.

Zatém wychodząc z tego założenia, że wieś — to całość, która musi być stowarzyszona, skoro to właśnie jest celem, mamy już wytyczne przedsięwziąć się mających reform.

---

[1]) A jednak F. Skopolik, chłop czeski, nawet jako członek rady państwa, chodził w Wiedniu po wiejsku.

Aby więc zapobiedz temu przykremu stanowi rzeczy, jaki wytwarza brak, a właściwie niechęć i zawiść robotnika wiejskiego do dworu, ażeby więc utrzymać i miéć chętnego robotnika, aby rolnictwo mogło stanąć na wysokości swego zadania, trzeba znaléść ten punkt wyjścia, któryby godził interesa wsi i dworu.

Nie jest to tak trudne, jak się na pozór wydaje.

Chodzi o to, żeby robotnik wiejski właścicielowi ufał — lecz aby i ów robotnik miał stałe zajęcie i widział swą korzyść po za sprzedażą czasu, żeby mógł wkładać w robotę całą sumę usiłowań, o co głównie chodzi, bo brak téj szczeréj chęci pracy, gdy najmita czeka tylko, aby dzień zeszedł, jest główną przeszkodą w ekonomicznym rozwoju rolnictwa, o ile ono jest pracą rękodzielniczą.

Gdy nastąpi takie zespolenie, nietylko prawdopodobieństwo dalszych zmian nie będzie trudne, ani ciemne, lecz łatwe i jasne; nie trzeba się bowiem łudzić jakoby robotnik wiejski nie wiedział, że po za sprzedanym czasem ma on dawać coś, co samo życie stanowi, a co się nie wynagradza: bo on otrzymuje tyle, ile starczy na utrzymanie tylko, bez widoków na czas choroby, starość i możność wyposażenia dzieci. Więc w stosunku pracodawcy do robotnika brakuje „czegoś", co jedynie tylko gwarantuje dobroć towaru i taniość wyrobu, gdy zobopólnie to „coś" istniało.

Zapewne, że rezygnacya chłopa jest odwieczna, lecz na tém nie można opiérać gmachu: raz dlatego, iż chłop, już wprowadzony na tory emancypacyjne przez uwłaszczenie, prądem czasu musi zaznać szerszych aspiracyi; powtóre, że rozbudzenie apetytów już nastąpiło i dobrze, że istnieje akcya parcelacyjna, która otworzyła widoki uczciwéj pracy dla tych żywiołów burzliwszych, których, mojém zdaniem, nie brak. Trzeba zaś być całkiem optymistycznie zaślepionym, ażeby tych żywiołów nie widziéć.

Czémże jest to stale trwające nieposzanowanie własności dworskiéj?

Dlaczego brakuje takiéj służby, jaka niegdyś była i być powinna, dlaczego trzymamy cały sztab stróżów i różne stopnie pilnowaczy i kontrolerów, aby warsztat rolny funkcyonował prawidłowo, a bo gdy na chwilę brakuje ręki dzierżącéj, wszystko się rozłazi mimo tych rządców i stróżów?

Za długo obserwuję, abym nie znał całego szeregu tłómaczeń w różnych wypadkach lokalnych; ale to wszystko faktu nie zmienia, iż ów grunt wrzenia istnieje i ani wielkiego na to czasu, ani nazbyt osobliwych okoliczności nie trzeba, żeby wyrósł chwast socyalizmem zwany, jeżeli zawczasu do pielenia się nie weźmiemy.

Wielu ziemian i nie-ziemian z tych obaw, które wyraziłem, śmieje się, jak się śmiano przed stu laty z górą, kiedy zachodził analogiczny wypadek. Wówczas mieliśmy w świecie agrarnym dwa obozy: stronników systemu czynszowego i pańszczyźnianego. Pierwsi dowodzili, a jak dziś widzimy, zupełnie słusznie, iż właściciel nic nie traci, ale nawet dubeltowo zyskuje, gdy chłop siedzi na czynszu a nie na pańskiém, wtedy bowiem wkłada całą sumę energii i wysila spryt, aby dobrze gospodarzyć, czego w systemie pańszczyznianym nie ma, ani mogło być. Ostatecznie na całéj linii system czynszowy zwyciężył (jak w Rosyi, nawet uwłaszczono), bo wszędzie widoczném było, iż czynszownik był zainteresowany w produkcyi. Zupełnie tak samo obecnie, czy w bliskiéj przyszłości system zespolenia wsi i dworu zwycięży dotychczasowe produkowanie rozdzielne [1]).

W. Wojciechowski.

Pisałem w Kamiennéj Woli, 25 lutego 1896 r.

---

[1]) Artykuł ten jest ustępem większéj pracy, traktującéj „Wieś i jéj potrzeby".



ZE SŁUŻEBNICZYCH DZIEJÓW.

I. Leśniczówka.

Gwałtowny deszcz z piorunami spadł w nocy nad żyznym Wołyniem i odświeżył powietrze, trawy, pola i lasy. Piła ożywcze krople czarna ziemia, piły drzewa zielone i trawy bujne, a kwiaty polne obficie po sianożęciach rozsiane. Z po za lasów, szerokiém półkolem otaczających leśniczówkę, na brzask się zanosiło. Zrazu tylko jaśniejszą barwą zaznaczył się widnokrąg po prawéj stronie, potém ozłocił, zarumienił, aż naraz cały wschód oblał się purpurowo-promienną barwą i gorące promienie słońca strzeliły na wsze strony, lejąc strugi światła i życia. A z przeciwległéj strony nieboskłonu wiatr świeży spędzał ostatnie płaty chmur, które uciekały szybko to z głuchym grzmotem, to z jaskrawą błyskawicą i w chwili, gdy słońce się wytoczyło nad widnokrąg, całe niebo od wschodu do zachodu jaśniało czystym, pogodnym błękitem, a dzień się począł na poły letni, na poły wiosenny, tak pełen silnego, niepochwytnego czaru, jak ów dzień biblijny, w którym natura po raz pierwszy budziła się do życia.

Domek leśniczego z ogrodem warzywnym, z zabudowaniami gospodarskiemi, z nędzną lepianką w jednym rogu dziedzińca, służącą za mieszkanie dla „pobereżnika" (stróża leśnego), wznosił się na płaskowzgórzu, osłonięty od północy przepięknym lasem, z południa otoczony orném polem. Na dolinie naprzeciw domku szklił się stawek nie-

wielki i płytki, utworzony ze źródełka, co tam w głębi lasu biło chłodną, czystą wodą u stóp prastarego dębu, — i tak szuwarami w trzech czwartych zarosły, że tylko małą na środku błyskał tafelką. Nie ożywiał krajobrazu, lecz służył za gościnne przytulisko dla niezliczonéj ilości żab, których nawoływanie się z minorowego tonu, lub namiętne rzechotanie rozlegało się daleko na okół. Po błotnistych i grzązkich brzegach tego stawku, złocistych od gęsto kwitnącego żółtego „łotaczu", o metalicznym połysku na płatach kielichów — przechadzał się długonogi bocian, pogrążony w dyplomatycznych kombinacyach. Szło mu o to, by, korzystając tu z miłosnego gruchania, tam ze swarów żabiéj rzeczypospolitéj—zagarnąć jak najwięcéj łupów dla siebie.

Na drodze, których cztery schodziło się i krzyżowało przed wrotami leśniczówki, ukazał się wieśniak. Biegł raczéj niż szedł, tak bardzo się śpieszył. Zakasawszy poły staréj „świty" (sukmany), bez któréj i w upał chłop wołyński nie pójdzie do swego zwierzchnika, stawiał ogromne kroki, za każdym całą wagą ciała, przechylając się to w prawo, to w lewo. Dotarłszy do bramy zdjął kapelusz, upleciony z traw zbożowych swojskich i otarł rękawem pot z twarzy, w bruzdy głębokie zoranéj, bronzowéj od słońca.

Stanął u „przełazu". Pierwotny ten wynalazek uważano tam wtedy za wygodniejszy znacznie od furty, którą odmykać i zamykać trzeba, a urządzano go w ten sposób, że na pewnym punkcie obniżano płot do połowy na szerokość łokcia lub więcéj i po obu stronach, dla wygody kładziono niby stopnie albo spory kamień, albo gruby kloc drzewa.

Przybyły uniósłszy jeszcze wyżéj sukmany, zamierzał wkroczyć na dziedziniec i już stopą obutą w łapcie z lipowéj kory, obwiązaną rzemieniem po grubych płóciennych „onuczkach" dotknął p r z e ł a z u, gdy naraz psy podwórzowe tak szalenie ujadać poczęły, że się cofnął ze strachem.

— No Rudko, no Biłka, cicho! swój!—upewniał, cofając się i kij sękaty ku obronie gotując, co jeszcze bardziéj wzmogło psią wrzawę.

— Co tam takiego? — ozwał się nagle spokojny głos męski i w otwartém oknie ukazał się pięćdziesięciokilkoletni mężczyzna, widocznie przed chwilą zbudzony.

— To ja, wielmożny panie, w interesie — odparł przybyły w ludowém narzeczu.

— Chodźże tu bliżéj, Filipie.

Nowa próba wkroczenia na dziedziniec okazała się równie bezskuteczną, jak pierwsza.

— Rudko! Biłka! a cicho mi! -- krzyknął gospodarz.

Kundysy umilkły posłusznie lecz niechętnie, bo pospuszczały ogony, co, jak wiadomo, oznacza w psiéj mimice: smutek, konfuzyę, zły humor, krótko mówiąc: całą skalę uczuć przykrych.

— Pójdźcie tu, do nogi! — rozkazywał gospodarz.

Zwierzęta cofały się ulegle od bramy.

— Teraz nie bój się, Filipie, i chodź do sieni.

Wezwany usłuchał, skrobiąc się w głowę na dowód zakłopotania, i wszedłszy wreszcie zwycięsko na niewielkie podwórko, kierował się ku gankowi półkolistą linią, pragnąc widocznie zachować między sobą a swemi czworonogiemi przeciwnikami jak największą przestrzeń. Ostrożność nigdy nie wadzi.

Człowiek i zwierzęta spoglądali na siebie nieufnie. One pokazywały ostre, białe zęby, on kij sękaty, argumenta mało na serdeczność uczuć wpływające. Przy ganku nowy protest wiernych stróżów. Więc chłop się zatrzymał o kilka kroków i zdjąwszy kapelusz, czekał pokornie.

Oblicze jego i postać wyrażały spokojne pognębienie, bierne ugięcie się pod losem, który mu się wydawał równie twardym i nieubłaganym, jak starożytna *ananke*. Twarz ściągła, chuda, zbronzowana wiatrem i słońcem, nie miała wieku; włosy kasztanowate, spadające na czoło i przycięte nad brwiami, już siwiały; oczy błękitne patrzały smutno a roztropnie, ostry wąs jaśniejszy od włosów, krótko przystrzyżony, okrywał wargi zaciśnięte, kątami chylące się do dołu, co nadawało całemu obliczu wyraz gorzkiego, niemego bólu. Opuścił poły odzieży, podsunął czerwonego, spłowiałego pasa, poprawił zgrzebnéj koszuli, związanéj „życzką” (czerwoną tasiemką wełnianą) u szyi, chudéj, ciemnéj, pokrajanéj w bruzdy głębokie, podobnie jak twarz i czoło—i miął machinalnie kapelusz w spracowanych dłoniach.

Nie czekał długo, bo leśniczy wyszedł w równie pierwotnym stroju, jak wieśniak, z tą różnicą, że bieliznę miał cieńszą, a na nogach wysokie buty juchtowe.

— Chodźże tu do ganku, Filipie—przemówił cichym, łagodnym głosem, harmonizującym z jego bladą, zmęczoną cerą, z delikatnemi rysami twarzy i smutno patrzącemi oczyma.—Psów się nie bój, kiedy ja tu jestem.

Chłop się posunął śmieléj, pokłonił nisko ze zwykłém pozdrowieniem: „sława Bohu” i zamilkł, czekając pytania.

— Na wieki — odparł leśniczy i wnet zagabnął, siadając na drewnianéj ławce w ganku. — Cóż tam takiego nagłego, żeś przybiegł ze świtem?

— To, proszę wielmożnego pana, znowu się dobiérano do danieli.

— Znowu!—krzyknął leśniczy z podrażnieniem nerwowego człowieka, który wszystko żywo bierze do serca.

— Ale szkody żadnéj nie zrobili--dorzucił pośpiesznie wieśniak.

— Cóż? Odpędziliście złodzieja? Czemuście go nie złapali?

— Burza go odpędziła, wielmożny panie, a myśmy nic nie widzieli, choć nie spaliśmy, stróżując; ja do północy, Karpo od północy. Ale cóż, kiedy tak ciemno było „choć oko wykól".

— Jakże wiész, że złodziéj był, kiedyście go ani widzieli, ani słyszeli i szkody nie ma?

— Ot tak, wielmożny panie. Dziś piątek, post święty—choć to u nas biédnych post cały krągły rok, bo gdzie nas stać na mięso!... Chyba na Wielkanoc, ta na Boże Narodzenie kupi człek kawalek ochłapa!... Tak ja myślę sobie: pójdę raniutko do lasu, może grzybów nazbiéram dla mojéj staréj; niech krupniku z grzybami zgotuje. Idę w gęstwinę, po za zwierzyniec, aż tam trawa stłoczona od konia i ludzi. Coś mnie tknęło. Zaczynam się rozglądać, szukać, taj znachodzę w krzakach „ryskal" (rydel), piłę, sznury i długi nóż, jak u rzeźnika. Chciałem zabrać...

— A broń Boże!...

— Toć nie tknąłem. Bo myślę sobie: kiedy zostawili, to pewno jeszcze raz przyjadą. Tak ja już i grzybów nie zbiérał, tylko puściłem się „na przełaj" dać znać wielmożnemu panu.

— Dobrze! Zaraz pojadę, żeby ślad po rosie znaléść. Każ tam Kuźmie gniadego co prędzéj osiodłać, a ja wnet się ubiorę. Ha, łotry! Chcieli skorzystać z ciemnéj nocy.

— Pewnikiem. Przepiłowali u góry dwie deski w częstokole, podkopali się u dołu i dziś przyjdą wyprowadzić zwierzęta; bo to takie łaskawe, że do ręki biegnie jak psiak. Potém zabiją, zaduszą i na koń, taj w nogi...

— Zobaczymy!—odparł leśniczy, powstając i powtórnie dorzucił: każ Kuźmie gniadego przyprowadzić, a sam wróć się na kieliszek wódki za fatygę.

Chłop się pokłonił nisko na podziękowanie.

Dworek, w którym się powyższa toczyła rozmowa, odznaczał się specyalną, rzec można, architekturą, zastosowywaną tam przed czterdziestu (a może i dziś nawet!) laty do mieszkań oficyalistów nie pierwszorzędnéj kategoryi. Niski, ciasny, wilgotny, niewygodny, drwił sobie z hygieny, którą tam uważano wtedy za „zamorskie wymysły". Rozdzielony sionką na dwie połowy, w jednéj mieścił oficyalistę z rodziną, w drugiéj czeladź, a nawet bydełko. Dworek, o którym mowa, należący do wielkiego pana, właściciela obszernych włości i przepy-

sznych lasów, słynnych z obfitéj zwierzyny, był nieco wygodniejszy od innych: posiadał ganeczek kryty i jedną izdebkę więcéj, niż zwykle. Bo powszechnie takie domki miewały po dwie izby po obu stronach— otóż państwo Mirejkowie posiadali trzy izby, z których pierwszą, zwaną szumnie „pierwszym pokojem", oświécały trzy okna, wychodzące dwa na podwórze, jedno na stajnię i oborę. Wypaczone cienkie ściany, wybielone tylko, zdradzały wilgoć u dołu; podłoga nie z desek, tylko bruk z cegieł, gwoli praktyczności czy ozdoby—pomalowanych żółtą gliną. Z „pierwszego pokoju" wchodziło się do wąskiego alkierza o jedyném oknie, z alkierza do maleńkiéj izdebki o mikroskopijném okienku i ogromnym piecu, takim, jakie stawiają w wieśniaczych chatach. Śpiżarenka wielkości sporéj szafy dopełniała apartamentów i przechowywała droższe zapasy.

„Piekarnia" po drugiéj stronie sieni odpowiadała „pierwszemu pokojowi" i służyła za kuchnię dla państwa, oraz dla czeladzi, za pralnię, za jadalnię i bawialnię dla sług, za „siedm razy jedną". Komora zupełnie ciemna obok, właściwie alkierz bez okna, tajemnicze gyneceum licznego za pańszczyznianych czasów „fraucymeru" zostawała pod nadzorem kucharki, staréj, wiernéj Kiliny i nikt z profanów nie był wtajemniczony, jak tam sześć dziéwek mogło się mieścić. Nie należy téż pominąć milczeniem malutkiéj ciupki, zwanéj „grubnikiem", będącéj wprost drzwi wchodowych, w któréj kominiarz swe operacye odbywał, a która służyła za postrach dla dzieci.

Jak „piekarnia", tak i „pierwszy pokój" do kilkorakiego służyły użytku: cztery razy na dzień przemieniał się w jadalnię, co wieczora w sypialnię pana Mirejki. Gdy gajowi przychodzili z raportami albo po rozkazy, bywał kancelaryą, w razie przybycia gościa służył za bawialnię, a kilka razy do roku przedzierzgał się w salę balową, gdzie przy rzępoleniu skrzypeczek hasano tak zamaszystego mazura, że aż z ceglanéj „posadzki" kurz się wzbijał pod sufit.

Ale owe tany, improwizowane zwykle trafem, gdy się zjechało kilku kolegów po służbie, z rodzinami, należało uważać raczéj za „wybryki dobrego humoru", sztucznie podnieconego, niż za wesołość płynącą bujnym strumieniem z głębokiego źródła szczęścia. Warunki życia były nie obiecujące. Nie brakowało wprawdzie „chleba powszedniego" na dzień bieżący, lecz jutro groziło zawsze straszną niepewnością. Dziewięćdziesiąt rubli pensyi rocznie i ordynarya rozmaitego zboża nie zabezpieczało bytu rodziny. A było ich pięcioro: mąż, żona, dwoje dzieci i matka leśniczyny. Toć nieraz ciężkim frasunkiem oblekały się twarze biédnych tych ludzi i tylko szczera, wielka religijność broniła od sarkań. Czasem jeno, gdy samowolne postępo-

wanie zaufanego nowego rządcy zbyt dotkliwie dawało się uczuć, szepnięto: „gdyby stary hrabia żył!...” I na westchnieniu, na rezygnacyi, wszystko się kończyło.

A jednak ci ludzie nie oddawna w służebniczéj obroży chodzili. Przeszłość ich lepsza, świetniejsza, inne wspomnienia i tradycye zostawiła im, lecz klęski i nieszczęścia, spychały ich z wyżyn na niziny, w sfery, gdzie obyczaj, mowa, rysy grubieją... Staruszka, pani Jerzminowa, zachowała jeszcze wykwintne ułożenie, delikatny sposób wyrażania się, do których się była wdrożyła w dzieciństwie; nawet w jéj ubogiéj odzieży przebijało się coś z téj wyrafinowanéj dbałości o strój, jaka w klasach tylko zamożnych despotycznie włada. Córka, pani Mirejkowa, już mniéj stykająca się z ową sferą, miała słowo głośniejsze, ruch żywszy, sposób bycia bardziéj szorstki, tylko w rysach twarzy i w charakterze pozostało wiele dawnéj godności i dumy.

Jak w ludziach, tak i w sprzętach, ślady lepszego dnia minionego widniały. Śród ubogich jesionowych mebelków, na stołku od siekiery, u wezgłowia leśniczego stała duża, pełna dokumentów szkatułka, arcydzieło w swoim rodzaju, takie na niéj kosztowne drzewo a rzeźby, w takie śliczne, nie krajowéj roboty, blachy srebrne, filigranowe, okuta; połamane wprawdzie, miejscami poobrywane i z drogich kamieni całkiem ogołocone. Ostatni ametyst ofiarował żonie na spinkę zubożały Mirejko. Koło łóżka Mirejkowéj, obok ogromnego kufra z odzieżą, stała komoda ze startą politurą, szpetnie kulawa, lecz z drogiego azyatyckiego drzewa, fantastycznie rzeźbiona w esy floresy, w niebywałe ptaki i smoki.

Dla znawcy zabytki te, mistrzowsko wykończone, niepoślednią wartość artystyczną i materyalną przedstawiać mogły, dla leśniczostwa były one pamiątką jeno rodzinną, do któréj żadnéj innéj, prócz wspomnienia, wagi nie przywiązywali, w nieustannéj ciężkiéj pracy na życie, zobojętnieli na sztukę, zapomnieli o niéj.

Nie ustępującym co do wartości był prawdziwy gobelin, dziś w strzępy podarty. Oddawna w posiadaniu Mirejków, zbutwiał od starości. Padający się w kawały zszywano bez względu, że postacie na nim przybierały kształty przeciwne wszelkim prawidłom natury. Tu głowa stykała się z kolanem, tam ręka wyrastała z żebra, nos z łokcia. Gdy służba zaczęła się śmiać, a dzieci strachać tych poczwar, zdjęto pokaleczony dywan ze ściany przy łożu, dla osłonienia nim bryczki, którą leśniczyna jeździła do kościoła. Lecz nie na tém koniec smutnych losów arystokratycznéj makaty... Ulegałyżby losy ludzi i rzeczy prawu ciążenia i spadłszy raz ze szczytu, musiały spadać coraz niżéj i niżéj, aż na dno samo?... Dość, że gobelin zniszczony jeszcze więcéj

od słomy, którą wyściełano siedzenie w wózku, i od sznurów, które ją przytrzymywały, został zdjęty i złożony w kilkoro poszedł służyć za posłanie dla ulubionéj kasztanowatéj suczki, Amiki... *Sic transit gloria mundi!*

Z dniem i ptakami budzili się tu i zasypiali ludzie, więc już ruch się rozpoczynał w leśniczówce. Woźnica Kuźma czyścił i kulbaczył gniadosza, pastuch Hryćko pędził z rosy krowy, z których jedna, śliczna tyrolka, odłączywszy się od trzódki, podeszła pod ganek i ryknęła przeciągle, jakby się oznajmić chciała: dojka biegła ze skopkiem, Mirejkowa wyszła na ganek z kluczami, staruszka Jerzminowa częstowała Filipa kieliszkiem gorzałki i krajanką chleba z sérem, drób się zlatywał na widok Kiliny sypiącéj poślad z sita hojną dłonią.

— Kuźmo, dawaj konia!—zawołał Mirejko.

A gdy na ten rozkaz piękny wierzchowiec stanął przed drewnianym gankiem, szlachcic dosiadł go tak raźno, że niejeden z młodszych mógłby mu pozazdrościć siły i zręczności.

Tuż za leśniczówką droga skręcała się w bok do lasu. Stary bór szumiał zdala potężnym tajemniczym szmerem. Sianożęć z bujną trawą, pola z kłosującą pszenicą falowały przy powiewie rannego wiatru, jak zielone tonie. Obfite krople niedawno spadłego dészczu ściekały po źdźbłach zbóż, drżały na młodych kłoskach, błyszczały dyamentowemi połyski na równowązkich liściach traw, na różowych smółkach, liliowych dzwonkach, białych, pachnących powojach polnych, fioletowych groszkach, purpurowych gwoździkach i tylu innych ziołach a kwiatach, z których jedne strzelały w górę, drugie rosły przy ziemi, inne słały się po łące, a wszystkie dyszały wonią do upojenia. O, bo żyzna i bogata w życiodajne soki ta ziemia.

Małe zbiorki wody po dolinach, na czarnéj drodze, resztki ulewy nocnéj, parowały pod gorącemi promieniami słońca i łamały je w tęczowe smugi. Gdy światło wielkie spadnie bodaj na kałużę, zawsze jéj coś ze swego blasku zostawi.

Jeździec z przyjemnością poddawał się urokowi cudnego poranku, lecz gdy znów droga złamała się pod kątem prostym i rzeźwiący powiew boru wionął mu prosto w twarz, ocknął się z zadumy. Koń parsknął wznosząc łeb do góry, jeździec go ścisnął kolanami i zdwoił kroku. Wjechał w las. I już nie poddając się zadumie, nie podziwiając piękności drzew, z których każde o pniu wspaniałym, warte było pędzla malarza, nie słuchając chórów ptasich, tysiącznemi głosy piejących wesoło, okiem urzędnika spoglądał, badając, czy nie spostrzeże szkody w pańskiéj własności, czy nie dojrzy śladu jakiego nadużycia: czy nie posłyszy uderzeń siekiery lub zgrzytu piły. Lecz było cicho,

konary olbrzymów splątały się w kopułę nad nim, młode gałązki sięgały mu głowy, a potrącone świéżemi kroplami dészczu sypały rzeźwiąco na czoło.

— Wio, gniady!

Koń zastrzygł uszami i przyśpieszył chodu. I naglc rozsunęła się przed jeźdzcem polanka. Zając pomknął z zarośli, z wysiłkiem przez wysokie trawy torując sobie drogę, nad któremi przy podskokach ledwo łebek i długie kiwające się słuchy wystawały. „Lasów tanecznica”, wiewiórka, gibko przerzuciła się z jednego drzewa na drugie, kos zagwizdał w gęstwinie. Wąską ścieżką dotarł Mirejko do zwierzyńca, w którego jednym rogu wznosiła się chatyna stróża, a na odgłos miarowego uderzenia kopyt końskich wyszedł chłop młody, rosły jak dąb z pokłonem w pas, według zwyczaju. Tuż z przeciwnéj strony krótszą drogą, przez rowy i płoty, dobiegał Filip zziajany.

— Daj Boże zdrowia — powitał chłopa Mirejko. — Cóż to, złodzieje byli u was?

— A byli, wielmożny panie i ponoś jeszcze będą.

— Trzeba ich przyjąć gościnnie—zażartował, zsiadając. — Czy nie macie sznura?—spytał po chwili. — Uzdeczka krótka, a chciałbym tak przywiązać gniadego, żeby się popasł.

— Juści, że jest. Niech wielmożny pan pozwoli, to ja zrobię co trzeba.

Leśniczy powierzył mu wierzchowca, a zwracając się do Filipa rzekł:

— Teraz chodźmy.

— Tędy, wielmożny panie, po za parkan.

— Nie. Niech nie będzie po nas śladu i niech nas nikt nie widzi. Chodźmy lepiéj przez zwierzyniec.

Filip otworzył wysoką bramę.

Weszli na ogromną łąkę, oparkanioną szczelnie, pośrodku któréj wznosił się budynek z grubych bierwion, naśladujący szalety szwajcarskie. Rozrzucone kląby drzew leśnych dawały cień zwierzętom, sztucznie urządzony płytki zbiornik, wąskim strumyczkiem odbiérający ciągle napływającą świéżą wodę z obfitego źródła, orzeźwiał park nawet w upały.

Zwierzyniec ten, z wielkim kosztem i staraniem utrzymywany niegdyś przez starego hrabiego, zapalonego łowca, niszczał powoli od jego śmierci. Sarny, jelenie, daniele ginęły; liczną służbę cofnięto i obecnie z kilkunastu ludzi pozostało tylko dwóch stróżów; z licznego stada ledwo sztuk kilkanaście. Pieszczone przybiegały na widok człowieka i wyciągając kształtną szyję wyglądały pożywienia z ręki. Gdy

leśniczy z dozorcą wszedł do zagrody, cała gromadka rozłożystoroga przybiegła do nich.

— Ot, tu — wskazał Filip.

Mirejko się zbliżył i popróbował deski. Dawała się wyjąć z łatwością, będąc podkopaną u dołu i mając przepiłowane spójnie w górze.

— Łotry! jak to wszystko zręcznie zrobili! Nie pierwszy raz pewno do kradzieży się biorą.

— Juści, wielmożny panie. To nikt inny, tylko oni w przeszłym roku wyprowadzili najpiękniejszą łanię z koźlęciem.

— Chodźmy teraz zobaczyć, gdzie pochowali swoje narzędzia.

Znów ze wszelką możliwą ostrożnością zaczęli się przedziérać przez rozrosłą gąszcz po za ogrodzeniem i znaleźli piłę, rydel, nóż, sznury; wszystko, czego potrzeba do podkopania się, wyprowadzenia i zabicia zwierzyny. Ziemia była stratowana przez konia, na wilgotnéj ziemi odciskały się wyraźnie ślady stóp.

— Było ich dwóch—odezwał się leśniczy po staranném obejrzeniu miejsca. — Jeden miał wywabić zwierzęta, drugi zabić je, przywiązać do konia i uciec... Chodźmy temi śladami.

Poszli w milczeniu i dotarli na kraj lasu.

— Ot, tu, koła od wozu. Ha, rozumiem! Byli z wozem po zwierzynę... Łotry!

Burzył się szlachcić podwójnie na kradzież, bo i w nim się odzywała żyłka myśliwska. Ale posuwać daléj śledzenia nie mógł.

U zrębu lasu znów się kilka dróg zbiegało z okolicznych wsi, na nich ślady kół, kopyt, stóp, ścierały się wzajem, gmatwały, że próżno było jakiéjś skazówki w nich szukać.

— Szkoda! — rzekł leśniczy, przypatrując się chwilę téj nierozplątanéj mozajce — ale postaramy się powetować to sobie wieczorem. Tylko Filipie, *sza!*... Nikomu ani słówka! Niby nikt nic nie wié. Was dwóch, ja trzeci. Przyprowadzę z sobą Kuźmę, ale jemu dopiéro na wsiadaném powiem, gdzie i po co jedzie. We czterech damy sobie radę. A teraz wracajmy.

Słońce już się było wzniosło wysoko i dzień się zapowiadał upalny. Mirejko dosiadł żywo konia i dobrym kłusem puścił się do domu. Miał tegoż dnia zdążyć na sesyę do Berezówki, na 10 godzinę zrana, a z lasu do wsi była prawie mila drogi.

2. „Komisarya”.

Tak zwano urzędownie w zwykłéj mowie mieszkanie pana rządcy, zawierające prócz zajmowanych przezeń pokojów, ogromną pustą izbę, w któréj wydawał rozporządzenia, z dobudowaną obszerną sienią z boku dla wieśniaków, przychodzących w interesie i którą przezwali „niedoczekalnią”, albowiem po długich nieraz godzinach wyczekiwania odchodzili, nie ujrzawszy dostojnego oblicza pana Wacława Rożahowskiego, większego pana w obejściu się niż właściciel hr. Pobóg. Zwyczajnie — parweniusz.

Po szybko spożytém śniadaniu, dosiadł leśniczy bułanka, zachowując gniadosza na nocną wyprawę i ruszył na sesyę.

Komisarya leżała niedaleko od pałacu i rościła pretensye do elegancyi. Otaczały ją sztachety biało pomalowane, dzikie wino pięło się po kratach, dziedziniec z murawą pośrodku, starannie utrzymywaną, był wyzwirowany.

Gdy Mirejko stanął przed gankiem, wybiegł kozaczek i przyjmując konia rzekł:

— Pan rządca prosili, żeby wielmożny pan poczekali na niego w bawialni.

I zamiast do kancelaryi, otworzył drzwi do prywatnego mieszkania pana Rożahowskiego.

Szlachcic zdumiony wszedł do dużego, jasnego pokoju i postąpiwszy kilka kroków, obejrzał się wkoło. W jego smutnych, myślących oczach przebiła się wzgarda, a wargi spuściły kątami w dół z goryczą. Porównywał mimowoli ten komfort rządcy z ubóstwem swego mieszkania i myślał, że on lat trzydzieści służył téj rodzinie, p. Rożahowski zaledwo dziesiątek — i — taka różnica!...

Długo jednak nie rozmyślał, bo z dalszych komnat wbiegł śpiesznie rządca, z udaną serdecznością witając przybyłego, który mu się kłaniał niby z uszanowaniem, niby pokornie, lecz trzymał się zdala jakąś nieprzełamaną zaporę stawiając tą uległością między wszechwładnym „pełnomocnikiem” a sobą.

— Daruj, kochany panie Dominiku — mówił, ściskając ręce leśniczego—żeś czekał, lecz ojciec mi chory, doktór przy nim. Siadajże, proszę, siadaj!

I przysunąwszy gościowi fotel, sam usiadł w cieniu, tak, by go mógł obserwować, nie będąc obserwowanym.

— Nic nie szkodzi—odparł cichym głosem leśniczy. — Jakże się miéwa pan komornik dobrodziéj?—spytał przez grzeczność.

— Nieco lepiéj, dziękuję serdecznie za pamięć. Ale w nocy dostał tak silnego ataku astmy, żem się lękał nieszczęścia... Teraz drzémie osłabiony... Możebyśmy się czémś posilili i my obaj, bo sesya dyabelnie długo się przeciągnie... Nawał interesów.

— Bardzo panu rządcy dziękuję, zjadłem gotowane śniadanie na wyjezdném.

— Kieliszeczek starki... Hej, Pawełek.

— Dziękuję, bardzo dziękuję—zaprotestował z żywością. Nie pijam tak rano.

— To może fajeczkę lub cygarko?

Dłuższe wymawianie się byłoby zbyt widoczną niegrzecznością, przyjął więc cygaro z ukłonem, choć niechętnie. Rządca nadskakująco podsunął mu ładną zapalniczkę.

— To nie bez kozery—myślał leśniczy.

— Jakże zdrowie pani Mirejkowéj dobrodziejki i szanownéj pani Jerzminowéj?

Zapytany dziękował z przesadzoną pokorą, w któréj czuć było coś nieprzejednanego. Pod uległością widocznie sobie nakazaną, odzywała się siła. Rządca udając, że nic nie spostrzega, mówił daléj uprzejmie:

— A co porabia Kazia? to moja faworyta! Rozumne dziecko jak mało!... Co myślisz z nią począć, panie Dominiku.

— Chcielibyśmy ją edukować, by więcéj od nas umiała — odpowiedział innym tonem, widocznie w słabą stronę utrafiony.

— Ileż ma lat?

— Siedm skończy za miesiąc.

— Pora zaczynać. A chłopak w jakim wieku?

— Półczwarta roku.

— Ten ma czas przed sobą, ale o Kazi warto już pomyśléć na seryo.

— Toć myślimy o tém bezustannie i ku jesieni może da Bóg coś się zrobi.

— Czemuż nie na wiosnę?

— Teraz jeszcze nie można—odparł krótko.

— Eh, możeby można. Trzeba się postarać...

— Toż się staramy! Odmawiamy sobie wszystkiego, pracujemy od świtu do nocy, byle zebrać fundusik potrzebny...

— Nie o tém myślałem—przerwał Rozabowski.

— A o czémże?—spytał dobrodusznie Mirejko.

— Możeby hrabina pomogła...

— Hrabina? — powtórzył z niedowierzaniem — hrabina!... — i w smutnych jego oczach zamigotał jakiś płomień gorący, lecz zgasł szybko i siwa głowa pochyliła się ku piersi.

— Tak, hrabina — prawił rządca. — To dobra pani, tylko trzeba umiéć do niéj się zastosować; lecz — dodał, zniżając głos — trochę kapryśna. Et, zwyczajnie, jak wszystkie wielkie panie.

— Ja tego widać nie umiem — odparł Mirejko z goryczą. — Mogę pracować, pilnować jéj dobra, jak mego własnego, lecz jeśli tego zamało i tym sposobem zjednać jéj sobie nie zdołam, to... Bóg z nią! Nie wiem, co zrobić więcéj...

— Wszystko-bo w czarnych kolorach widzisz, kochany panie Dominiku, a to źle. I drugim i sobie tylko zgryzoty przysparzasz. Wszystkich masz za wrogów, kiedy tymczasem każdy ci sprzyja.

— Nawet i Chełmocki?—spytał ironicznie.

— Nawet i on. Nie powiem, żeby był od serca twoim przyjacielem, jak ja, nie chwaląc się, ale cię poważa i szanuje. Niedawno temu mówił mi, jak mu przykro, żeście się przemówili o to zboże... Tymczasem to były plotki tego niegodziwego Filipa, którego nie wiem za co protegujesz zawsze.

— Panie rządco! to nie plotki! Mam świadków, że Chełmocki pszenicę sprzedał i już promem podwody miały się przeprawiać, gdy z przeciwnéj strony nadbiegł kozak z wiadomością, że szwagier hrabiny jedzie z całą rodziną. A to pan nie malowany. Zarazby spytał podwodników: „co wy za jedni? Skąd? gdzie? po co? I wyszłoby na jaw, że pan ekonom sandomierki tyle sprzedaje na raz kiedy i połowy tego nie bierze w ordynaryi... Więc zboże z worów w wodę, a puste wozy daléjże uciekać co sił, biédne szkapy miały..."

— Bajki! wierutne bajki, wykrzyknął rządca z tém większém oburzeniem, że należał do spółki w owéj niefortunnéj sprzedaży. Czyż mnie tu nie ma, co pilnuję dobra pańskiego jak oka w głowie?... Mnie byś krzywdził, utrzymując podobną pogłoskę.

Na takie *dictum* zamilkł leśniczy, i po chwili, dla odwrócenia rozmowy, zagabnął:

— Pawełek mi powiedział, że był jakiś interes do mnie...

— Właściwie nie interes, powoli odparł rządca, przeciągając rękę po czole. Chciałem się tylko naradzić z tobą, kochany panie Dominiku...

— Ze mną?!..—spytał zdziwiony Mirejko.

Rządca udał, że nie słyszy i biorąc się ręką za łysiejącą głowę,

jakby dla plastycznego przedstawienia trosk a interesów na niéj ciążących—kończył konfidencyonalnie.

— Nie uwierzysz, co ja mam kłopotów przy dzisiejszych wymaganiach hrabiny; muszę myśléć i przemyśliwać bez końca, żeby podołać wszystkiemu.

Znów się pogładził po czole pochylającém się wtył, łysiejącém przedwcześnie od wyuzdania i zżółkłém.

Leśniczy odparł zimno:

— Od śmierci hrabiego ja się do interesów nie mieszam. Prawda że, póki nieboszczyk żył, to Mirejko, miał nadzór nad całym kluczem i korca zboża nie wolno było sprzedać bez jego podpisu. Ale odkąd on w grobie, a hrabina rządzi, stare sługi poszły w kąt... Ja teraz i sam do niczego mieszać się nie chcę. Pilnuję lasu i koniec.

Rożahowski słuchał z niezadowoleniem i spuścił ku ziemi rozjątrzone oczy, ale odpowiedział pojednawczo.

— Kochany panie Dominiku! Nie powinieneś chować żalu do hrabiny. Jeśli cię usunęła od głównego zarządu, to tylko przez wzgląd na twoje słabe zdrowie.

— Ja żalu nie chowam żadnego – odparł żywo—tylko się tłómaczę, dlaczego nie chcę mieszać się do interesów.

— Ale jeśli ja cię po przyjacielsku o radę i pomoc proszę, to by nie należało odmawiać, koleżeństwo przedewszystkiém. Tu zaś takie terminy nadchodzą, że rada doświadczonego człowieka jak ty, panie Dominiku, pożądana... Hrabina ciągle się domaga pieniędzy. Mówi, że za granicą życie drogie, że edukacya synów strasznie kosztuje, że panna dorasta... Słowem tysiąc racyi, by pieniędzy dawać a dawać...

— No, to dawać! — powtórzył Mirejko jakimś dziwnym tonem.

— Tak, dawać! — odparł Rożahowski udając oburzenie połączone z żalem, a skąd?... Czy teraz takie czasy jak dawniéj?... Czy nie drożeje wszystko, i wydatki się nie wzmagają? Czyśmy nie mieli gradu w roku przeszłym a motylicy w zaprzeszłym? Czy księgosusz inwentarza nie zniszczył téj zimy?... Pisałem o tém wszystkiém do hrabiny nie raz i nie dwa. Przekładałem, że trzeba przyjechać na czas jakiś na wieś, zaprowadzić trochę oszczędności, ale czy ona chce słuchać!... Ona powiada, że dla wykształcenia dzieci Drezno, Paryż, Londyn, Rzym niezbędne tak, jak powietrze do oddychania, i że nie powróci aż córkę wychowa tak jak postanowiła.

Mirejko milczał, Rożahowski czekał odpowiedzi i nie mogąc jéj się doczekać, odezwał się znów miękkim głosem:

— Radź co, panie Dominiku.

— Cóż tu radzić kiedy hrabina rozkazuje? Posłać pieniądze i koniec.

— Skąd ich wziąć?

— Wszak w kasie coś być musi.

— Na przednówku!... zaśmiał się rządca z cicha, szyderczo. Teraz takie czasy, że nie tylko u chłopów lecz i u szlachty biéda na przednówku. Czyśmy to nie musieli inwentarza zaprowadzać i w Berezówce, i w Stawkach, i w Jaworowie i w Mohylance? Czyśmy pszenicy do siewu nie kupowali?... Czyśmy... ale co to liczyć?!..

— A wódka z gorzelni?

— Toż sprzedałem raz cztery tysiące wiader w jesieni, potém drugie tyle na Nowy Rok, gdy hrabina gwałtowała, że hr. Romek zachorował i doktorów z całego świata sprowadzać było trzeba... Reszta zaś, mniejszemi częściami, na gospodarskie potrzeby...

— Jakto! przeszło trzydzieści tysięcy wiader...

— Gdzie?... Kiedy?... Wzruszył ramionami. I połowy tego nie było w tym roku.

— Woły tuczne na braże?.. Sztuk sto dwadzieścia pięć?...

— Kto ci takich bajek naplótł, panie Dominiku!... Skąd u nas tyle bydła?... Do dziewięćdziesięciu nie mogłem dociągnąć, bom wolał co lepsze zabrać do pługa. Zawsze się coś oszczędziło tym sposobem.

Słuchający uśmiechnął się nieznacznie.

— A i z tych ośmdziesięciu kilku, padło sztuk z dziesięć, dokończył z pewném wahaniem się.

— Lecz te co pozostały?...

— Sprzedać musiałem za bezcen, gdy hrabina na karnawał do Paryża jechała.

— A pszenica, żyto, i inne zboża?...

— Jak wiadomo, nieszczególne były.

— W Jaworowie owszém było śliczne.

— Jedynyż to grosz co wpłynął, ale zaraz i wypłynął na roboty gospodarskie wiosenne.

— Jakto!... Wszystko?...

— Wszystko! — powtórzył stanowczo zaufaniem hrabiny cieszący się rządca.

Uczciwemu Mirejce krew uderzyła do głowy, lecz się pohamował w mgnieniu oka, i obojętnie pytał daléj:

— A dwanaście stért przeszłorocznych w Krasnym folwarku.

— Niby to nie wiadomo, że je myszy zjadły z winy tego nicponia Kiryły, gumiennego, któregom wypędził.

— Aleś go pan przyjął powtórnie.

— Bo tak prosił, tak płakał, tak przepraszał... Ja mam miękkie serce i gdy widzę, że kto płacze, to bym krwi własnéj dla pocieszenia nie pożałował. Więc przebaczyłem.

Leśniczemu znów szyderczy uśmiech mignął pod zawiesistym wąsem.

— Rzepak?...

— A podatki?...

— Wełna?...

— Co tam téj wełny, gdy przeszło dwa tysiące owiec padło na motylicę.

— Zostało jeszcze z górą cztery tysiące.

— Wszak mówiłem już, że gdzie co zarwać grosza mogłem, tom kupował inwentarz.

— Prawda! potwierdził leśniczy.

Tylko że ten wyraz p r a w d a, znaczył: s ł y s z a ł e m, nie znaczył wcale w i e r z ę. I dorzucił obojętnie:

— Młyny i stawy.

Rożahowski potniał, pod tą indagacyą — mienił się na twarzy, klął w duchu, lecz hamował na zewnątrz.

— Młyny i stawy — powtórzył przeciągle — czyto warto rachować?...

— Z górą trzy tysiące rubli intraty, coś znaczy...

— A pensye oficyalistom?...

Szalbierz na wszystko miał gotową odpowiédź. Mirejko zaś, nie mając dowodów, zamilkł i wzrok wlepiwszy w posadzkę starannie wywoskowaną, unikał spojrzenia swego zwierzchnika, nie chcąc się zdradzić z oburzeniem i wzgardą, które mu kipiały w duszy.

Rożahowski patrzał nań przez chwilę pełnemi złości oczyma, ale się prędko opanował i znów począł poufnie:

— Tak, tak, źle stoimy. Obliczałem sam wszystkie dochody i wydatki—i z nikąd ratunku, chyba ty, kochany panie Dominiku, nam dopomożesz.

— Ja?... a toż jakim sposobem?...

— Lasem...

— Lasem! wykrzyknął. Wszak wiadomo, że go tknąć nie wolno.

— Och, dla czegoż nie wolno,—miodowym głosem szepnął z a u f a n y pełnomocnik.—Ty bo, kochany panie Dominiku, jesteś rygorystą pierwszego rzędu, a tymczasem wszystko można tak urządzić, że „i wilk syty i koza cała.”

— Ja tego nie potrafię—mruknął niechętnie.—Nieboszczyk hrabia nakazywał mi nieraz—mam to nawet na piśmie—żeby do pełnoletności hrabiego Rajmunda nie rąbać lasu. Ja zaufania nieboszczyka nie zdradzę.

— No, odparł z niejaką niecierpliwością Rożahowski, dziś są inne rządy, inna pani, i téj pani słuchać trzeba.

— Hrabina mi tego nie rozkazuje.

— Bo nie wié, w jak krytycznym stanie jest majątek.

— Nie z mojéj winy.

— I nie z mojéj,—odparł rządca z taką godnością, jaką miał Lis Mykita, udając spotwarzoną niewinność.—Lecz nie o tém mowa. Hrabina, gdy do niéj napiszę i smutny, acz chwilowy, stan interesów przedstawię, przyśle rozkaz formalny; ale mój panie Dominiku, — namawiał, poufale niby w zażyłości rękę mu kładąc na ramieniu - - na co się nam do hrabiny odwoływać, kiedy zgodnie, po koleżeńsku a przyjacielsko możemy się ułożyć. Wszak to „ręka rękę myje; noga nogę wspiéra...” „Co ty mnie dziś — ja jutro tobie...” Idzie mi bardzo o to, by hrabiny nie trwożyć i posłać żądaną kwotę, bez zaciągania pożyczki. Ty jeden, panie Dominiku, możesz przyjść mi w pomoc małym kosztem.

— Małym kosztem!...

— Mógłbyś kazać wyrąbać tylko pół włóki...

— Za nic w świecie

— Ależ poczekaj, nie przecz, daj skończyć. Tych kilkanaście dziesięcin dębiny za Stawkami, to jakby osobny lasek, nie należący wcale do masy lasów... Albo mógłbyś pozwolić przetrzebić ten wązki pas za Daniłłówką... Herszko oddawna molestuje mię o budulec i dałby dobrą cenę. Mielibyśmy wszyscy. I hrabina na swoje *wojaże* a „fatałaszki”, i ja na gospodarstwo, no i ty, panie Dominiku, w sam raz doskonały wypas dla swego bydełka... Ja wiem, jaka z pani Mirejkowéj zawołana gospodyni, jakie u niéj krówki! Posłałbym na jéj gospodarstwo ślicznego byczka holenderskiéj rasy i dwie jałoszki, a dla ciebie, co lubisz konie, znalazłby się źrebczyk caca, po arabie, ze stada Sanguszki...

— Panie rządco!—z oburzeniem straszném choć hamowaném, z twarzą bladą a wzrokiem gorejącym odparł leśniczy urywanemi słowy—ja sumieniem swojém frymarczyć nie będę... drzewa jednego z lasu nie dam... nad to co potrzeba... i można...

— Ależeś w gorącéj wodzie kąpany!.. Nie idzie tu wcale o frymarczenie sumieniem, bo rzeczywistéj szkody, w takim majątku jak ten, nie przyniesie sprzedaż kilkudziesięciu a choćby i paruset sągów

drzewa. Że zaś za przysługę mnie wyświadczoną ja też ze swéj strony chcę się odwdzięczyć tém czém mogę, i do czego mam prawo, to rzecz tak prosta, iż pojąć nie mogę, co w niéj oburzającego dostrzegasz. Doprawdy, to już nie sumienność, nie gorliwość lecz poprostu dziwactwo.

— Możem i w gorącéj wodzie kąpany, możem dziwak, nawet głupiec, bo w wasze kombinacye bawić się nie umiem; bo nie potrafię prowadzić interesów tak, by wilk był syty i koza cała, lecz za to wierny pozostanę nieboszczykowi panu memu, który mi ufał jak bratu. Mogliście mnie wyższéj posady pozbawić, bo uczciwość Mirejki nie jednemu była solą w oku. Możecie mi szykany robić, szkalować przed hrabiną... Człek to zniesie przy pomocy bożéj. Ale żebym przykładał rękę do krzywdy moich państwa, żebym ich rujnował jak wy — jak ty panie rządco z tym niegodziwcem Wincentym Chełmockim, niedoczekanie wasze!... Raczéj z torbami pójdę...

I drżącą ręką szukał kapelusza, i drżący oburzeniem na całém ciele kierował się ku drzwiom, nie żegnając gospodarza.

— To pójdziesz z torbami! krzyknął w furyi Rożahowski, to pójdziesz!...

I pienił się ze złości.

Mirejko zatrzymał się w progu i zwracając się ku nieprzyjacielowi twarzą w twarz przemówił dobitnie:

— Pójdę, jeśli taka wola boża, ale nikt o mnie tego nie powié, co o tobie, panie Rożahowski, żem się zbogacił okradając swoich chlebodawców.

I wyszedł z podniesioném czołem.

3. Dobrana para.

Rożahowski upadł na krzesło, trzęsąc się i sapiąc z bezsilnéj złości, a w tém drzwi boczne otwarły się cichutko i wsunął się raczéj niż wszedł mały brudny człowieczek, którego twarz i postawa nadawałyby się wybornie malarzowi za typ Judasza.

— Nie powiodło się... szepnął drwiącym, pewnym siebie tonem.

Rożahowski milczał, miotając się wściekle.

— Trzeba szukać innéj rady,— mówił przybyły spokojnym głosem.

— Czy równie mądréj, jak ta, którąś mi dał względem Mirejki.

— Rada była dobra, tylkoś ją rządca źle przeprowadził.

— Ty byś potrafił lepiéj...

— Przynajmniéj-bym się nie uniósł i nie wygadał.

— Czemużeś się sam jéj nie podjął?...

— Cha, cha—cha!—cicho, sycząco śmiał się przybyły, siadając bez ceremonii na kanapie i wyciągając przed siebie nogi w zabłoconych butach. Potém przymrużywszy lewe oko a prawém mrugając złośliwie, odpowiedzisł z przesadzoną pokorą:

— Albożem wszechwładny pan rządca?... zaufany pełnomocnik?... W łaskach pani hrabiny?... Ja tylko prosty ekonom, Wincenty Chełmocki, który słucha i robi to, co mu każą.

— Daj pokój tym głupim drwinom. Teraz nie pora do żartów.

— Cóż, może do płaczu, bo Mirejko się rozsierdził?

— Psy na nas wieszać będzie.

— Czy to on jeden?...

— Do hrabiny napisze.

— I my napiszemy.

— To człowiek powszechnie szanowany! Głos jego na opinię wpłynąć może.

— Eh, pluń na to, panie Wacławie! Jak będziesz miał pieniądze, to będziesz miał i opinią za sobą, gadanie zaś takiego chudopachołka jak Mirejko minie, jak „psie głosy co nie idą w niebiosy."

— Jednakże hrabina, gdy się przed nią poskarży...

— O! o! o!.. Nie poskarży się — bo dumny i skarżyć się nie lubi; lecz gdyby nawet, to odpowiemy, że to kalumnie; zemsta za to, że ci miejsca ustąpić musiał; że radby je odzyskać, że chorując ciągle, stetryczał, zdziwaczał, zdziecinniał.

— Bój się Boga, człowiek przy najzdrowszych zmysłach.

— To i cóż?.. Można zełgać. Na nieprzyjaciela każda broń dobra. Ot siadaj i pisz do hrabiny, że o gotówkę trudno, bo czasy ciężkie, i że pożyczka da się zaciągnąć tylko na bardzo wysoki procent.

— Wolałbym sprzedać trochę wódki, albo zboża, albo...

— I zrobiłbyś głupstwo. Co zostało to zostało...

— A jeśli nie uwierzy i zechce sprawdzać?...

— Kto?... Ona!... Chyba by się świat do góry nogami przewrócił.

— Może do mnie zaufanie stracić.

— Nie bój się!.. Tylko pisz pokornie, kłaniaj się niziutko, nie szczędź obietnic na przyszłość, szafuj zapewnieniem o najgłębszéj czci, o najwierniejszém oddaniu się, o posłuszeństwie bez granic, to uwierzy we wszystkie „duby smalone." Te wielkie panie takie głupie, że wszystko biorą za dobrą monetę, skoro oficyalista „plackiem przed niemi."

— Ale Mirejko...

— Powiédz, żeś się z nim pokłócił o las, który niszczeje z jego winy.

— Tego za wiele. Las utrzymany ślicznie. Wszyscy to wiedzą i zazdroszczą nam. Co prawda to prawda, Mirejko zna się na rzeczy i służy sumiennie.

— Otóż napisz, że stary przez zbytnią gorliwość... (Broń Boże ganić!... popsuł byś wszystko. Ale można tak chwalić, że na człowieku suchéj nitki nie zostanie) zapuszcza las; że stąd jedne drzewa usychają inne karłowacieją—słowem szkoda i strata. Gdyś mu tego dowiódł, to on wpadł w pasyę i tak się ostro postawił, jak gdyby tu się czuł panem nie sługą. Połóż nacisk na jego samowolę. To najbardziéj się nie podoba hrabinie, zazdrosnéj o swą władzę, i ręczę, że Mirejko dostanie od niéj po nosie.

— Wiész! Z ciebie nie Chełmocki ale Szelmocki.

— Niech sobie będzie i Szelmocki; nawet bez cki, szelma po prostu; ja z tego „kpię jak z dziurawego buta." Bylem się dorobił majątku, to opinia, szacunek, przyjaźń zjawią się tak pewno jak „dwa a dwa—cztery."

— Ejże!...

— Gdyby się nie zjawiły, to się bez nich obejdę. Ot pisz do hrabiny tak, jak mówię. Zapraw swój list gęstym sosem czci, szacunku, uwielbienia, poświęcenia, a wszystko pójdzie jak po maśle.

— Tymczasem jednak skąd dostać piéniędzy, jeśli nie chcesz bym co sprzedał...

— Ja ci się wystaram.

— Skąd?

— To moja rzecz.

— A procent?...

— Tylko dwunasty.

Zamilkli spoglądając na siebie wzrokiem „augurów" rzymskich i obaj się rozśmieli cichym śmiechem, który nagle się urwał.

— Aj ty bestyo!... szepnął z admiracyą rządca.

— Będzie Kornelka miała większy posażek, — szepnął ze znaczeniem.

Rożahowski pokraśniał i jakieś niemiłe uczucie ścięło mu na chwilę wargi, lecz odstrzelił komplementem:

— Taka ładna, że nie potrzebuje posagu.

— Nie zaszkodzi on, nie zaszkodzi, przekona się pan Wacław. I znów mrugał prawém okiem.

Nastąpiła chwila milczenia.

Przerwał ją Chełmocki głosem stanowczym i suchym:

— Trzeba zaraz pisać do hrabiny. Odrobić, co się zrobiło. Szkoda żeś się uniósł... żeś się wygadał... Ale nie było świadków i można wszystkiemu zaprzeczyć... Pisz zaraz tak, jakem powiedział... Ja sam zawiozę list na pocztę. Na herbatkę zaś czekamy. Kornelka, nie wiem na czyją intencyę, jakieś doskonałe piecze małdrzyki.

I skinąwszy z lekka głową, pomrugując chytrze okiem wysunął się bocznemi drzwiami równie cicho jak przyszedł.

Rządca zostawszy sam, siedział długo nieruchomy z brwią ściągniętą i zmarszczonėm czołem; potém wstał nagle i siadłszy przy pięknėm dębowėm biurku, wziął się do pisania listu. Szło to nie sporo; pisał, mazał, gryzł pióro, targał wąsy, w końcu zmiął papiér w garści ze złością i zaczął szybko chodzić wzdłuż obszernéj komnaty.

— Niech to wszyscy dyabli wezmą!—zaklął głośno i powtórnie siadł przy biurku. Zaledwo jednak umoczył pióro w inkauście, zapukano do drzwi.

— Kto tam?—krzyknął niecierpliwie.

— To ja! — odparł cienki głos kobiecy, i bocznėm wejściem — tém samém w którém zniknął Chełmocki—wsunęła się cichutko, niby nie śmiało niby poufale, spuszczając powieki i zérkając zalotnie gospodyni rządcy, pani Dumbicka, hoża trzydziestoletnia bruneta, o błyszczących czarnych oczach, pełnych wargach, pulchnéj kibici i szyi białéj, krągłéj jak utoczonéj. Ubrana z zalotną skromnością, miała téż i ułożenie zalotno-niewinne. Kręciła w palcach rąbek czarnego alpagowego fartuszka i mówiła urywanemi, cichemi słowy, jak nieletnie zesromane dziewczątko:

— Przepraszam pana rządcę... jeśli przeszkadzam, ale... ojciec już się obudził... i pytał o pana...

Mężczyzna wypogodził twarz na widok ponętnéj kobiety i podszedłszy ku niéj, zajrzał w oczy z uśmiechem satyra, uszczypnął w rumiany policzek, jak się to praktykuje w zaściankowych zalotach i przemówił z galanteryą:

— Pani Dumbicka zawsze jak róża.

— Dla pana teraz tylko jedna róża na świecie — szepnęła z żalem.

— Kto taki?...

— Pan pyta?—odparła łzawym głosem.

— O niczém nie wiem.

— Żartuje pan.

— Dalibóg, że nie żartuję!

I dla nadania dobitności zaprzeczeniu pocałował z apetytem świéży policzek zalotnéj wdówki.

— Daj pan pokój, wiemy co się święci—rzekła z westchnieniem. I po pauzie, spytała od niechcenia:

— Czy pan rządca uważa, że pisarz prowentowy jak malowanie?...

— Albo co? — spytał szorstko.

— Nic — szepnęła z niewinną minką.

— Czy się pani Dumbickiéj spodobał?...

— Ja nie trzpiotka ani chichotka, z czułą powagą odpowiedziała wiejska Klorynda. Jak komu sprzyjam to całém sercem i na wieki.

Rządca wzruszony otoczył ramieniem pulchną kibić.

— Panie! panie!—wrzasnął Pawełek z trzaskiem drzwi odmykając,—starszy pan o m g l i l i.

— Skaranie boże!—sarknęła czuła para, rozlatując się w dwie przeciwne strony. Gdy syn jednemi a klucznica drugiemi drzwiami pospieszyli na ratunek chorego, kozaczek pokazał im za plecami język i figę, potém wykręciwszy się na pięcie z grymasem, wyrażającym radość swą z kłopotu tych, których nienawidził bo go ciemiężyli i którymi gardził bo nie stali moralnie wyżéj od niego, poskoczył napowrót do przedpokoju i wywinął koziołka.

4. Na czatach.

— Ty Filipie stań tu,—rozkazywał półgłosem Mirejko, śród cichéj ciemnéj nocy,—i wpuść każdego lecz nie wypuszczaj nikogo. Ty Kuźmo z Karpem skryj się za tym oto krzakiem. Myślę, że ich będzie dwóch. Jeden wejdzie do zwierzyńca by wywabić zwierzęta, drugi będzie czekać za parkanem. Na tego, co wejdzie, ty Kuźmo z Karpem rzućcie się i zwiążcie go, a z drugim ja się rozprawię.

— Wielmożny panie,—spytał wierny kozak,—a jak on będzie zbrojny?

— Toć dla tego właśnie sobie go zostawiam.

— Wola wasza. Ale, broń Boże, jakiego nieszczęścia...

— Cóż znowu! Gdyby się bać wilka, toby nie można było zaglądać do lasu... Idźcie każdy na swoje stanowisko i cicho!... ani duchu!

Rozdzielili się.

Wieśniacy pozostali w obrębie zwierzyńca, szlachcic z koniem po za obrębem.

Noc była cicha, spokojna i ciemna, tylko bór szumiał głucho bez końca i kusił do snu tym szmerem jak kołysanka. Czatującym w mil-

czeniu czas się dłużył bardzo, i już kur piał z północy gdy zdala doszedł słaby turkot wozu. Odgłos ten zbudził ich z odrętwienia, zelektryzował. Każdy wytężył wzrok i słuch a skupił się w sobie, gotując do czynu. Warczenie kół rosło i naraz ustało.

— Przyjechali! — szepnął leśniczy do swéj drużyny. — Teraz baczność.

Znów chwila oczekiwania,... potém ciche kroki ludzi, głośniejsze stąpanie konia, szelest rozchylanych gałęzi w gąszczach lub trzask złamanych pod kopytem, szept ostrożny, i przed oczyma czatujących, oswojonych z ciemnością, ukazało się dwóch ludzi. Jeden szedł przodem, torując drogę, drugi prowadził wierzchowca za uzdę. Stanąwszy u mety, obejrzeli się wokoło, i ten, co prowadził konia luzem, spytał:

— Czy wszystko tak jak było?

— Wszystko.

— To dobrze, widać że się nie spostrzegli. Idźże teraz do zwierzyńca i wywab ze dwie sztuki, ale nie razem, tylko po jednéj.

Złodziéj wyjął ostrożnie przepiłowaną deskę i wtargnął do zagrody. Pies u progu chaty zaszczekał, lecz na krótkie ciche gwizdnięcie przybiegł, łasząc się jak z dobrym znajomym. I znów cisza. Po chwili zgrzyt żelaza przy otwiéraniu drzwi do szopy, i nagle głośny krzyk ludzki, szamotanie się, klątwy.

Złodziéj miał nóż przy sobie — i gdy Kuźma z Karpem nań się rzucili, on pchnął jednego nożem, drugiemu z rąk się wyrwał, i krzyknąwszy: zasadzka! rzucił się przed siebie a obaliwszy nadbiegającego starego Filipa znikł w cieniach nocy.

Drugi tymczasem na pierwszy alarm wskoczył na koń i pomknął wstecz. Ale wnet zdwoił się tentent kopyt i na polankę słabo rozświeconą gwiazdami wysunęły się dwa cienie ścigające się zapamiętale.

— Hej z wozem! Zmykaj co tchu—krzyknął uciekający.

Klaśnięcie z bata i warczenie kół odpowiedziały wezwaniu.

— Rabusie, szelmy, złodzieje!—krzyknął leśniczy w pasyi, że mu się drugi nicpoń wymyka, i ścisnąwszy gniadego kolanami, w kilku olbrzymich skokach dosiągł zbiega.

— Mam cię nakoniec!—wykrztusił głucho przez ściśnięte wzruszeniem gardło, i pochylił się by ująwszy za kark ściganego, wywlec go z siodła.

— Jeszcze nie! — odparł tamten z zimną krwią wytrawnego rzezimieszka, i uniknąwszy niebezpieczeństwa zręcznym ruchem w bok, stanął w obronnéj pozycyi.

Mirejko natarł powtórnie.

Złodziéj widząc że nie uciecze, sięgnął z błyskawiczną szybkością po kordelas który mu wisiał u pasa i wbił go po rękojeść w pierś gniadosza. Koń zarżał rozgłośnie, rzucił się konwulsyjnym skokiem i runął wraz ze swym jeźdźcem.

— Dobrze ci tak, bestyo!—wrzasnął tryumfująco złodziéj, i pomknął cwałem.

Po krótkiéj chwili ucichł i tentent kopyt i turkot wozu, tylko ptastwo czując świt bliski poczęło się odzywać wesołym świegotem.

Mirejko przywalony całym ciężarem swego wierzchowca, stracił w pierwszéj chwili pamięć i uczucie, ale wielki ból wrócił mu prędko przytomność. Chciał powstać — siły wypowiedziały posłuszeństwo. Chciał zawołać o pomoc; głosu brakło. A koń broczył krwią, to się unosił trochę, to znów opadał, zdwojoną zda się wagą, na nieszczęśliwego jeźdźca, jak człowiek który mdleje. Czasem rżał żałośnie, wzywając ratunku.

W męce, która za lata całe stać mogła, przeleżał Mirejko do świtu, nim wierny kozak odnaléźć go zdołał. Koń drgał jeszcze w śmiertelnych konwulsyach, na żywym człowieku, który się z pod niego wydobyć nie mógł... Gdy wreszcie ludzie nadbiegli z pomocą, leśniczy na-wpół dogorywał. Miał zgruchotaną nogę i ciężkie obrażenia wewnątrz.

5. Spólnicy.

Rankiem, pan Chełmocki, ubrany w kamlotowy kubraczek popielaty i takież modesty, w kaszkieciku niepewnéj barwy na siwéj krótko ostrzyżonéj głowie, szedł pogwizdując wesoło ku komisaryi.

Pawełek, którego obowiązkiem było siedziéć od ranka do nocy w przedpokoju, zastąpił mu drogę ostrzegając że:

— Pan rządca się golą.

— Co ty kpie będziesz mię zatrzymywał, kiedy ja mam interes!—burknął odtrącając brutalnie chłopaka i wszedł do pokoju w którym, rzadki wówczas na tym partykularzu między uboższą szlachtą, panował „komfort.” Łoże wcale nie spartańskie, jeszcze nie zasłane, okrywała bardzo cienka bielizna i kołdra adamaszkowa: pod nogi rzucono wspaniałą wilczurę, ścianę zawieszono pięknym dywanem, ofiarowanym przez kupca Moszka za jakieś finansowe operacye. Dwie skrzyżowane szable, na tymże dywanie, świadczyć miały o szlacheckiém pochodzeniu właściciela, a u wezgłowia, Matka Boża Częstochowska patrzała nieodgadnionym wzrokiem z ciemnego tła obrazu na życie nędznika, który jéj za szyld używał i przed którą, co sobota palił

w kryształowéj lampie wonną oliwę, za kradzione pieniądze nabytą. Kilka wygodnych foteli skórą obitych, kantorek mahoniowy z wybornemi zamkami angielskiemi i stół z dużém zwierciadłem, z eleganckim przyborem toaletowym (dar hrabiny), składały umeblowanie takie, na jakie nie każdy nawet właściciel ziemski pozwalał sobie. Zadawalano się tam wówczas zwykle (pańskie domy wyjąwszy) bielizną domowego wyrobu, krzesłami lub kanapą z krajowego drzewa, sporządzonemi przez domorosłego majstra. Siedzenie, ku większéj wygodzie, wyściełano włosiem lub wełną, najczęściéj pakułami i pokrywano drelichem, a jeśli się kto zdobył na mahonie, na makaty, to je mieścił w salonie, jako zbytkowne przedmioty, przeznaczone więcéj dla łaskawych gości, niż dla domowych.

Na szczęk klamki we drzwiach, Rożahowski krzyknął z gniewem:

— Kto tam u dyabła?

— Dzień dobry, panie Wacławie.

— A! to ty, panie Chełmocki!... Cóż tak rano? jeszczem nie ubrany.

— Głupstwo! Będziesz ze mną ceremonie robił! To dobre przy ludziach, we cztery oczy na dyabła się zdało.

— Dlatego właśnie powiadam, że się ubiéram i że nie lubię, by mi przeszkadzano.

— Ta, ta, ta!... Niby ja nie wiem, że się pomadujesz, fiksatuarujesz, perfumujesz, pucujesz na wszystkie strony i boki... Głupstwo to wszystko! Gdy zbierzesz dużo grosza, to będziesz i ładny, i młody, i rozumny, i kochany, choćby ta łysina, co dopiéro jak talar, była jak patyna, torby pod oczami, a w gębie ni jednego zęba. Aleś jeszcze młody, mówisz, że masz trzydzieści pięć lat...

— Co komu do mego wieku.

— Nie zżymaj się, mnie nic do tego, że ci czterdziestka dawno stuknęła, ja nie panna na wydaniu... Pókiś wolny, to sobie hulaj. Najlepsze piwo, gdy się wyszumi; najlepszy mąż także ten, co się wyszumi... Hulaj sobie, ile chcesz, tylko spraw nie zasypiaj w popiele...

Rządca podrażniony golił się drżącą ręką.

— Ot, i poirytowanyś! — to źle. Jeszcze się zatniesz. No, przestań-że, ja ci za to dobrą powiem nowinę.

— Dajże mi pokój! - fuknął Rożahowski, czerwony z gniewu.

— Dam ci lepszy, niż myślisz. Czy wiész, że Mirejko zdycha?

— Co?!...—zakrzyknął rządca, podskakując na siedzeniu.

— A nie mówiłem, że się zatniesz?

— Jakto, Mirejko zdycha? Żartujesz!

— Wcale nie żartuję. Dziś do dnia Petro przyleciał po cyrulika.

i wywlókłszy go z betów nieubranego, co tchu powiózł do leśniczówki, a Kuźma pojechał do miasta po doktora.

— Cóż tam się stało?

— Dobiérano się do zwierzyńca. Mirejko, chcąc się popisać gorliwością, sam się zasadził na złodzieja. Tymczasem ta jucha sprytna, złodziéj, uciekając i widząc, że nie uciecze — wiész, jakiego tęgiego gniadosza ma Mirejko — siekierą czy nożem tak skaleczył konia, że koń się powalił, przygniótł jeźdzca, połamał mu żebra i nogi. Nim go wydobyto mało ducha nie oddał.

— Nieszczęście!

— Dla ciebie czy dla mnie?

— Dla nich.

— Byle nie dla mnie, to mniejsza o to.

Rządca nie odpowiedział i roztargniony czy zaabsorbowany w milczeniu pośpieszał z ubiorem.

Po pauzie, ekonom odezwał się znowu:

— Teraz moja rada taka: Jedź do Mirejków z „kondolencyą" — to nic nie kosztuje; ofiaruj się ze wszystkiemi możliwemi przysługami, nie długo to pociągnie. Aptekę i doktora weź na rzecz skarbu, i przytém coś da się zarobić.

— Eh! — zżymnął się Rożahowski.

— Kochanie! człowiek rozumny niczém nie gardzi. Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka. Jedź, ubolewaj, płacz, obiecuj złote góry... to do niczego nie obowiązuje, a popłaca. Ach, jaki świat głupi, jaki głupi!...

— Tém lepiej.

— Masz racyę, inaczéj chodzilibyśmy bez butów.

— Nie koniecznie.

— Myślisz, że pracą a sumiennością czegoś dorobić się można?... „Bogdaj tak psy trawę jadły?" Ot, choćby Mirejko. Między nami mówiąc, człek nieposzlakowany, na obwinięcie palca nigdy nic pańskiego nie wziął, pracował zawsze jak wół, no i cóż z tego? Jak umrze, to żona z dziećmi choć na bruk, bo grosza po sobie nie zostawił.

— Hrabina pewno wyznaczy jéj jakieś dożywocie.

— To zasady mojéj nie zmienia: dożywocie, łaska pańska — wątpliwe. Można liczyć na to, co się ma we własnéj kieszeni; jak ta kieszeń pusta... źle.

Rożahowski przekonany znów zamilkł i w zamyśleniu wiązał krawat przed zwierciadłem.

— Cóż teraz poczniesz? — spytał Chełmocki.

— A no, wypada pojechać do nich. Hrabina wzięłaby mi za złe, gdybym, bodaj dla oka ludzkiego, nie okazał im żadnych względów. Muszę wreszcie dowiedzieć się dokładnie o wszystkiém, by zdać raport przed nią i przed opieką...

— Tylko, proszę cię, bez żadnych sentymentów. Ty, z twojém miękkiém sercem, gotówbyś tak pięknie rzecz przedstawić, że hrabina zgodziłaby się dać im dożywocie gdzieś tu pod bokiem naszym. Piękniebyś nas obu wykierował!...

— Coby nam dwie kobiéty i dwoje dzieci zrobić mogło.

— Ooo!.. Gdzie dyabel nie może, tam babę pośle. A one nie głupie. Wiedzą o nas wiele, dowiedziałyby się więcéj.. Przekupić ani ująć ich nie można. Próbowało się tego nieraz i zawsze bez skutku. Na co więc nam takie cnotliwskie pod bokiem?... Zginęła głowa rodziny, zginęła i posada. Myśmy do tego ręki nie przyłożyli. Widać była taka wola boska... Niech sobie idą w świat szukać szczęścia i lepszych, niż my, ludzi. Jak ich znajdą, może z nimi w lepszéj zgodzie, niż z nami, żyć potrafią—ale tu!... nam ich nie trzeba, nie można zostawić za nic!...

— Masz racyę — szepnął Rożahowski — zostawić tu ich nie można.

— A widzisz!... Teraz jedź... przyślę ci zaraz kawę, każę założyć siwki, a Dumbickiéj powiem — od ciebie ma się rozumiéć — żeby parę flasz starego wina włożyła do nejtyczanki dla chorego.. z troskliwości — dorzucił szyderczo.

— Ja mu go nie pożałuję.

— „Na pohybel” takiego wroga można nie pożałować nawet szampana.

Rządca znów zamilkł i perfumował chustkę do nosa „*ess bouquet*'em”.

— Ale, ale — rzekł, wracając się od progu Chełmocki — jeszcze jedna rada. Choćbyś się miał gniéwać na mnie, powiem, że ta elegancya u ciebie nie do rzeczy. To bije w oczy i ściąga podejrzenia... Kiedy się służy, trzeba, żeby było ubogo... Potém sobie pozwolisz, potém...

Rożahowski poczerwieniał i byłby wybuchnął, lecz Chełmocki zmienił nagle front, stał się pokornym, uniżonym i odchylając drzwi, przez które Pawełek mógł wszystko słyszéć, mówił z głębokim ukłonem.

— Moje uszanowanie panu rządcy, moje uszanowanie. Rozkazy jego będą spełnione w téj chwili. Sam się wszystkiém zajmę.

I jak obiecał: za chwilę podano wyborną kawę ze świéżo upie-

czoném, smaczném ciastem; w kilka minut zatoczyła się nejtyczanka, parą ładnych siwków zaprzężona, a pani Dumbicka niosła dwie butelki starego węgrzyna dla chorego... z troskliwości.

Nie pomogła jednak troskliwość pana rządcy. Nie pomogły starania lekarza, ni gorące modły do Boga żony i dzieci.

Po trzydniowéj strasznéj męce, nad rankiem, gdy świat się cały budził do życia, spoczął w Panu na wieki biédny wyrobnik...

Epilog.

Od śmierci Mirejki upłynęło kilkanaście tygodni. Mijało lato, zbliżała się jesień, w tym roku wyjątkowo chłodna i dżdżysta. Na tle szczerniałych borów i łąk zwiędłych dziwnie smutno wyglądała leśniczówka, wewnątrz zaś, ogołocona ze sprzętów, które spieniężono, przedstawiała przejmujący widok ruiny.

Słońce zachodziło jaskrawo za lasy i przeświecało przez bezlistne konary pożarną łuną, wiatr północny, wilgotny i ostry obrywał resztki zżółkłych liści i rozrzucał je po polach.

We dworku grobowa panowała cisza.

Mirejkowa zafrasowana, z głową spartą na dłoni, siedziała przy stole, patrząc zrozpaczonym wzrokiem na papiéry pełne cyfr i spisów. Staruszka Jerzminowa ze splecionemi rękami na kolanach, spoglądała na córkę z miłością i trwogą...

— Cóż my teraz poczniemy?...—szepnęła wreszcie.

Wdowa podniosła oczy, ale nie znalazła odpowiedzi.

— Co pisze pełnomocnik?

— Że hrabina pozwala nam zabawić do jesieni, do sprzątnięcia zbiorów, a nawet do wiosny, jeśli chcemy; że kwartalną pensyę i ordynaryę od śmierci Dominika wypłacić kazała i że naznaczyła nadto 200 rs. gratyfikacyi.

— Ile się zebrało ze sprzedaży całego naszego mienia?

— Trzysta rubli przeszło?

— I to owoc pracy całego życia!...

Mirejkowéj łzy się zakręciły w oczach, ale je otarła energicznie i mówiła daléj:

— Pan Rożahowski pisze jeszcze, że się starał wyrobić nam emeryturę — tu uśmiechnęła się gorzko — ale że opieka na nią się nie zgodziła. Piętnaście lat służby nie dają do niéj prawa.

— Wszak Dominik służył lat 18-cie starszemu bratu hrabiego Ludwika...

— To, mamo, nie idzie w rachubę.

Zamilkły znów obie, ale ich myśli nie mogły wyjść ze strasznego koła, jakiém je zewsząd opasała groźna przyszłość i staruszka szepnęła powtórnie.

— Cóż my poczniemy?

Wdowa odparła:

— Pójdziemy w świat... będę szukać służby.

— Jakiéj?... Z dwojgiem dzieci, ze starą matką niedołężną, gdzie, u kogo znajdziesz służbę?...

Zamilkły znowu, nie chcąc się rozżalać.

Zmrok zapadał coraz większy, bór szumiał jak zawsze, tylko groźniéj pod silnym podmuchem wiatru północnego, wrony z krzykiem zabiérały się do snu. W alkierzu odezwał się płacz małego chłopaka.

— Dobranoc mamie — szepnęła Mirejkowa. — Janek chce spać, trzeba go rozebrać.

Staruszka zostawszy sama, szepnęła znowu:

— Cóż my poczniemy teraz?...

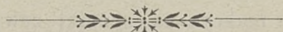
Na wiosnę, gdy pierwsze skowronki zaśpiewały radośnie, wzbijając się w górę — poszły w świat.

N. N.



Rozwój idei

oraz jéj znaczenie wychowawcze.



Mianem idei zwykliśmy nazywać najogólniejsze pojęcia o przedmiotach pierwszorzędnéj wagi w życiu ludzkiém. Mówimy o ideach Boga, dobra, sprawiedliwości, wychowania, solidarności, odrodzenia i t. p., przypisując tym pojęciom znaczenie najszérsze, najogólniejsze i najwznioślejsze, bądź pod względem etycznym, bądź téż umysłowym, np. w stosunku do idei ewolucyi, jedności wiedzy, przyczynowości. Niektórzy, idąc za Herbartem, ściśle odgraniczają idee o charakterze moralnym od pojęć teoretycznych, naukowych i tym drugim nazwy idei nie przyznają. Wundt, chociaż z innego stanowiska (transcendentalizm Kanta), ale téż odrębne ideom przypisuje znaczenie, upatrując w nich wytwory rozumu (*Vernunft*), złożone z doświadczalnych i pozadoświadczalnych pierwiastków, kiedy pojęcia według niego powstają z dziedziny samych faktów za sprawą rozsądku (*Verstand*). Jakkolwiek pojmowano wyraz idea, oznaczamy nim stale syntetyczny pogląd na jakieś zjawiska natury fizycznéj lub duchowéj, uogólnienie szeregu pojęć, ważne w zakresie myśli, lub uczucia. Posługujemy się ideami zarówno w nauce i sztuce, jak w życiu. Odróżniamy pospolicie wielkie idee od małych ze względu na obszar i doniosłość ich dziedziny.

W szkicu niniejszym mówić będziemy o idei wogólności, przytaczając niektóre dla przykładu. Przez rozwój idei pojmować będziemy w danym wypadku rozwój największych uogólnień ze stanowiska jedy-

nie psychologicznego. W toku rozumowań naszych użyjemy nie raz wyrazów synteza, uogólnienie, abstrakcya w znaczeniu idei, gdyż, jak to niżéj zobaczymy, są one wszystkie synonimami i różnią się od prostych pojęć tylko ilościowo, t. j. większą sumą wyobrażeń i skojarzeń myślowych. Mówiąc o wychowawczém znaczeniu idei, kładziemy szczególny nacisk na te z nich, które posiadają największą społeczno-moralną oraz naukowo-filozoficzną doniosłość. Rozumié się wszakże, iż wnioski nasze do najwyższych stosowane idei, odnoszą się tak samo do wszelkich uogólnień i odwrotnie; jeżeli zatém odsłonimy budowę i warunki zastosowalności jakiéjkolwiek idei, to konsekwencye stąd wyprowadzone wyjaśnią nam rozwój, oraz znaczenie wszelkich pojęć ogólnych, od najskromniejszych abstrakcyi począwszy, a kończąc na obejmującéj cały wszechświat syntezie.

I.

Doświadczalne podstawy myślenia.

Pobudliwość organizmu jest reakcyą na czynniki zewnętrzne. -- Wrażliwość jako początek procesów psychicznych. — Wznawianie się wrażeń. — Organizacya czucia jest wynikiem przystosowania organizmu do otoczenia. — Powstawanie wyobrażeń. — Pojęcia zmysłowe różnią się od abstrakcyjnych stopniem uogólnienia.

Wszystkie przedmioty złożone mają to do siebie, że nas tak dalece zdumiewają swoją zawisłością i wielkością, iż zapominamy o ich pochodzeniu, nie raz nie pomyślimy nawet, że kiedyś istniały w formie mniéj złożonéj, bardziej dostępnéj badaniu i że nawet — w braku odpowiednich warunków — mogły wcale nie istniéć. Do takich należą wielkie idee. Możnaby wyliczyć długi szereg dawniejszych uczonych i filozofów, którzy uważali wszelką myśl wielką a zwłaszcza idee moralne za natchnienia, za szczególny dar ducha, za tajemniczą właściwość pewnych umysłów. W odpowiedni téż sposób tłumaczono pojawianie się idei, uciekając się do potęg mistycznych, lub sił wrodzonych. Niezrozumiałe jednak i dowolne teorye te, musiały zejść do archiwów wobec badań nad zjawiskami czucia i myślenia, które z wielką starannością przeprowadzono nad człowiekiem i niższemi zwierzętami, zacząwszy od ich urodzenia.

Studya nad rozwojem czucia wykazały, że pierwiastkową i zasadniczą jego formą jest pobudliwość organizmów na podrażnienia. Im bardziéj organizm jest złożony, czyli im lepiéj narządy jego są przystosowane do rozmaitych warunków otoczenia, tém bardziéj udoskonalona i wyspecyalizowana jest pobudliwość. To znaczy, że kiedy naj-

prostsze ustroje, jak ameba, jednakowo we wszystkich częściach swego ciała wrażliwa jest na pewne bodźce zewnętrzne, to wyższe organizmy zdolność tę posiadają o tyle w większym stopniu, że niektóre organa (np. macki u pierwotniaków) odczuwają już lepiéj, niż reszta ciała. Wyżéj rozwinięte zwierzęta, z organizacyą bardziéj zróżniczkowaną, posiadają już oddzielne narządy, w którychześrodkowuje się wrażliwość na każdy rodzaj podrażnień. Organa zmysłów są właśnie temi częściami ciała, które, odznaczając się większą na pewne podniety wrażliwością, utrwaliły ją przez powtarzanie i rozwinęły w różnorodném ćwiczeniu; same zaś organa zmieniały się odpowiednio do swych czynności. Jeżeli zastanowimy się nad działalnością oka, nad jego tak rozległą a subtelną wrażliwością, jeżeli pomyślimy o tych świetnych obrazach, które do świadomości naszéj za pomocą wzroku dochodzą, to nic dziwnego, że na razie nie posiadamy się ze zdumienia i skłonni jesteśmy zaliczyć wzrok do najcudowniejszych rzeczy na świecie. Fizyologia jednak porównawcza wskazuje cały szereg takich narządów zmysłowych, gdzie widoczném jest stopniowanie zarówno w budowie organu, jak i w jego czynnościach. Badania w tym zakresie dowodzą, że każdy rodzaj czucia daje się sprowadzić do prostéj wrażliwości, ta zaś w ostatecznéj analizie przedstawia się jako pobudliwość (*Irritabilitaet*) czyli zdolność reagowania na czynniki zewnętrzne. Widzimy więc, słyszymy i w ogólności odczuwamy jedynie to, co na zmysły nasze w jakikolwiek sposób oddziaływa; czucie nasze jest tylko odpowiedzią na pobudzenia naszego środowiska. Podniety wewnętrzne, spowodowane np. trawieniem, krążeniem krwi, nie stanowią tu wyjątku, gdyż w stosunku do organów otrzymujących wrażenia są zewnętrznemi. Jeżeli doznajemy przyjemnych lub przykrych uczuć wskutek rozmyślania nad czémś, to i w takim razie pierwotną pobudką był tu świat zewnętrzny, który mógł dawniéj na zmysły nasze podziałać i przez nie dojść do świadomości. Wreszcie nieokreślone stany psychiczne, miewaniem się zwane, a wyrażające ogólną niemoc, apatyę, lub emogię, niesłusznie przypisywane bywają podnietom wewnętrznym, od otoczenia niezależnym. Nawet energia potencyalna (utajona) w centrach nerwowych, uważana przez niektórych badaczy za przyczynę ruchów w organizmie przed otrzymaniem wrażeń z zewnątrz, tak samo za spontaniczną, nieumotywowaną uchodzić nie może, jak nie nazwiemy samodzielną, samorodną czy spontaniczną energii w ziarnie zawartéj, lub w litrze pary wodnéj. Czucie jako władza lub niezależna zdolność, spoczywająca w organizmach, nie istnieje wcale, podobnie jak ciężar nie istnieje samodzielnie w kamieniu. Jeżeliśmy zrozumieli, że ciężar ciała jest wyrazem stosunku ciążenia dwóch mas ku sobie, to

nie trudno pojąć, iż czucie oznacza stosunek podrażnienia do bodźca, wyraża stan organizmu, wywołany podnietą zewnętrzną lub wewnętrzną.

Rozpatrując najprostsze objawy czucia, łatwo przekonać się możemy, iż pobudliwość istniéć może, rozwijać się i wzrastać jedynie ze zmianą bodźców. Prawo to, obszernie przez Spencera w psychologii rozwinięte, zostało następnie uzupełnione przez Webera i w matematyczną formułę u Fechnera ujęte. Tu jednak ograniczymy się na tym najogólniejszym jego wyrazie. Wszelka podnieta działa w ten sposób na organizm (również i na inne ciała), że go wyprowadza z równowagi, ustalonéj poprzednio innemi czynnikami, t. j. wpływami otoczenia. Zachowanie się organizmu wobec podniety polega na przywróceniu zachwianéj zmianą otoczenia równowagi. Ponieważ czuciem nazywamy owo zachowanie się organizmu przy pobudzeniu zewnętrznem lub wewnętrznem, to oczywista, że czucia objawiać się mogą jedynie przy takich bodźcach, które zakłócają równowagę między organizmem a jego środowiskiem. Dlatego téż, jak to wykazali Weber i Fechner, tylko przy pewnéj minimalnéj zmianie podniety wrażenie może być otrzymane, to znaczy, że zbyt małe różnice w otoczeniu nie wywołują reakcyi w organizmie. Prawo to jest wielce pouczającem w psychologii społeczeństw, widzimy np. że powolne zmiany w położeniu klas lub warstw społecznych przechodzą niepostrzeżenie, gdyż nie dają się dość wyraźnie odczuć.

Jeżeli podnieta sprawiająca pewnego rodzaju wrażenie, np. ciepła, barwy, twardości nie powtórzy się, w słabszym lub silniejszym stopniu, to wrażenie przemija nie wznawiając się nigdy; objawia się zaś powtórnie lub wielokrotnie przy powtarzających się pobudzeniach. Odnowa lub odtwarzanie doznanych wrażeń nie wymaga bynajmniéj jakiéjś przechowującéj je zdolności, za jaką zwykle uchodzi pamięć; potrzebną tu jest tylko pobudka, którąby wywołała w organizmie już raz przebytą reakcyę. Ponieważ ta ostatnia była przystosowaniem się organizmu do nowych okoliczności (t. j. do zmienionéj równowagi), przeto każda powtarzająca się podnieta o tyle jest zdolna odtworzyć podobne poprzednie wrażenie, o ile się różni od poprzedniéj podniety, o ile zakłóca przywróconą pierwéj równowagę. Odnowa zatém wrażeń jest wznawianiem się oddziaływań organizmu dla zrównoważenia stosunku czynności jego do działań otoczenia. Istotnie, jeżeli jakaś podnieta działa bezustannie, to odpowiadające jéj wrażenie słabnie i w końcu znika zupełnie, gdyż czynności organizmu przystosowały się do niéj; jeżeli zaś działanie podniety ustaje, a po niejakim czasie wraca, to i odpowiednie wrażenie powrócić musi, ponieważ organizm w przerwie

między pierwszém a drugiém działaniem bodźca ulegał innym wpływom, które zmieniły stan poprzedniéj równowagi.

W ustrojach rozwiniętych do tego stopnia, że podnieta może w nich wywołać jednocześnie dwa lub kilka wrażeń, np. wzrokowe i zaspokojenia głodu, reprodukcya wrażeń staje się już bardziéj złożoną, jakkolwiek na téj saméj spoczywa zasadzie. Zwierzę, lub kilkomiesięczne dziecko, przyjmując pokarm, odbiera jednocześnie kilka wrażeń; jeżeli się one przy odżywianiu stale powtarzają, to widok pokarmu wywołuje skojarzone z nim uprzednio wrażenie zaspokojenia głodu. Dlatego też przedmioty podobne w czémkolwiek do pokarmu budzą apetyt. Dlatego również spotykamy u zwierząt liczne przykłady zawiedzionego instynktu: mucha składa swe jaja w cuchnącym grzybie sromotniku z tego jedynie powodu, że ten zapachem swym przypomina zgniłe mięso. Jedno więc wrażenie może wywołać kilka oraz cały szereg związanych z niemi czuć, popędów i działań, jeżeli one uprzednio w tém samém występowały skojarzeniu.

Odbieranie kilku wrażeń jednocześnie zależy od przystosowania narządów do rozmaitych podniet czyli od organizacyi czucia. Narządy zaś rozwinąć się mogły tylko skutkiem różnicowania się czynności organizmu, dzięki rozmaitym przystosowaniom do warunków otoczenia. Ale jak podzielone czynności organizmu nie są jedne od drugich niezależne, lecz najściśléj w jedną zespolone organizacyę, która opiéra się stale wpływom otoczenia, wytrącającym ją z równowagi, tak samo rozmaite wrażenia są właściwie tylko rozmaitemi funkcyami czucia, które przy największém rozczłonkowaniu i wyspecyalizowaniu, pozostaje zawsze spójną całością, t. j. zorganizowaną reakcyą na czynniki zewnętrzne. Wynika stąd znane prawo psychofizyczne, że wrażenia oraz wszelkie czucia w organizmie (zdrowym) są współzależne; współzależność ta objawia się w fakcie dostatecznie przez psychologów stwierdzonym, że jedno wrażenie budzi cały szereg skojarzonych z nim wrażeń. Reprodukcya więc wrażeń zarówno prostych, jak i najbardziéj złożonych zasadza się na organizacyi czucia, t. j. na wzajemném oddziaływaniu organizmu i otoczenia. To znaczy, że wrażliwość na czynniki zewnętrzne nie przestaje być reakcyą w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu i w takim wypadku, kiedy np. pewien dźwięk budzi liczne wzrokowe i inne skojarzone z niemi czucia, wzruszenia, popędy. Odtwarzanie przeto wrażeń stanowi proces osnuty z jednéj strony na współzależności czuć, wynikającéj z organizacyi czyli z przystosowań do rozmaitych bodźców, z drugiéj zaś — na pobudliwości organizmu wobec działań otoczenia. Proces ten nazywamy pospolicie pamięcią, uważając ją najniesłuszniéj za szczególną władzę, która w nas

żyje samodzielnie, aby wprowadzać na pole świadomości doznane niegdyś wrażenia, uczucia, idee. Pogląd to wszakże, jak widzimy, całkiem antropomorficzny, pozbawiony wszelkiéj rzetelnéj podstawy, a w rozbiorze psychologicznym wprost szkodliwy.

Analizując genezę i rozwój czucia przychodzimy do wniosku, że stanowi ono reakcyę wobec działań otoczenia, że organizm, przystosowując się do rozmaitych bodźców, różniczkuje swoją wrażliwość i że ta ostatnia przy największém rozczłonkowaniu i wyspecyalizowaniu, zachowuje w objawach swych stałą współzależność, nakoniec, że współzależność czuć, a względnie wrażeń powoduje ich reprodukcyę przy pobudzeniu chociażby tylko jednego skojarzonego z niemi wrażenia. Stąd prosty wynik, że nie pamięć wskrzesza doznane niegdyś wrażenia, lecz że one same współreagują przy odpowiednich podnietach na mocy jedynie swéj współzależności. Psychofizyologia dzisiejsza w taki mniéj więcéj sposób przedstawia ten proces. Pobudzeniem zewnętrznêm (np. widokiem drzewa) wywołuje się podrażnienie tkanki mózgowéj, które objawia nam się jako wrażenie. Zaraz po ustąpieniu bodźca może zniknąć wrażenie, lecz podrażnienie zostaje jako ślad przebytego procesu fizyologicznego; ale pozostałości téj nie odpowiada w umyśle nic psychicznego, nie przechowuje się żaden duchowy obraz otrzymanego wrażenia. Dopiéro nowe podobne wrażenie pobudzić może uprzednie podrażnienie do wyraźnego wystąpienia w formie odnowionego wrażenia, które wspomnieniem zowiemy, a które bywa mniéj lub więcéj złożonym obrazem myślowym. To znaczy, że to, co „przechowujemy w pamięci,” co uważamy za swój dobytek duchowy, nie jest właściwie ani wyobrażeniem, ani myślą, ani ideą na dnie duszy ukrytą, jeno przystosowaniem fizyologicznêm mózgu do pewnéj podniety, nie rychło ustępującém podrażnieniem, albo predyspozycyą do wznawiania wrażeń i wyobrażeń przy sprzyjających okolicznościach. Że taka predyspozycya czyli przystosowanie się do pewnych podniet może z czasem ustąpić, wiemy o tém z patologii, uszkodzenie bowiem pewnych części mózgu znieczula wrażliwość na odnośne pobudzenia; z drugiéj zaś strony wrażenia nie pobudzane nie wznawiają się nigdy, mówimy wtedy o nich, że są zapomniane.

Jeżeli organizacya czucia o tyle jest rozwinięta, że odtwarzanie wrażeń możebném się staje, to już u niższych zwierząt przypuścić należy pojawienie się w y o b r a ż e ń, jakkolwiek słabszych, mniéj wyraźnych i mniéj złożonych niż u człowieka. Ryby np., przypływające do brzegu na odgłos dzwonka, czynią to skutkiem wywołania za pośrednictwem wrażenia głosowego skojarzonych z niém wrażeń przy spożywaniu pokarmu; obudzone tu wrażenia, wskrzeszone niejako „w pa-

mięci", stanowią wyobrażenie w najprostszéj swéj postaci, które tém się różni od takichże wyobrażeń u zwierząt ssących i u człowieka, że daleko mniéj innych wrażeń z niém się kojarzy, że więc jest mniéj wyraźne, mniéj jasne i krócéj trwające. Nie przyjęto, co prawda, odtworzonych u ryby wrażeń wyobrażeniem nazywać, lecz to jest raczéj kwestyą zwyczaju, lub formalnéj klasyfikacyi, niż logiki, zwykliśmy bowiem stosować to miano wyłącznie do wytworów myśli, które można niby „dowolnie" porównywać i kojarzyć z innemi wyobrażeniami, wydzielać je z pośród innych i nad niemi rozmyślać. Lecz takie wysoko rozwinięte wyobrażenia dlatego tyle jasności, plastyki i ruchliwości posiadają, że się mogą wyodrębniać stopniowo z licznych szeregów innych pokrewnych wyobrażeń i że w całym tym procesie wielką pomocą jest mowa, która każdemu wyobrażeniu właściwą nadaje nazwę i stosowne w umysłowości stanowisko wyznacza. Rzeczywiście, wystarcza zastanowić się nad mechanizmem odnowy wrażeń, aby się przekonać, że odtworzone (przypomniane) wrażenia przy pobudzeniu jednego z niemi skojarzonego ukazują się jako wyraz stosunku danego podrażnienia do poprzedniego, stanowią zatém r o z r ó ż n i a n i e i p o r ó w n a n i e w najprostszéj, najbardziéj elementarnéj formie, dla któréj mowa nie stworzyła odpowiedniéj nazwy.

Ogólnie przyjęto nazywać wyobrażeniem takie wrażenie wznowione, którego jesteśmy świadomi, ale ponieważ stany psychiczne, nieświadomemi zwane, nie są bynajmniéj przeciwieństwem świadomości, gdyż podobnie jak i ona składają się z tych samych pierwiastków i takim samym podlegają zmianom, zatém wyobrażenia świadome uważać należy jedynie za wyższy rozwój wyobrażeń przedświadomych, zwłaszcza że samo pojęcie świadomości w wysokim stopniu jest względne. Istotnie, jeżeli psychologia nowoczesna nie może znaleźć granicy między nieświadomością a świadomością, jeżeli między obu temi stanami znajduje mnóstwo ogniw pośrednich i nakoniec wykazuje w procesach świadomych te same prawa powstawania, wznawiania się i kojarzenia wrażeń, które widzi w najelementarniejszych zjawiskach czucia, to dziwnie i nader niekonsekwentnie byłoby poczytywać wyobrażenia świadome za coś odrębnego od przedświadomych. Nic więc innego nie pozostaje, jak uznać wszelkie odtworzone wrażenie za wyobrażenie, nie przypisując mu koniecznie pewnego stopnia świadomości.

Zbliżyliśmy się obecnie do głównéj myśli naszego zadania, mianowicie, że procesy umysłowe początek swój biorą w stosunku organizmu do świata zewnętrznego, rozwijają się bowiem z czucia, a ponieważ jego rozwój polega na zróżnicowaniu i przystosowaniu pobudliwości organicznéj, zatém wszelka myśl na gruncie doświadczalnym powstaje

i doświadczalną kształci się drogą. Niewątpliwie, skoro w powstawaniu wyobrażeń zasadniczemi czynnościami są imanie wrażeń oraz ich odtwarzanie, to już z wyżéj opisanéj natury procesów tych wynika, że wyobrażenie jest mniéj lub więcéj złożonym, mniéj lub więcéj pośrednim wyrazem stosunku otoczenia do organizmu. Pierwotnym i najprostszym stosunku tego wyrazem jest czucie w elementarnéj swéj postaci, t. j. pobudliwość. Rozwija się ona do stopnia, albo jeżeli kto woli — do formy wyobrażeń dzięki jedynie swemu rozczłonkowaniu i przystosowaniu do rozmaitych podniet; w przystosowaniu zaś leży przyczyna, iż za pobudzeniem wrażliwości w jednym kierunku wznawiają się wszystkie występujące dawniéj razem wrażenia.

Wydaje się zupełnie oczywistém, że pochodzenie i rozwój wyobrażeń złożonych, jakie spotykamy w całkowitym rozkwicie świadomości, sprowadza się w ostatecznéj analizie do tych samych pierwiastków poznania, t. j. do wrażliwości i reprodukcyi wrażeń. Wszyscy bowiem zgadzają się na to, że wyobrażenie złożone tylko ilością swych składników od prostego się różni. Chyba nikt nie zaprzeczy, że wyobrażenie rośliny zupełnie taką samą powstało drogą, jak mniéj złożone wyobrażenia drzewa, że to nie inaczéj się utworzyło, jak wyobrażenia brzozy, brzozy płaczącéj i t. d. Podręczniki psychologii zapewniają nas zwykle, że przy powstawaniu wyobrażeń niezbędnemi są porównania i klasyfikacya oraz że czynności te towarzyszą całemu życiu umysłowemu. Nie można się spierać o tę dowiedzioną już i powszechnie uznaną prawdę, lecz zauważyć należy, iż w porównywaniu i klasyfikacyi upatrują się pospolicie szczególne jakieś zdolności, istotom myślącym właściwe. Jest-to błąd, który najniepotrzebniéj wprowadza różnorodność i powikłanie tam, gdzie jest jednorodność i prostota. Porównywanie bynajmniéj szczególnéj zdolności nie stanowi, a tém bardziéj nie jest wyłączną właściwością myśli, gdyż najelementarniejsze czucie najniższych ustrojów możebném się staje dlatego jedynie, że organizm odczuwa różnicę między poprzedniém a następném działaniem podniety. Pobudliwość w złożonéj lub w najprostszéj swéj formie występuje jako skutek zmienionéj równowagi między organizmem a otoczeniem. Nie możemy zrozumieć żadnego zjawiska fizycznego, lub chemicznego bez zmian czyli różnic, zachodzących w warunkach jego przebiegu. Widzimy tak samo, że zjawiska biologiczne są skutkiem różnicy między działaniem wewnątrz organizmu a w jego otoczeniu. Działanie zatém pod wpływem różnic albo zrównoważanie się dwóch niejednakowych działań, do czego wszelkie porównania i rozróżniania sprowadzić się dają, jest zasadniczym i elementarnym warunkiem życia oraz wszelkiego ruchu. To, co w psychologii ujmowaniem

różnic i klasyfikacyą zowiemy, stanowi tylko bardziéj złożony proces w powszechném równoważeniu się sił. Klasyfikacya wrażeń jest prostém następstwem podziału czynności (zróżniczkowania) oraz poszczególnych przystosowań, utrwalonych przez powtarzanie czyli uorganizowanych. Zauważyć należy, iż to nie my porównywamy i szeregujemy wrażenia, wyobrażenia, myśli nasze, nie czyni tego ani nasze j a, ani wola, ani szczególniejsza jakaś zdolność; one się porównywają same i klasyfikują dzięki swéj współzależności i grupują w szeregi, typy, rodzaje wrażeń i myśli zawdzięczając organizacyi czucia, która podobnie jest skutkiem zróżnicowanych przystosowań, jak organizacya trawienia, oddychania i t. d. Do takiego stopnia przyzwyczajeni jesteśmy rozumować za pomocą wyrazów, że w końcu wierzyć zaczynamy, iż wytłumaczyliśmy wszystko, nadając pewnemu przedmiotowi nazwę, zaliczając zjawisko do takiéj lub innéj kategoryi. Percepcya, pamięć, porównywanie, klasyfikacya są to właśnie wyrazy, któremi oznaczamy znamienne cechy procesu myślowego, pewne jego fazy, nie zaś odrębne czynności domniemanych władz duchowych. Analiza bowiem psychologiczna odsłania już w genezie wyobrażeń i czuć te same znamiona, które uważamy za charakterystyczne dla myśli, idei.

Że wyobrażenia stanowią główną treść myśli i — wyrażając się obrazowo—materyał wszelkich procesów psychicznych, zacząwszy od jakiegoś elementarnego wyobrażenia pewnéj barwy, pewnego pokarmu, a kończąc na zawiłych ideach dobra, postępu i t. p., o tém rozwodzić się tu nie mamy potrzeby. Zastanowimy się obecnie nad różnicą między prostém wyobrażeniem zmysłowém a złożoną ideą, któréj zwykliśmy abstrakcyjny przypisywać charakter. Zwykle nam się wydaje, że takie pojęcia, jak stół, dom, drzewo są zmysłowemi obrazami przedmiotów; przypisujemy im pewną realność w przeciwstawieniu do pojęć oderwanych, którym nie przyznajemy pochodzenia zmysłowego. Przyjrzyjmy się jednak bliżéj powstawaniu jednych i drugich. Pojęcie np. domu pochodzi z zestawienia wielu poszczególnych wyobrażeń, któreśmy utworzyli, oglądając rozmaite domy. Nasze pojęcie nie zawiera wszystkich znamion znanych nam domów, lecz tylko niektóre z nich, a i te nawet nie stanowią obrazu rzeczywistych własności tego lub owego domu; tak np. jedną z części składowych wyobrażenia tego jest dach, lecz i to pojęcie nie jest bynajmniéj zmysłowém ujęciem pewnego jakiegoś dachu; zawiera ono jedynie cechy wszystkim znanym dachom wspólne, a pomija właściwości przygodne, indywidualne. Analizując w taki sposób dane pojęcie, przekonywamy się w końcu, że nie zawiera ono ani jednego szczegółu, któryby stanowił duchową kopię

rzeczywistości. Myśląc o mieszkaniu ludzkiém, mogę je sobie wyobrażać nie tylko z dachem i oknami, lecz i bez nich, nie tylko na powierzchni ziemi, lecz i pod jéj poziomem, słowem, wyobrażenie to jest tak ogólne i rozciągliwe, że uważać je można za formułę wyrażającą jednocześnie wszelkie domostwa, jakie gdziekolwiek istniały, a nawet jakie istniéć będą. Wyobrażenia więc takie w żaden sposób do konkretnych zaliczone być nie mogą. Zgadzają się z tém niektórzy psychologowie, uważając pojęcia ogólne, jak dom, brzoza, roślina za abstrakcyjne, ale ten dom, ta brzoza są według nich pojęciami zmysłowemi. Zdawałoby się, że mają słuszność, lecz to tylko pozornie. Dajmy nato, żeśmy widzieli tylko jedną brzozę. Czyż poszczególne części wyobrażenia téj brzozy odpowiadają prawdziwym jéj własnościom? Czy kształt i barwa drzewa tego nie jest w wyobraźni naszéj skutkiem zestawienia znamion brzozy z cechami drzew innych? Czyż nie wyobrażamy sobie tylko takich cech, któreśmy mogli z zestawienia tego wyróżnić? Każda najdrobniejsza własność postrzeganego przedmiotu dochodzi do świadomości naszéj jedynie przez porównanie z dawniéj otrzymanemi podobnemi wrażeniami. Poprzednie zaś wrażenie działa zawsze na świeżo powstające tak, że je mniéj lub więcéj zmienia, przystosowując je do wyrobionego już tła psychicznego. Teorya apercepcyi doskonale proces ten wyjaśnia i zarazem dowodzi, że nawet najbardziéj konkretne pojęcia nie są pozbawione abstrakcyi.

Jeżeli ułożymy szereg pojęć, zacząwszy od najbardziéj konkretnego a kończąc na jaknajogólniejszém, to dostrzeżemy z łatwością, że ich abstrakcyjność wzrasta ze zwiększaniem się składowych części pojęcia; z drugiéj zaś strony rozbiór wykaże, iż najogólniejsze wyobrażenia tak samo ze zmysłowych pochodzą pierwiastków, jak i najmniéj ogólne, czyli że abstrakcyjne pojęcia różnią się od konkretnych nie brakiem realizmu, lecz wyższym stopniem uogólnienia. Obrazowo dałaby się ta różnica tak przedstawić:

Oznaczmy ujmowane zmysłami przedmioty wielkiemi literami alfabetu łacińskiego, a dostrzegane własności tych przedmiotów odpowiedniemi małemi literami. Z zestawienia dwóch wyobrażeń a i b (którym odpowiadają przedmioty A i B) otrzymujemy nowe wyobrażenie, którego składnikami (na zasadzie praw apercepcyi) nie będą $a\ b$, lecz wyobrażenia zmienione, więc $\alpha\beta$. Porównywując to ostatnie z wyobrażeniem d, otrzymamy $\alpha_1 \beta_1 \delta$ ($\alpha\beta$ ulegają zmianie skutkiem nowego skojarzenia), następnie z e utworzy się wyobrażenie $\alpha_2 \beta_2 \delta_1 \varepsilon$ i t. d. Im więcéj robimy zestawień, tém ogólniejszy charakter przybiéra nasze wyobrażenie, a każdy z jego składników tém większéj ulega zmianie, tak, że $\alpha\beta\delta$ po jakich dziesięciu zestawieniach z innemi pokrewnemi

przedmiotami wcale już nie wyrażają tych własności, któreśmy dostrzegli pierwotnie w przedmiotach *A B D*. Jednak wyobrażenia złożone, a więc bardziéj oderwane, zachowują stale pewną zgodność z pierwotnemi wyobrażeniami *a*, *b*, *d*, jeżeli tylko myślenie odbywało się prawidłowo. Dlatego też złożone jakieś pojęcie $\alpha_9 \beta_9 \delta_8 \varepsilon_7 \zeta_6$..... nie traci swego pierwiastku zmysłowego, pomimo że każdy ze składników wielokrotnym ulegał zmianom oraz uogólnieniom. Tak przy dokładném postrzeganiu i prawidłowém porównywaniu najogólniejsza idea posiada pewne podstawy realne, mniéj lub więcéj rzeczywistości odpowiadające; ale z drugiéj strony zauważyć należy, iż każde, chociażby najprostsze pojęcie nie jest wcale o b r a z e m zmysłowym, lecz również abstrakcyą, gdyż uogólnia przynajmniéj dwa wyobrażenia

Pojęcia więc ze stanowiska psychologicznego nie dają się podzielić na konkretne i abstrakcyjne, na zmysłowe i umysłowe, wszystkie bowiem one zawierają tak jedne, jak i drugie pierwiastki. Można tylko mówić o niższym lub wyższym stopniu uogólnienia danego pojęcia, co znowuż stanowi o mniejszéj lub większéj realności jego, czyli zgodności z odczuwaną (bo nie istotną) prawdą, jeżeli naturalnie sam proces tworzenia się pojęcia prawidłowo się odbywał.

II.

Realizm idei oraz jéj ziszczalność.

Przejście od rzeczywistości do idealizmu. — Różnice między myśleniem naukowém a nienaukowém.—Na czém polega zastosowanie idei.—Prawa naukowe i uogólnienia nieumiejętne.—Zgodność pierwszych z rzeczywistością i niezgodność drugich.—Rozwój złożonych idei jest analogiczny z rozwojem najprostszych wyobrażeń. — Wszelkie abstrakcye są zmysłowego pochodzenia.

Przyjrzyjmy się bliżéj faktycznemu upodstawowaniu, czyli realności idei, a przekonamy się, jaką rolę odegrywa rzeczywistość (dostrzeżona) w idealizmie, oraz jak dalece ziszczalność idei od jéj budowy zależy.

Realność myśli, prawa naukowego, wiedzy, nie na tém polega, że myśl jest jakoby odzwierciedleniem rzeczywistości, lecz na tém, że wniosek ze szczegółów wysnuty lub uogólnienie na prawdę szczegółom tym odpowiada. Często przypisuje się ideom naukowym zbyt wiele realizmu, uważa się prawa jakby za rzeczywiste byty (niektórzy wierzą, że prawa natury literalnie rządzą zjawiskami, że istnieją niezależnie od nich); metodzie doświadczalnéj wyznacza się nader skromne miejsce, przeważnie w zakresie umiejętności technicznych, odsądzając ją

z góry od idealizmu. Jest to powtarzanie w rozmaitych tylko odmianach błędu Hume'a, który sądził, jakoby nauka była kopią rzeczywistości, i że ze sfery postrzegania i doświadczenia (empiryzmu) nie można się wznieść po za granice realności do metempiryi. Obserwacya i doświadczenie dostarczają nam wrażeń, które w procesie umysłowym stanowią jakby osnowę ideowéj, bo oderwanéj od rzeczywistości przędzy wyobrażeń. Jeżeli różnica wrażeń może być odczuwana, wówczas utrwala się ona w umyśle i objawia w postaci wyobrażenia, dając tym sposobem początek świadomości. Już pierwsze operacye tych wrażeń, pierwsze ich zestawienie do wniosku prowadzące, odrywa myśl naszą od postrzeganych stosunków realnych i przenosi ją w dziedzinę uogólnień, abstrakcyi, idealizmu. Tylko początek działalności psychicznéj—imanie wrażeń (percepcya) posiada najwięcéj charakteru zmysłowego, który blednie ze wzrostem wyobrażeń, w miarę zwiększania się samodzielnych, t. j. bezpośrednio od doświadczenia niezależnych skojarzeń, zrywających coraz bardziéj z realnym swym podkładem, a sięgających w coraz wyższe sfery abstrakcyi.

Zauważmy tu, że pod względem psychologicznym rozwój myśli naukowéj a nienaukowéj niczém zasadniczo się nie różni, tak samo jak uogólnienia pomniejsze nic różnią się w powstawaniu i budowie od szerokich idei moralnych, społecznych lub jakich innych. Znaczna część uogólnień—to są drogą indukcyi wyprowadzone wnioski, że skoro w szeregu obserwowanych przyczyn pewne następują skutki, to i w przyszłości ukazanie się takich samych przyczyn te same wywołać musi następstwa. Jeżeli ugólnieniem takiém będzie np. twierdzenie, że ciało niepodparte spada na ziemię w kierunku pionowym, to pierwsza jego część—odnosząca się do przeszłości—jest najzupełniéj przedmiotowa i o tyle realna, że się opiéra na powtarzaniu się grupy wydarzeń i na wykryciu zawsze jednakowych następstw. Zauważona jednostajność zjawisk pozwala przypuszczać, że się one i w przyszłości przy tych samych warunkach powtarzać będą. Druga więc część idei téj—odnosząca się do przyszłości — posiada charakter idealny, abstrakcyjny, jest domysłem, przepowiednią. Przepowiednia ta jednak tém się od innych, nieumiejętnych, różni, że się po pierwsze z doświadczenia wysnuwa, a po drugie, że się sprawdzić daje. Jeżeli pierwszy lepszy wypadek przyszłości pokaże, że dopatrzona przez nas przyczyna istotnie sprowadza oczekiwany skutek, to znaczy, że domysł nasz, nasza abstrakcya, uogólnienie, idea jest prawdą. Takie, sprawdzone doświadczeniem uogólnienia, nazwano prawami naukowemi, które są idealnym, nie zaś rzeczywistym wyrazem porządku zjawisk.

Ale między myśleniem naukowém a nienaukowém nie ma tak wielkiéj różnicy, jak się to na pierwszy rzut oka wydaje. Tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku dla utworzenia pojęcia o przedmiocie musimy naprzód odnaléść znamienne jego cechy, wyróżnić go z pośród jednych, a upodobnić do innych przedmiotów i na zasadzie tych zestawień wyprowadzić ogólny wniosek o stosunku danego przedmiotu do nas, do otoczenia, lub do jakiéj grupy zjawisk. Czy przedmiotem naszego poznania jest ciało, czy zjawisko, świat zewnętrzny, czy duchowy, to w procesie myślenia nie stanowi różnicy. Ważném jest to, że dla utworzenia pojęcia o czémś, trzeba dany przedmiot zbadać w szczegółach (przez obserwacyę i doświadczenie), pomiędzy niemi wyróżnić podobne od niepodobnych i rezultat zestawień ująć w jedno ogólne pojęcie. Wszelka myśl tylko taką rozwija się drogą, a umysł niewyćwiczony nauką tém się różni od wykształconego, że zbyt niedbale i powierzchownie obserwuje szczegóły, tak samo porównywa, więc i zbyt pośpiesznie wysnuwa z nich wnioski, które często mogą przeczyć faktom, co wszakże pospolitéj myśli niepokoju bynajmniéj nie sprawia i do naprawiania błędów nie skłania.

Panuje dość upowszechnione mniemanie, że idea, stawiająca przed nami jakiś doskonały wzór do naśladowania, lub wskazująca jakieś najponętniejsze a świetne cele, nie może być nigdy urzeczywistniona. Ideał poczytuje się zwykle za niedościgniony. Jest tu pewna niedokładność, sprawiająca znaczne nieporozumienia. W powyższém mniemaniu zawiera się jednocześnie i prawda i błąd. Prawdziwém jest ono o tyle, o ile ideał nie jest kopią rzeczywistości, lecz abstrakcyą, wytworem uogólnień. Ponieważ ideał jest typem w wyobraźni naszéj utworzonym, jest zjednoczeniem harmonijném znamion np. dobra i piękna, których nigdzie ani w tak czystéj postaci, ani w zespoleniu takiém nie spotykamy, to oczywista, że ideal nigdy się nie da całkowicie urzeczywistnić. I to się odnosi nietylko do wielkich ideałów moralnych, ale do wszelkich wogóle konstrukcyi abstrakcyjnych. Nie zrobimy nigdy koła, którego części byłyby w stosunku ściśle odpowiadającym stosunkowi geometrycznemu. Żaden parowóz nie będzie się poruszał dokładnie z tą szybkością, jaką wykazują teoretycznie prężność pary i przeszkody, które ma do zwalczenia. Trudnościom w urzeczywistnieniu ideału nie pozwala sprostać nie tyle umiejętność i zręczność ludzka, ile sama budowa ideału. Na przykład najlepiéj urządzona machina nie może tak działać, jakby tego wymagały prawa prężności pary, prawa dźwigni, tarcia i t. d., gdyż wszelkie prawo naukowe jest abstrakcyą, na konkretach wprawdzie opartą, lecz formulującą tylko fakty ogólne z pominięciem zakłócających szczegółów. Prawo

nie orzeka, iż przebieg zjawiska jest takim a takim, lecz wyraża ogólny plan biegu zjawisk, wykazuje, że one przy pewnych warunkach odbyć się muszą, jeżeli temu nic nie przeszkodzi. Prawo zatém stawia przyczynę zjawiska w warunkach idealnych, bo odrywa ją od niezliczonych działań ubocznych, które w rzeczywistości zawsze swój wpływ na przebieg zjawiska wywierają. Dlatego téż teorya naukowa nie jest kopią rzeczywistości, lecz typowym wyrazem tego, co w przyrodzie jest szczególném, indywidualném, nietypowém. Pomimo to jednak, nikt nie powié, że teorye i prawa naukowe są bezowocne, niezastosowalne. Cała technika i przemysł najwymowniejszym są dowodem prawdziwości praw naukowych, jakkolwiek żaden jeszcze ideał nauki w całości wcielonym w życiu nie został. W tém właśnie znaczeniu pojmujemy nieziszczalność abstrakcyi, idei, ideału. Ale ta okoliczność bynajmniéj nie zasmuca, ani nie zniechęca ludzi czynu, gdyż potrzeby życia mogą być najzupełniéj zaspokojone (czasowo), jeżeli idea zastosuje się w przybliżeniu. Niemasz takiéj idei na prawach naukowych, a więc na przedmiotowém badaniu opartéj, którąby się z mniejszą lub większą dokładnością zastosować nie dała, a wszystkie chybione próby wcielenia teoryi dowodzą tylko, że była ona wadliwie zbudowana, nie zaś, że tak wysoko w idealną sięgała sferę, iż o jéj urzeczywistnieniu jeno marzyć można.

Celem wiedzy jest zastosowanie przeszłego doświadczenia do nowych okoliczności, a możebne jest to jedynie na podstawie takich uogólnień, które mają największe widoki zastosowania. Ponieważ takiemi są prawa naukowe, w nich więc spoczywa największa potęga, która idei na prawach osnutéj, najdalszy zapewnia polot i największe dla życia znaczenie. Nie chcemy przez to powiedzieć, aby najwyższa i najpłodniejsza idea siedlisko swe już w dzisiejszych systematach nauki obrała; niestety, wiedza dotychczas zbyt małą jeszcze przeszła drogę w dziedzinie społecznego, więc i moralnego życia, aby jego zjawiska mogła w trwałe ująć prawa i z nich niezłomne dla ludzkości wysnuwać idee. Lecz rozwój myśli w kierunku poszukiwania praw dokonany, najlepszą daje rękojmię, że nie gdzieindziéj, tylko na gruncie naukowym za ideami z dziedziny wiedzy ścisłéj, które tak świetną stworzyły kulturę, wykwitać będą coraz liczniéj idee, obejmujące całe życie z jego potrzebami fizycznemi i duchowemi. Że istotnie tak będzie, że wszystkie wielkie idee oraz ideały ludzkości na naukowych podstawach rozwijać się będą, o tém świadczy po pierwsze psychologia myśli, a po drugie historya tworzenia się idei, które naszemu przyświecają wiekowi.

Zobaczmy teraz, jak się tworzą uogólnienia przy niedokładnéj obserwacyi i zbyt pośpieszném wnioskowaniu.

Weźmy przykład prostego wniosku, wynikającego z zestawienia wrażeń w takiéj głowie, którą pospolicie o idealne nie posądza się aspiracye. Znamy psa w Warszawie, który zwykł ze swym właścicielem wchodzić do każdego domu, tylko wstęp do kościoła był mu wzbroniony; więc kiedy pan przestępuje progi świątyni, pies czeka nań przede drzwiami. Zdarzało się nieraz, że gdy wchodzono z nim do jakiéjkolwiek wspaniałéj kamienicy z okazałém wejściem i filarami przy schodach, pies zostawał zawsze na ulicy, oczekując na swego gospodarza, jak to zwykł przed kościołem czynić. Takie postępowanie psa wynikło z ogólnego wniosku, który tenże wyprowadził z podobieństwa zewnętrznego wyglądu kościoła i wspaniałych kamienic. Mniejsza o to, czy wniosek ten był świadomy, czy nie; prawdopodobnie sięgał on początków świadomości. Ciekawém jest to, że kiedy pies nigdy do żadnego kościoła wejść nie śmiał, to musiał w umyśle swoim zestawić znamienne dlań cechy kościołów i utworzyć jedno ogólne o nich pojęcie, z któremi kojarzyło się wrażenie zakazu wstępowania do świątyni. Znalazłszy następnie podobieństwo w pięknych kamienicach do kościoła, podciągnął i to wrażenie do poprzedniego; tym sposobem utworzyło się jeszcze ogólniejsze pojęcie o domach, do których — zdaniem zwierzęcia — wchodzić mu nie wolno. Że ogólne pojęcie psa o murach kościelnych nie było kopią rzeczywistości, lecz tylko z bardzo nielicznych wrażeń utworzoną abstrakcyą [1]) (mniejsza

[1]) Locke uważał za rzecz pewną, że zwierzęta nie posiadają zdolności abstrahowania i że właśnie idee ogólne wyróżniają człowieka od zwierzęcia, które ich całkiem jest pozbawione. Zdanie to popiérał tém, że zwierzęta nie posługują się ani mową, ani ogólnemi symbolami. Otóż Höffding w psychologii swéj dowodzi, że mowa artykułowana ułatwia powstawaniu abstrakcyi, niezbędna jednak nie jest. Znane są liczne przykłady tworzenia się abstrakcyi u dzieci, nie umiejących jeszcze mówić. Obserwacye Darwina, Espinasa, Hazeau'a, Romanes'a i wielu innych dowiodły, że inteligencya niektórych zwierząt znacznie przewyższa poziom umysłowy plemion bardziéj od cywilizacyi oddalonych, wreszcie wyższa jest od inteligencyi zwyrodniałych europejczyków i małych dzieci. Romanes w znaném swém dziele „Evolution mentale chez les animaux“ podaje liczne przykłady zastosowania instynktu zwierzęcia do nowych okoliczności, rozszerzania się pojęć od szczegółów do ogółu oraz takich zastosowań doświadczenia niektórych zwierząt w praktyce, że się w uderzający sposób przypomina dedukcyę inteligentnego człowieka. Forel mówi, że „mrówki nie mają niezmiennego wzoru swych budowli, umieją one zastosować pracę swoją do okoliczności i korzystać z każdego położenia.“ Przed kilku laty drukował „Wszechświat“ ciekawe spostrzeżenia nad inteligencyą małp: dowodzą one, że małpy umieją wyprowadzać pojęcia ogólne i dochodzić nawet do takich abstrakcyi, jak przewidywanie skutków na podstawie nigdy nie widzianéj, lecz domniemanéj przyczyny (przykład karmienia ogrzewaném mlékiem).

o stopień świadomości), to dowodzi łatwości, z jaką wyobrażenie to rozszerzył na wszystkie domy z filarami i okazalszym wyglądem. Ostatecznie więc pojęcie domu o wzbronioném wejściu stało się najzupełniéj od rzeczywistośct oderwaném, przekroczyło bowiem dziedzinę doświadczenia i było abstrakcyą lub zaczątkiem idei. Błędną jest ona dlatego, że uogólnienie zbyt jest rozległe, a fakty, na których się wspiera, zbyt niedostateczne i nader powierzchownie obserwowane.

Wnioski oraz uogólnienia małych dzieci bardzo są podobne do przytoczonego przykładu. Kilkomiesięczne dziecko przekonawszy się, że niektóre przedmioty posuwają się pod naciskiem jego ręki, rozszerza ideę téj władzy na wszystkie przedmioty i próbuje posuwać stoły, szafy, ściany. Nie znając szczególnych cech, wyróżniających ojca od innych mężczyzn, nazywa każdego dorosłego „papa", jednoczy bowiem znamiona wspólne w jeden ogólny typ. Dwu lub trzyletnie dziecko, które w podniesionym, surowym głosie ojca poznaje gniéw i groźbę, usłyszawszy grzmoty, przejmuje się strachem i płacze, oczekując lada chwila kary; niekiedy tuli się do opiekuńczych ramion matki, a gdy już mówić zaczęło, wyrzeka z trwogą: „bozia się gniewa". Tłómaczenie burzy, jako objaw gniewu boskiego, musiało powstać drogą podobnych uogólnień u człowieka pierwotnego i u naszego ludu.

Z przykładów tych widzimy, jak utworzone przez doświadczenie pojęcia przechodzą drogą porównań ze sfery konkretnéj, realnéj, do dziedziny abstrakcyi, idealizmu. Zwierzę, dziecko i człowiek pierwotny snują pojęcia ogólne z postrzeganych zjawisk, ale ponieważ obserwacye te są bardzo nieliczne, doświadczenie zbyt szczupłe, więc i abstrakcye — przeważnie błędne. Niektóre przedmioty i zjawiska tak są proste i tak często dają się poznać w doświadczeniu codzienném, że wysnuwanie z nich pojęć ogólnych nie stanowi żadnéj trudności i większość ludzi dorosłych zna pewną ilość typów, abstrakcyi, idei, odpowiadających jaknajlepiéj stosunkom realnym. Przeważna część jednak w obiegu będących uogólnień, nie mówiąc już o złożonych ideach, w rażącéj znajduje się sprzeczności z prawdą.

Nauka, która jest tylko cierpliwsza, oględniejsza, systematyczniejsza i dzięki udoskonalonym swym narzędziom i metodom, dokładniejsza w badaniu zjawisk, niż pojedyńczy i niewyćwiczony umysł, bada i porównywa szczegóły z taką umiejętnością, że wysnute z nich pierwsze pojęcia ogólne zupełnie odpowiadają rzeczywistości. Rozleglejsze abstrakcye, jak prawa naukowe, wspierające się na licznych uogólnieniach, również nie zawiodły jeszcze praktyków, o ile do systematu wiedzy wciągnięte zostały. Świéżo powstające idee, szumnie przez swych twórców prawami ochrzczone, jak znane „prawo" Malthu-

sa, mogą oczywiście niekiedy upadać, bo się sprawdzić nie dają. Ale wypadki takie, jakkolwiek często się zdarzają, nietylko powagi praw nauki nie podkopują, lecz przeciwnie, zwiększają dla nich zaufanie, jako dla wyrazicieli i stróżów prawdy, nie dających się lada przybyszowi (domniemanemu prawu) wyprowadzić w pole. „Nauka pewność swą zawdzięcza władzy rozkładania konstrukcyi idealnych na zmysłowe pierwiastki doświadczenia; metempiryka ciągłą swoją niepewność zawdzięcza metodzie swych badań, która nie wymaga, a często nawet nie jest zdolna do tego, aby sprowadzano intuicye jéj do uczuwań, abstrakcye do konkretów zmysłowych. Ponieważ pogardza ona empiryczną metodą budowania i stopniowego sprawdzania, przeto zmuszona jest przyjmować zasady, za które żadne doświadczenie ręczyć nie może i których nikt nie może potwierdzić" [1]). Jeżeli uczeni z zestawienia bardzo licznych szczegółów konkretnych dochodzą, posługując się przytém prawami nauki, do rozległych a zawiłych idei ogólnych, to nie sądźmy, aby to oni z taką łatwością i pewnością siebie czynili, jak się u nas w codzienném życiu praktykuje. W każdéj teoryi, do systematu wiedzy już należącéj, wiadomo dokładnie, co stanowi niezbitą prawdę, co należy do pojęć konkretnych a niewątpliwych, co do abstrakcyi z rzeczywistością zgodnéj, a co do przypuszczeń prawdopodobnych i wątpliwych. Liczne bardzo hypotezy oraz obszerne teorye na nich osnute zmieniają się często, powstają i giną, chociaż nie bez śladu, jak o tém wielu sądzi. Zmienność i nietrwałość wielu hypotez—gdyż niektóre stają się prawdami — nie jest wcale ani niespodzianką, ani rozczarowaniem dla uczonych, bo chociaż nie jeden myśliciel mógł je przeceniać i pokładane w nich nadzieje za pewniki uważać, to w każdym razie ogół badaczy nie był nigdy olśniony tém, co prawdą stać by się mogło, lecz nią nie było. Hypotezy, a zwłaszcza rozległe teorye hypotetyczne mogą służyć za dowód, że najdaléj sięgające idee naukowe poczynają się na łonie faktów realnych, najdokładniéj poznanych, wiążą się następnie z prawami w szereg licznych abstrakcyi, a nakoniec wznoszą się po szczeblach mniéj lub więcéj prawdopodobnych przypuszczeń w sferę myśli oderwanéj, po za granice wrażeń zmysłowych. Lecz tak powstała idea, chociaż się wzbije w dziedzinę najwyższych ideałów, nie przestaje być w zgodzie z przyrodą, lub życiem, gdyż fakty i prawa, z których się wyłoniła, wiążą jéj niebiańskie szczyty z ziemskiém podnożem.

Niesłusznie więc zarzucają metodzie doświadczalnéj, że jéj zwo-

---

[1]) Lewes. „Zagadnienia ducha i życia", tłóm. J. K. Potocki, Warszawa, 1892, str. 310.

lennicy wierzą w to tylko, co jest widoczne i namacalne. Zarzut ten pochodzi z zupełnéj nieznajomości konstrukcyi naukowych, albo jest aforyzmem skierowanym do tych, czyj wzrok po za świat zmysłowy nie sięga. Wszystkie pojęcia ogólne w nauce, prawa, teorye, hypotezy, a zatém wszystkie małe i wielkie idee wznoszą myśliciela, jak mówi Lewes, „na skrzydłach wyobraźni do sfer Niewidzialności i Nieuchwytności, napełniając je urojeniami bardziéj oddalonemi od faktów, aniżeli fantazye Nocy Arabskich od zwykłych wydarzeń na ulicy Oksfordzkiéj.” Ale „urojenia myśliciela, dodaje autor „Zagadnień ducha i życia”, tém się różnią od urojeń poety, że nie są kaprysami jego widzimisię; pozostają one w zależności od ścisłych praw i pod naciskiem Realności; z obu temi warunkami nie liczy się ani wyobraźnia poetycka, ani metempiryka.”

Z tego, cośmy o rozwoju pojęć ogólnych powiedzieli, wynika, że wszelka idea, mała lub wielka, prawdziwa lub błędna, w postrzeganiu i doświadczeniu rzeczywistości początek swój bierze, z wrażeń zmysłowych się wyłania; lecz porównanie tych wrażeń ze sobą prowadzi do wniosku, który już jest wyobrażeniem ogólném, od rzeczywistości oderwaną abstrakcyą. Od dokładności obserwowania przedmiotów zależy trafność porównań; wykrycie zaś znamiennych różnic i cech wspólnych wytwarza takie pojęcie ogólne, które się zgadza z rzeczywistością. W razie powierzchownego tworzenia pojęć elementarnych, skutkiem niedokładnéj obserwacyi, porównania muszą być również powierzchowne, wadliwe lub zgoła fałszywe, co znowuż do błędnych zniewala uogólnień, jak to się zdarza często u zwierząt, dzieci, ludzi dzikich i niewykształconych. W pierwszym tedy wypadku najszersza idea, z licznych złożona abstrakcyi, lubo nie jest wyrazem rzeczywistości, może w pewnym stopniu jéj odpowiadać. Jeżeli składające ją pojęcia ogólne z poznanych faktów powstały, to i sama idea może być prawdziwą i w praktyce zastosowalną.

Ze wspólnego więc źródła, bo z wrażeń zmysłowych rozwijają się wszystkie idee. Świat duchowy, jako najwyższy objaw przystosowania organizacyi czucia do otoczenia, odtwarza w ideowych formach stosunek organizmu do świata zewnętrznego. Najwyższe wytwory umysłowe, sięgające daleko po za granice codziennych naszych postrzeżeń, nie są wolne od pierwiastku zmysłowego, jakkolwiek pierwotne wyobrażenia, które za podstawę posłużyły idei, podlegały ustawicznym zmianom w indukcyjnym łańcuchu, wznosząc się po szczeblach abstrakcyi od tego, co istnieje, ku temu, co możebne. Ale w logicznėm i na realnych podstawach osnutém myśleniu zarówno po-

jedyńcze abstrakcye, stanowiące ogniwa łańcucha indukcyjnego, jak i cała idea podlegają sprawdzaniu i odpowiadają istniejącym faktom. „Abstrakcya nie powinna być wytworzona samowolnie, jeśli się późniéj stosować ją będzie do rzeczywistości: wytworzona być musi ona z konkretów; po zachowaniu zaś tego warunku, ponieważ konkrety zmysłowe, będące jéj pierwiastkami, nie samowolnie zostały wprowadzone, możemy być pewni, iż abstrakcya jest tak prawdziwa w swoim zakresie, jak pierwiastki zmysłowe były w swoim. Stosunek raz abstrahowany od pewnych liczb, jest równie prawdziwy, jak i same te liczby. W ten sposób abstrakcya staje się prawdą przyrody, jakkolwiek od zjawisk przyrodzonych zbacza w tém, że pomija szczegóły [1]). Natomiast idea zbyt pośpiesznie wysnuta, przedstawiająca niekonsekwentny, a ciągle przerywany szereg indukcyi, o przesłankach wątpliwych, lub zgoła nie istniejących, jest poronionym owocem myśli, który, na wysokie zaniesiony szczyty, ludzi tylko naiwnych i do nieziszczalnych zapala rojeń.

Widzieliśmy następnie, że realność czyli pozytywność pojęć (idei) jest względna, tak samo jak ich abstrakcyjność, zależy to bowiem jedynie od stopnia uogólnienia danych wyobrażeń. Dlatego téż nauki najbardziéj realne, jak przyrodnicze, posługują się często idealnemi konstrukcyami, wkraczając nie bez korzyści w dziedzinę metafizyki. Z drugiéj zaś strony idee najbardziéj oderwane i pojęcia apryoryczne nie bywają nigdy w takiém znaczeniu i w takim stopniu z góry powzięte, od doświadczenia niezawisłe, jak to utrzymywał Kant i jak myślą jeszcze dzisiaj liczni jego zwolennicy. Z niczego żadna myśl, żadne uczucie nigdy nie powstały. Odziedziczamy wprawdzie niektóre skłonności czuciowe i umysłowe, które znakomicie przyśpieszają rozwój duchowy; posiadamy od urodzenia wiele przystosowań zmysłowych, które nas uwalniają od ponownego wprawiania oka lub ucha do czynności, wyćwiczonych już należycie w poprzednich pokoleniach, możemy też w systemie nerwowym i mózgu posiadać pewne odziedziczone przystosowania (predyspozycye), lecz rozwinąć myśl z niczego, jak się rozwija przed naiwnymi kwiat pod czarodziejską różczką kuglarza, nie możemy i nigdyśmy nie mogli. Byłoby to zaprzeczeniem zasadniczego prawa wszystkich zjawisk, prawa zachowania energii, na którém cała wiedza spółczesna się wspiéra.

W pewnych warunkach możemy snuć w myśli oddalone od rzeczywistości idee, kreślić plany przyszłości, lecz w takim razie, jak i w każdym innym wypadku myślenia, owoc rozumowań naszych dwo-

---

[1]) Lewes, tamże, str. 256.

jakiego może być gatunku. Będzie on płodem nieograniczonéj fantazyi, uogólnieniem dowolnych przesłanek, które w ostatecznéj analizie przeczą faktom, albo téż może być rozległą abstrakcyą, rozkrzewieniem takich pojęć ogólnych, które się jednak rozłożyć dają na coraz bardziéj realne idee i nakoniec na wrażenia zmysłowe. Tak np. Bellamy budował w powieści swéj „W 2000-ym roku" obraz przyszłego społeczeństwa, nie posługując się bezpośrednio doświadczeniem. Przewidując bardzo dużo i nader wielkich zmian w przyszłém życiu społeczeństw, nie mógł on wiedzieć z pewnością, co może za sto lat nastąpić. Nie znaczy to jednak, aby Bellamy obraz przyszłego ustroju wymyślił. Analizując jego [1] ideę, przekonywamy się, że jest ona wytworem bardzo złożonego szeregu indukcyi, któréj oddzielne części są mniéj więcéj uzasadnionemi teoryami bądź socyologii, bądź ekonomii politycznéj dzisiejszych czasów, bądź téż wyrażają w ogólniejszéj nieco formie przeszłe i teraźniejsze ruchy społeczne narodów ucywilizowanych. Teorye naukowe, prawa i hypotezy, oraz liczne przez autora dostrzeżone prądy dziejowe dają się znowuż sprowadzić do prostszych i bardziéj konkretnych uogólnień, które ostatecznie powstały z obserwacyi i doświadczenia minionych pokoleń, lub współczesnych uczonych, a w danym razie za przesłanki do wysnucia nader zawiłéj posłużyły idei.

Jakkolwiek więc tego rodzaju wytwory umysłowe, t. j. nie wynikające bezpośrednio z postrzeżenia i doświadczenia, zaliczamy zwykle do ideałów, jednak nie należy zapominać, że i one w gruncie rzeczy w poznaniu zmysłowém początek swój biorą. Ten fakt jest tak powszechny, że nawet wywody matematyczne, za czystą uchodzące abstrakcyę, mające wszelkie pozory apryorycznych konstrukcyi, dają się w ostatecznéj analizie sprowadzić do takich pojęć, które powstają tylko przez uzmysłowienie realnych stosunków ilości i wielkości. Co więcéj, okazało się w świetle spółczesnéj psychologii, że pojęcia czasu i przestrzeni, uważane jeszcze przez Kanta za apryoryczne, z doświadczenia pochodzą. Niektóre idee, zwłaszcza w dziedzinie moralnéj, wydają się nam tak od rzeczywistości niezawisłe, do takiego stopnia od realizmu wolne, że bywamy skłonni przypuszczać, jakoby one w nas przebywały jako cząstki przedwiecznéj, a we wszechświecie rozlanéj „prawdy", nie mającéj nic wspólnego z pochodzeniem wszystkich innych wyobrażeń i pojęć. Złudzenie to stąd pochodzi, że zwykle nie znamy, lub nie pamiętamy tych skojarzeń myśli oraz konkretnych

---

[1] Własnością autora jest właściwie tylko szata powieściowa obrazu, oraz niektóre szczegóły.

wyobrażeń, które za punkt wyjścia idei takiéj służyły [1]). Analiza jednak odsłania jéj rodowód i wykazuje, że w bliższych lub dalszych fazach rozwoju nawet najbardziéj oddalona od rzeczywistości idea na wrażeniach zmysłowych, a więc na faktach realnych się wspiéra.

III.

Zastosowalność idei zależy od jéj budowy.

Przykłady: zasada braterstwa, idea miłości bliźniego. — Przykład idei najbardziéj realnéj.—Wartość idei zależy od stopnia jéj prawdziwości.—Zastosowanie poprzednich wywodów do idei społecznych.

Rozbiór psychologiczny wykazuje, że prawdziwość i zastosowalność idei zależą od jéj rozwojowego procesu, t. j. od drogi, którą myśl przebywa, zacząwszy od wrażeń zmysłowych aż do ostatniego uogólnienia. Drogą tą jest indukcya; zaczyna się ona od błędnego lub prawidłowego poznania szczegółowych faktów, zależnie od tego przechodzi do mniéj lub więcéj zgodnych z prawdą pojęć, wiąże je z dodatkiem znowuż wadliwych lub starannie utworzonych poglądów w szereg przesłanek, a te bez żadnego sprawdzania lub po ścisłém skontrolowaniu służą do rozwinięcia ostatecznéj myśli ogólnéj. Wynik tych działań psychicznych zależy więc naprzód od ich punktu wyjścia, t. j. od poznania rzeczywistych szczegółów, które za wątek dla myśli służyć mają; następnie zależy od ścisłości powiązania ze sobą wszystkich przesłanek, oraz od tego, aby każda z nich jaknajlepiéj odpowiadała faktom, co za pomocą sprawdzania uskutecznić się daje.....

Wszelka ogólniejsza zasada postępowania staje się niedoścignionym ideałem, skazanym na wieczny w marzeniach spoczynek, jeżeli się nie przedstawia umysłowi w związku genetycznym, jako wiązanka indukcyjnie spojonych pojęć. Te zaś, jeżeli są metafizycznego pocho-

---

[1]) „Skojarzenia wyobrażeń mogą być tak stałe i silne w zespoleniu części że zapomina się z jakich powstały pierwiastków. Takie trwałe i głęboko zakorzenione w umyśle skojarzenia, o których powstaniu i historyi zapomnieliśmy, są powodem owéj tajemniczości, jaka osłania niektóre strony naszéj duszy. Teorya trwałych skojarzeń jest najważniejszym argumentem, za pomocą którego nowsza szkoła angielska walczy z poglądem, uznającym apryoryczne, pierwotne formy świadomości oraz idee. Teorya ta wychodzi słusznie z założenia, że zjawisko, które przedstawia się jako całość, nie dające się rozłożyć na składniki, może mimo to powstać wskutek zespolenia rozmaitych pierwiastków. Domaga się téż ona analizy psychologicznéj, głębszéj i daléj idącéj, niż ta, na któréj wnioski swe opiéra psychologia dogmatyczna.“ Höffding. „Psychologia“, II, str. 84.

dzenia, to idea do utopii się sprowadza; jeżeli zaś odpowiadają rzeczywistym zjawiskom przyrody i życia, to wówczas jedynie zrozumiałemi są przesłankami uogólnienia. Jakąkolwiek rozpatrywać będziemy ideę, zawsze przyjdziemy do wniosku, że każda z nich powstaje w umyśle albo jako uogólnienie z nielicznych i niedbale postrzeganych faktów wysnute, albo jako uogólnienie długiego szeregu pomniejszych uogólnień, ściśle wyprowadzonych z mnóstwa drobnych szczegółów. Ponieważ główna różnica między obiema drogami rozwoju myśli polega, jakeśmy wyżéj zaznaczyli, na większéj lub mniejszéj dokładności, oraz jednolitości indukcyi, którą się posługujemy, to oczywista, że w przyszłości na utopiach wzniesione bałwany, a dziś jeszcze za ideały poczytywane, będą musiały runąć wobec umiejętnie zbudowanych idei. Psychologia myśli stanowczym jest tego dowodem.....

Rozpatrzmy jeszcze jeden warunek ziszczalności idei, zależny od jéj budowy. Do pomysłów najbardziéj zastosowalnych należą projekty z zakresu budownictwa. Idea np. wielkich mostów wiszących byłaby w starożytności zaliczona do mrzonek. Dlaczegóż dziś tak zawiły i bądź co bądź na wielu matematycznych i fizycznych abstrakcyach osnuty projekt zastosowanie znajduje? Tylko dlatego, że cały systemat pomysłów, składający się na utworzenie planu mostu wiszącego, jest wynikiem nadzwyczaj szczegółowych i ścisłych indukcyi, w których każda przesłanka również najstaranniéj drogą indukcyi ze sprawdzonych praw i teoryi wysnutą została, te ostatnie zaś oparto na dokładnie zbadanych faktach. Wykonawca takich planów nie posługuje się tu wyłącznie uzmysłowionemi faktami, lecz istotnie wciela ideę, która prócz faktów zawiera mnóstwo uogólnień, teoryi i hypotez. Uczynić zaś to może dzięki temu, że jak się wzniósł stopniowo po szczeblach swéj indukcyi do zawiłego systematu myśli, tak téż może w każdéj chwili po tych szczeblach zstępować coraz niżéj, do coraz prostszych przesłanek, oznaczających w technice główne części wiązania mostu, ich części, wreszcie sam materyał, którego własności mają być takie a takie podług teoryi na postrzeżeniu osnutéj. Ponieważ więc jego idea, choćby nawet po raz pierwszy stosowana, ściśle choć pośrednio z rzeczywistością jest zespolona, to wykonanie planu może się zacząć od wcielenia pierwszych przesłanek i tak systematycznie postępować aż do końca Jedyną tu przeszkodą byłaby luka w indukcyi inżyniera, ale żaden biegły fachowiec nie przystąpi do urzeczywistnienia projektu, zanim go przedtém z całą ścisłością nie przeprowadzi teoretycznie, zanim się nie przekona, że wszystkie jego wywody, uogólnienia, oraz ich zastosowania z największą konsekwencyą jedne z drugich wynikają.

Jest to przykład idei najbardziéj realnéj, gdyż się na ścisłych opiéra naukach, i dlatego jéj przeprowadzenie w drobnych zaledwie szczegółach — nie przewidzianych w teoryi — z prawdą się rozmija. Napróżnobyśmy się wysilali osiągnąć obecnie taką prawdziwość indukcyjną w ideach bardziéj złożonych, jakiemi są biologiczne, socyologiczne i historyczne. To samo powiedzieć należy o ideach etycznych, ponieważ one z poprzednich wynikają. Zjawiska życia, a nadewszystko życia zbiorowego tak są zawiłe, że nawet nauka zaopatrzona w udoskonalone metody, z wielkim mozołem do prawdziwych dochodzi uogólnień. Idee zaś w téj dziedzinie, usiłujące ogarnąć przeszłość i teraźniejszość, aby z nich dla przyszłości stawiać horoskopy, muszą z konieczności posługiwać się téż licznemi domysłami, często o bardzo chwiejnych podstawach. Jakkolwiek wszakże ścisłość, systematyczność i realne uzasadnienie tego rodzaju indukcyi są tylko częściowe, jakkolwiek idea w szczegółach swych zawierać może dużo braków i wątpliwości, to okoliczność ta jeszcze nie daje powodu, aby się jéj wyrzekać. Nie uznawać jakiéjkolwiek idei dlatego jedynie, że jéj prawdziwość nie jest jeszcze dowiedziona, znaczyłoby to samo, co wyrzec się niepewnéj działalności, niepewnych ruchów, z których się całe życie nasze składa, a bez których ani jednego nie zrobilibyśmy kroku, bo przecie nigdy nie mamy pewności, że stawiając nogę nie złamiemy jéj, że idąc ulicą nie padniemy pod koła powozu, że jadąc gdzieś nie zginiemy pod mostem, w falach morskich lub w strzaskanym pociągu. Pomijamy już to, że „obawiać się wilka znaczy nie chodzić do lasu", ale rzeczywiście i literalnie każda chwila życia od urodzenia aż do śmierci wystawiona jest na liczne niepewności, niepowodzenia i niebezpieczeństwa; do nich się tylko przywykło i nie bierze zwykle w rachubę bezustannego ryzyka, lecz działanie niepewne, problematyczne jest również naturalném i konieczném, jak samo życie. Nie łudźmy się więc tém, jakoby niepewność idei pozbawiała ją znaczenia, lub była synonimem nieziszczalności. W konstrukcyach abstrakcyjnych, tak samo jak i we wszelkiéj działalności, idzie o to, ażeby oczekiwany rezultat możebnie był najpewniejszy, możebnie najlepiéj warunkom rzeczywistym odpowiadał. Wartość zatém idei zależy od stopnia jéj prawdziwości i ziszczalności; bezwzględna zaś prawdziwość i zupełna zastowalność — to życzenie, które może się błąkać jedynie w sferze rojeń.

Im mniéj posługujemy się w wytworach umysłowych wiedzą ścisłą, im nasze indukcye częściéj są przerywane, a przesłanki źle sprawdzane, tém naturalnie mniéj ziszczalną staje się idea. Zasada wszakże jéj zastosowalności pozostaje ta sama. W zastosowaniu więc

powyższych wywodów do projektów o charakterze moralnym i społecznym wynika, że jeśli odnośna idea zakreśla przyszłe formy życia, choćby najdaléj od dzisiejszych odbiegające, to formy te stanowić powinny wyższy stopień rozwojowego procesu, którego początek aż do odległéj sięga przeszłości, a środek spółczesne obejmuje fazy. Innemi słowy, idea społeczna tém jest żywotniejsza i tém łatwiéj daje się zastosować, im lepiéj odzwierciedla w przesłankach swych ewolucyę przyszłości, z syntezy dziejów minionych wysnutą. Ziszczalność jéj zależy od ustopniowania w umyśle szeregu procesów rozwojowych w ten sposób, aby przyszłe, domniemane fazy konsekwentnie z poprzednich wynikały i tak samo z teraźniejszością pasmem przyczyn związane były, jak doba dzisiejsza wiąże się z przeszłością. W takim razie idea w pierwszéj swéj części odtworzy przeszłość, a w drugiéj dalszy jéj ciąg; uogólnienia pierwszéj części będą więcéj realne, drugiéj zaś—bardziéj idealne, lecz osnute na faktach, które do pierwszych służyły wywodów.

Idea taka nie może, naturalnie, posiadać tak doskonałéj i trwałéj budowy, jak idea mostów wiszących, lecz przy wyżéj wskazanéj konstrukcyi pozwala stosować ją w praktyce już od pierwszych indukcyjnych szczebli począwszy. To znaczy, że już pierwsze przesłanki, wybiegające po za teraźniejszość, mogą być wprowadzone w życie, jako przypuszczalny ciąg dalszy dziejowego procesu.....

IV.

Stosunek uczucia do idei.

Czy rozwój myśli osłabia uczucia? — Kiedy myślenie wpływa na uczucie dodatnio, a kiedy ujemnie. — Poznanie rzeczywistości jest koniecznym warunkiem zarówno dla tworzenia ideałów, jak i dla rozwoju uczuć.

Ale cóż to wszystko znaczy? — zawołają ci, co w marzeniach zwykli niepochwytne ścigać ideały. Czyż idea, która w nadziemskich wznosi się sferach, by nas od poziomych odrywać pragnień, ma się tak samo, jak zwykła myśl rozwijać i posługiwać się zimną i bezwzględną metodą badania? Może ta wielka gwiazda, wszedłszy na drogę rozumowań, rozświetli myślicielom widoki, lecz dla większości czy nie zgaśnie nie zawsze? Czy umiejętne myślenie, do idei moralnych i społecznych stosowane, nie rozwieje czarującego ich powabu, co się w tajemniczości ukrywa? Czy nie wystudzi uczuć, bez których ideał byłby tylko rozumiany, nie zaś pożądany?

Wątpliwości te, mogące nie jednemu się nasunąć, rozstrzyga psychologia, wykazując z jednéj strony jaka jest zależność uczuć od myśli, z drugiéj zaś odsłaniając genezę zawiłych idei, które się rozwijają tą samą drogą i na zasadzie tych samych praw postrzegania, kojarzenia i wnioskowania, co wszelka myśl wogóle. O powstawaniu i rozwoju idei jużeśmy mówili i przyszli do wniosku, że jéj prawdziwość i zastosowalność zależy przedewszystkiém od prawidłowéj syntezy. Co zaś do zależności uczuć od myśli, to ponieważ kwestya ta obszernie i dość wyczerpująco traktowaną jest w dziełach psychologicznych, nie mamy potrzeby obecnie nad nią się zatrzymywać, zwłaszcza że to znacznie przekroczyłoby zadanie niniejszego szkicu. Pomijając jednak szczegółowe dowodzenia psychologiczne o wpływie myśli na uczucie, nie możemy powstrzymać się tu od kilku uwag ogólnych w tym przedmiocie.

Wśród wielu poważnych pisarzy, a jeszcze bardziéj wśród ogółu inteligencyi rozpowszechniane jest zdanie, że rozwój umysłowy działa przygniatająco na sferę uczuciową, że myśl, jak to mówią, wyziębia serce. Dla poparcia tego mniemania przytacza się znane fakty niewzruszonéj obojętności niektórych uczonych na sprawy życia, domagającego się od każdego współczucia i współudziału. Mówi się też o wygaśnięciu uczuć w tych warstwach narodu, które pod względem wykształcenia naukowego wyżéj od innych stoją; albo się przypomina, że dawniejsze a mniéj oświecone pokolenia większą odznaczały się wrażliwością od nowych, stapiających gorące swe porywy w zimnéj rachubie. Jest w tém dużo gorzkiéj prawdy, lecz i wiele dowolnych tłómaczeń. Nie ulega wątpliwości, że wśród dzisiejszych pracowników nauki nie jeden zamyka serce przed napływem wzruszeń otaczających go ludzi, że usiłuje być głuchym na bóle i radości innych. Ale winą tego jest albo jednostronność umysłowego wykształcenia, ciasnota widnokręgu, nie obejmująca ważniejszych dziedzin życia, albo nierównomierność wychowania, polegająca na wyłącznéj uprawie rozumu z pominięciem—uczuć, oraz nawyknień do działania.

Jeżeli karyera myśliciela, lub jakiego fachowca zasłania przed nim wyższe, czy bardziéj naglące zadania, niż wykrycie rodowodu jakiéjś postaci historycznéj, odszukanie źródeł rzeczułki afrykańskiéj, lub ulepszenie pieców, czy wynalezienie sposobu tańszego farbowania perkalików, to w takich razach śmieszném byłoby winić naukę, że jakiś specyalista historyk, geograf, technolog lub chemik nie podzieła i nie rozumié ogólnoludzkich sympatyi i pragnień. Niemniéj też lekkomyślném będzie rozszerzanie takich, niestety, licznych wypadków aż do powszechnéj zasady, są bowiem zarówno specyaliści uczeni, jak i pra-

ktycy biegli w jednéj gałęzi wiedzy, dla których wszechludzkie uczucia i dążności wcale nie są obce i którzy, myśląc i pracując w obranym zawodzie, umieją téż myśléć i działać na szerszém polu. W tym względzie żadna specyalność—o ile nie zamienia człowieka w automatyczne kółko machiny wytwórczéj — nie przeszkadza pracownikowi sięgać myślą po za drobny swój warsztat, a uczuciem po za pracownię. Nie przeszkadza dlatego, że praca umysłowa, choćby w szczupłym zakresie, może się wiązać logicznie z produkcyą duchową społeczeństwa i ze skromnego stanowiska swego dążyć do urzeczywistnienia najbliższego celu nauki, t. j. spotęgowania i rozszerzenia świadomości ogółu. Po drugie, każdy fachowiec—o ile, powtarzamy, choć trochę swym czasem rozporządza — jest wieloma sprawami z bliższym i dalszym ogółem związany, który to związek zawsze dojrzéć może, a zatém i sposobność znaléść do współczucia i współdziałania z tym ogółem.

Co do pobudliwości uczuciowéj, która w oświeceńszych warstwach narodu ma być słabsza, niż w ciemniejszych, lub dawniéj miała być większą, niż dzisiaj, to pojęcie takie wynikło z pogmatwania różnych czynników. Najprzód do tych oświeceńszych zaliczano ludzi wadliwie, bo jednostronnie wychowanych, mówiliśmy o nich przed chwilą; powtóre, nie uwzględniono głębokich, na szeroką skalę rozwiniętych a niezmiernie subtelnych uczuć, które jedynie przy wyższéj umysłowości wyłaniać się mogą; po trzecie, zapomniano o tém, że łatwe wybuchy uczucia u ludzi ciemnych nie dowodzą ich wyższości, są bowiem tylko gwałtowniejsze, a zawsze grubsze, elementarnym potrzebom odpowiadające, nie rozczłonkowane, nie wyspecyalizowane, nie tak głęboko i nie tak długo przyjmujące ducha.

Profesor Lange w rozprawie swéj „O wzruszeniach umysłu" (tłóm. w Warsz. 1888) powiada, że „jednostki i narody tém łatwiéj podlegają afektom, im niższym jest stopień ich rozwoju umysłowego. Tak zwane ludy dzikie przedstawiają téż większą gwałtowność zarówno w radości, jak w smutku, aniżeli ludy ucywilizowane. Taż sama różnica przebija się pomiędzy różnemi pokoleniami jednego plemienia; my jesteśmy łagodni i spokojni w porównaniu z naszymi barbarzyńskimi przodkami." Że wzruszenia dzikiego, lub nierozwiniętego człowieka z większą wybuchają gwałtownością, to nie ulega najmniejszéj wątpliwości; wiadomém jest również, jak łatwo budzą się w nim uczucia strachu, gniewu, smutku, radości pod wpływem takich pobudek, które na nas wcale nie działają. Buszman przeraża się na widok swego portretu i nie posiada się z radości, gdy mu ofiarują najlichszy wyrób galanteryjny Europy. Tatar kaukaski w błahéj kłótni gotów jest zasztyletować przeciwnika. Lecz żaden dziki, lub barbarzyńca, nawet żaden

prostak oświeconéj Europy nie zna i nie podziela tysiącznéj części wzruszeń, które kotłują w duszy wszechstronnie rozwiniętego człowieka. Nie co innego, jeno wiedza, roztaczając przed nami rozległe widnokręgi życia, pozwalając myśli zapuszczać się w przeszłość, ogarniać duchowym wzrokiem usiłowania i prace milionów, dostarcza nieprzejrzanego mnóstwa pobudek do odczuwania tego, co się z przeszłości w literaturze i sztuce odbiło, co dzisiaj życiem tętni oraz w przyszłości umysłami wstrząsać będzie. „Łagodni i spokojni jesteśmy w porównaniu z naszymi barbarzyńskimi przodkami" w tém jedynie znaczeniu, że słabną w nas zwierzęce instynkty, a namiętności nie objawiają się w tak ostréj, żywiołowéj formie. Wzruszenia nasze znacznie są jednak liczniejsze i wywołują się tak subtelnemi wskazaniami świadomości, o jakiéj przodkowie nasi najmniejszego nie mieli wyobrażenia. Względna to więc łagodność i względny spokój, które nam przypisuje Lange. Przecie setki czynów, tolerowanych obojętnie w czasach dawniejszych, uchodzą obecnie za zbrodnie i chociaż często nie sprowadzają gwałtownych objawów protestu, jednak o tyle zakłócają spokój, że się poszukuje środków zaradczych, nie bacząc nawet na poważne przeszkody i przykrości.

Niemożebna więc zgodzić się na wniosek autora (str. 48), że „zmniejszenie sfery uczuciowéj pod wpływem wzrastającego wykształcenia osobników i generacyi nie tylko idzie ręka w rękę ze wzrastającym rozwojem sfery rozumowéj, lecz jest po większéj części wynikiem owego rozwoju." Jeżeli wychowanie osłabia lub nawet unicestwia niektóre wzruszenia, lecz jednocześnie rozszerza, pogłębia i budzi nowe uczucia w daleko większéj ilości, to trudno mówić o „zmniejszeniu sfery uczuciowéj pod wpływem wzrastającego wykształcenia." Osłabienie uczuć może niekiedy iść w parze z rozwojem rozumu, jak o tém fakty świadczą, ale te fakty dowodzą również skoślawienia natury skutkiem tego, że jednostronna działalność umysłowa zbyt silnie wybujała kosztem innych czynności psychicznych. Taka zaś przewaga rozumu, która hamuje rozwój uczucia, uważana jest w medycynie, psychologii oraz wychowaniu za objaw chorobliwy, nie jest przeto bezpośrednim wynikiem kultury umysłowéj, lecz owocem niedojrzałéj, a właściwie zgniłéj cywilizacyi. Wie o tém dobrze niekonsekwentny profesor, gdy na str. 2 mówi: „Jeśli jest prawdą, iż musimy pozostawić na uboczu swe namiętności, ilekroć chodzi o spokojny pogląd, jasne poznanie lub bezstronny sąd, nie mniéj jest niewątpliwém, iż nie możemy uważać tego człowieka jako zdrowego i zupełnego, który umie jedynie myśléć, poznawać i sądzić, lecz nie umie cierpieć, lękać się lub pociągać

ku sobie, nawet gdyby to niekiedy miało miejsce ze szkodą dla jego władzy poznawania i sądzenia."

W człowieku normalnie wykształconym, t. j. z uwzględnieniem równomiernego rozwoju wszystkich czynności duchowych, władze umysłowe znakomicie rozszérzają i potęgują działalność uczuć. Rozszérzają tém, że zakres poznania zwiększa pole pobudek i celów uczucia; potęgują zaś dlatego, że im bardziéj świadomość jest rozwinięta, tém ściśléj są połączone pobudki uczuć ze sobą, tém częstszém echem odbija się w duszy każde wzruszenie. Im bardziéj system uczuć jest jednolity i harmonijny, co w wysokim stopniu od jednolitości umysłu, od przewodnictwa górującéj idei zależy, tém więcéj spójni i współzależności widzimy w uczuciach. Zespolenie ich bywa tak ścisłe, że wystarcza wpomnienie, krótka o czémś wzmianka, jakiś drobny wniosek logiczny, aby wywołać uczucia, nie gwałtowne co prawda, lecz tak trafne i odpowiadające nastrojowi ducha, że cały ustrój nerwowy jakby w nieskończonych akordach pierwszy swój motyw powtarza. Na tém właśnie polega intensywność wysoko rozwiniętych uczuć, że mogą one choć łagodnie, ale głęboko, wszechstronnie i na długo opanować ducha, budząc liczne skojarzone z niemi uczucia i poruszając odpowiednie myśli.

Świadomość, przyćmiona niewiedzą i tajemniczością, pozwala zapewne kiełkować podnioślejszym uczuciom, jeżeli one już się przebijają w atmosferze wieku, lecz nie pozwala rozwinąć się im w całéj pełni i nie otwiera drogi do czynu. Wobec mglistych ideałów nie rozwija się nigdy gorące żądanie, któreby ku ich osiągnięciu wiodło; wynurzają się zaledwie życzenia nieokreślone, więc i bezsilne do urzeczywistnienia marzeń. Wśród tych można się miotać, rwać się do j a k i é j ś lepszéj sfery, można nawet znienawidziéć swe otoczenie i przekląć teraźniejszość, lecz taki stan ducha na żadną drogę czynu nie wiedzie, przeciwnie, zniechęca i mnoży szeregi pesymistów bez wyjścia. Natomiast silne i trwałe uczucia rozkwitają w niezłomną potęgę przy jasném świetle idei. Dzieje się to za sprawą poznania, które, wychodząc z danéj rzeczywistości, wznosi się po szczeblach syntezy do pojęć najogólniejszych, w dziedzinę idealną. Żeby zaś ostateczny wniosek indukcyi zrozumiałym był i pożądanym, trzeba znać naprzód punkt wyjścia idei, t. j. rzeczywistość. Poznać to, co m o ż e b n i e n a j l e p s z e, jedynie wtedy zdołamy, kiedy istniejące poznaném zostanie. Dla pożądania zaś tego, co możebne nieodzowném jest, jasne wyobrażenie zarówno realnéj rzeczywistości, jak idealnéj możliwości. I dlatego profesor Struve powiada [1]), że „zadowolenie, które sprawia

[1]) „Wstęp do filozofii", Warsz. 1890 (ros.) str. 153.

ideał, polega bezpośrednio na spodziewanéj realności jego. Bez tego pierwiastku realnego ideał staje się utopią, t. j. zjawiskiem dowolnéj fantazyi, pozbawionym wszelkiego znaczenia dla poważnego umysłu." Traci on również znaczenie dla uczucia, które, nie mając ani jasno określonego celu przed sobą, ani pobudek do jego ścigania, pozostaje jałowém, nie przechodzi w działanie, gdyż wola, jak to już zauważył Herbart, jest dążnością, połączoną z wyobrażeniem osiągnięcia tego, do czego dążymy.

V.

Wnioski pedagogiczne.

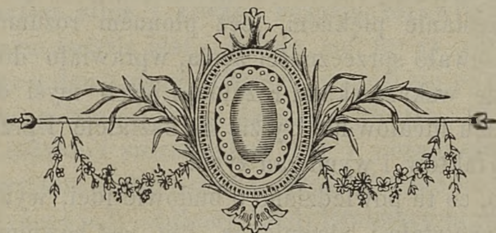
Główném zadaniem wykształcenia umysłowego i ostatecznym jego celem, w części zaś i zadaniem wychowania moralnego jest rozwijanie w młodych umysłach idei ogólnych, któreby ogarniały cały zasób szczegółów wiedzy, poglądów na życie, wierzeń, pragnień, nadziei; któreby jednoczyły wszystkie rozstrzelone uczucia w jedném ognisku najlepszych i najwznioślejszych dążeń — w oświetleniu jednéj wielkiéj myśli przewodniéj. Zadanie to tak doniosłe, że z jego pominięciem wychowanie staje się tresurą zdolności ludzkich poto jedynie, aby grać na świecie rolę maryonetki. Każdy przeto wychowawca, zawodu swego świadomy i umiejący ocenić opłakane skutki bezideowości, będzie się starał poznać ogólniejsze przyczyny, hamujące rozwój przewodnich myśli, zbadać ważniejsze szkopuły, o które idea, stając się czynną, w nicość się rozbija. W szkicu niniejszym rozważyliśmy tylko te warunki rozwoju i ziszczalności idei, które od jéj budowy zależą. Po za tém istnieją liczne przyczyny szkodzące, lub sprzyjające tworzeniu się i rozpowszechnianiu wielkich uogólnień. O czynnikach tych wspomnieliśmy na początku; obecnie dodamy, że ich uwzględnienie tak jest ważném w wychowaniu innych lub samego siebie, że najracyonalniéj rozwijana idea pozostanie piękném, lecz płonném rozumowaniem, jeżeli się nie będzie usuwało sprzeczności życia, wprawiało do ciągłego działania zgodnie ze wskazówkami rozumu, i jeżeli myśl od prostych pojęć aż do wielkich ideałów nie będzie się kształcić i przerabiać równolegle ze zmianą faktów i wymagań życia.

Już z tego, co tu powiedziano o budowie idei, wynika, że nie jest i nie może być ona stałą i niezmienną, nie jest bowiem nigdy wykończoną, gdyż do prawdy zmierza i ogólnie, nie zaś w szczegółach ją wyraża. Możemy być najpewniejsi, że o ile zdolności poznawcze nie wyczerpią się w ludzkości, — a nie mamy powodu do odwrotnych przypuszczeń—zmienność i doskonalenie się idei nigdy nie ustanie, gdzie

tylko postęp społeczny trwać będzie. W kształceniu więc myśli swojéj, lub wychowańców naszych nie powinniśmy nigdy zapominać, iż jéj wywody nie poto na idealne wprowadzamy wyżyny, aby tam dla nas w kamienne zakrzepły bożyszcza, gotowe rozsypać się w gruzy, gdyby na wiecznych nie spoczęły podstawach. Idea, szczegółowym planem życia być nie może i do ślepego stosowania się nie obowiązuje, kreśli bowiem wytyczne ogólnych dążności, wskazuje główny kierunek i główne drogi działania. Szczegóły zaś sami powinniśmy śledzić, w praktyce życia oceniać wartość przesłanek, a jeśli która z nich okaże się błędną, nie zrażajmy się tém, lecz szukajmy natomiast albo nowéj dla idei podstawy, albo zmieńmy ją odpowiednio do zmiany warunków.

Jeżeli w rozwijaniu idei zastosujemy psychologiczne prawa budowy myśli, t. j. udzielimy wychowańcom przedewszystkiém wiadomości realnych, o tém, co jest, a następnie dopomożemy im z wiadomości tych wyprowadzać wnioski, to dalsze, osnute na nich uogólnienia stanowić będą szereg idei, z których każda indukcyjnie z poznanych faktów się wyłoni. Otóż przy takiéj metodzie nauczania — nie zaniedbując rozwoju uczuć i nawyknień do zgodnego z myślą działania — zarówno stosowanie przesłanek idei, jak ich sprawdzanie nie przedstawia żadnych szczególnych trudności. Praktyka życia przy rozumném kierownictwie wychowawcy pokaże, dlaczego dana idea nie dobrze była stosowana, lub która z jéj części składowych rzeczywistości przeczy i dlaczego. Naprawiając takie błędy, dziecko lub młodzieniec wcześnie się przyzwyczai do pozbywania się beztreściwych poglądów i nieziszczalnych idei, podąży natomiast myślą i uczuciem do wszystkiego, co jest najprawdziwsze, najmożebniejsze i najbardziéj zastosowalne.

S. Karpowicz.



WYSTAWA HYGIENICZNA.

Rezultat bezpośredni zwierzęcego instynktu samozachowania — ochrona zdrowia, starym jak ludzkość sama, odwiecznym jest jéj kłopotem. Pewne ślady ochrony przeciwko stanom chorobnym, którym podpaść może organizm żyjący, już u zwierząt nawet spotykamy. Człowiek od najpierwszych chwil swego pojawienia miał zdaje się dwa cele na widoku: żyć jaknajdłużéj, użyć jaknajwięcéj. Pierwsze starano się podtrzymywać przeróżnemi środkami, magicznemi wpływami nawet, czego wyrazem jest teurgiczny początek medycyny, a późniéj słynne poszukiwanie eliksiru wiecznego życia.

Powoli jednak w miarę postępu nauki, gdy z jednéj strony oprzéć się było można na dowodnym materyale długiego praktycznego doświadczenia, z drugiéj strony na teoretycznych wiadomościach o normalnych i patologicznych funkcyach organizmu,—nauka jeden najważniejszy, ale zarazem najtrudniejszy do wykonania z poszukiwań swoich wyciągnęła wniosek: jednym z najważniejszych zadań medycyny powinno być nie leczyć ale przewidywać chorobę i odwracać ją przed zawładnięciem przez nią organizmu. Jednėm słowem, medycyna przyszłości musi być przedewszystkiém medycyną prewencyjną, następnie zaś dopiéro sztuką łatania nadwyręzeń. Wyrazem najlepszym tego kierunku w nauce lekarskiéj są wszystkie terapeutyczne metody zapobiegawcze, zacząwszy od szczepienia ospy, skończywszy na dzisiejszéj serumterapii, szczepiącéj błonicę, wściekliznę i t. d.

Z drugiéj jednak strony do najważniejszych środków prewencyjnych należy taki tryb życia, takie utrzymanie ciała, aby możliwość owładnięcia przez wpływy chorobne dało się zredukować do najmniejszych granic, uodparniając organizm przez odpowiednio ułożone i usystematyzowane warunki życia. Ułożeniem zaś tych właśnie t. zw. sanitarnych warunków życia, nakreśleniem programu zajęć, czynności odpowiednio dostosowanych do siły organizmu, normy pożywienia, sposobu ubrania i t. d., zajmuje się właśnie hygiena. Z uwagi na samo określenie hygieny, jako metody zapobiegania procesom chorobnym przez ułożenie programu życia organizmu, tak skombinowanego, aby jaknajsilniéj mógł się uodpornić przeciw wpływom chorobnym, — z uwagi na tak szeroki zakres określenia hygieny, jako środki pomocnicze, jako przedmioty wchodzące w zakres jéj kompetencyi, a raczéj pod kontrolę praw jéj podpadające — wchodzą wszystkie przedmioty, wszystkie urządzenia, jakiemi człowiek rozporządza, z jakich użytkuje od najpierwszych godzin niemowlęctwa do ostatnich dni życia.

Peryodyczne urządzanie wystaw, coby mogły poglądowo okazać i systematycznie ugrupować wyniki ostatnich udoskonaleń technicznych w zastosowaniach teoryi hygienicznych, — możność zapoznania szerokiéj publiczności z urządzeniami, co skutecznie z chorobnemi przypadłościami walczyć mogą, ma znaczenie pierwszorzędne w życiu społeczném narodów, dając możność popularyzowania i szerokiego rozpowszechniania jednego z najważniejszych postulatów prawidłowego i pomyślnego rozwoju społecznego—zdrowia i jego ochrony.

Druga wystawa hygieniczna, urządzona za inicyatywą redakcyi „Zdrowia”, daje więc nam możność skontrolowania postępów naszych urządzeń hygienicznych w ciągu lat dziesięciu, t. j. od daty ostatniéj podobnéj wystawy.

Pod względem urządzenia wystawa obecna spotykała się z nader wieloma zarzutami: na wszystkie atoli zdania malkontentów jedną dać można odpowiedź: trudno było dać więcéj przy tak szczupłych środkach pieniężnych, z jakiemi komitet i zarząd przystąpił do pracy. Zapewne, obecna wystawa nie może równać się do tych wszechświatowych jarmarków, na jakie się zdobywają kraje zachodu; nie jest to jednak jéj zadaniem owe koniecznie przez ogół wymagane rozciągnięcie na całe kilometry przestrzeni, urozmaicanie przez najprzeróżniejsze atrakcye humbugowe.

Wystawa obecna jest przedewszystkiém naukową, taką chce i musi pozostać. Smutnym zaś bardzo objawem, raczéj publiczności aniżeli wystawie ubliżającym, będzie deficyt w kasach, spowodowany zbyt małą liczbą tanich wabików reklamowych, ściągających tłumy, które przy-

chodzą na przedstawienia cyrkowe, ale które obojętnie się zachowują wobec zgromadzonych latami pracy usiłowań polepszenia warunków życia.

Z pomiędzy najdonioślejszych rezultatów i zabiegów, dobrym skutkiem uwieńczonych, a których wystawa jest niejako przyczyną, przedewszystkiém zaznaczyć wypada: pogotowie ratunkowe, kąpiele ludowe i stacyę meteorologiczną. Niesienie pomocy w nagłych wypadkach, ratowanie w pierwszéj chwili, uorganizowane szybko i dokładnie z zastosowaniem wszelkich najnowszych wymagań nauki, — oto jedna z palących niemal kwestyi dla każdego większego miasta, gdzie ruch uliczny i przemysłowy staje się mimowoli najpodatniejszym gruntem dla wszelkich pojedyńczych i zbiorowych nieszczęść.

W każdém téż większém mieście zagraniczném istnieją t. zw. stacye ratunkowe, opatrzone w dostateczną ilość noszy, powozów ambulansowych, strzeżone przez odpowiednio wyćwiczony personel lekarski i służbowy, szybko i dokładnie niosący pomoc w razie nieszczęścia.

Stacya, którą widzimy na obecnéj wystawie hygienicznéj, powstała dzięki ofiarności hr. Przezdzieckiego, który całe umontowanie oraz powozy i nosze sprowadził z Wiednia, na wzór któréj to wiedeńskiéj stacyi ratunkowéj, dyrektor jéj, dr. Vragassy, urządził obecną stacyę oraz zapoznał lekarzy naszych z metodą postępowania. Sama stacya przedstawia się nader okazale w zbytkownych przyrządach, urządzonych tak, że naprzód nadają się wszystkie do szybkiego spakowania i przewozu, powtóre, że są zgrupowane w sposób dający możność oryentowania się odrazu, jakie przyrządy są konieczne w danym wypadku zasygnalizowanym. Mamy więc tu skrzynie pełne wszelkich możliwych aparatów do dużych opatrunków w groźniejszych wypadkach, daléj — mniejsze pudła do mniejszych opatrunków, płótna do rozciągnięcia w razie pożaru i t. d. Wogóle system, przyjęty w stacyi, polega na takim rozdziale materyału, że lekarz i pomocnicy w razie wypadku odrazu wiedzą, za co chwytać; nawet w saméj stacyi, gdzie urządzoną jest salka do pierwszéj pomocy ze stołami operacyjnemi i opatrunkowemi, są dwa stoły, z których jeden ma wszystko, co jest potrzebne w razie drobniejszych obrażeń na drugim zaś, większym, znajdują się wszystkie potrzebne do ważniejszych uszkodzeń opatrunki.

Powozy, używane do przewożenia chorych, odznaczają się wprost wykwintném i świetnie obmyśloném urządzeniem, zarówno jak nosze, łatwo składające się, nader lekkie i praktyczne. Jeden zarzut zrobiłbym całéj stacyi. Zbytni komfort, a nie dość wielką dbałość o aseptykę. Nadto, po co było to wszystko sprowadzać z zagranicy, kiedy na

model tych samych przyrządów nasze firmy tutejsze nie gorzéjby te aparaty wykonały, o czém dowodnie przekonać się można, porównawszy stacyę ratunkową z eksponatami sekcyi szpitalnéj, zapełnionéj jedynie wyrobami krajowemi. W każdym razie pogotowie ratunkowe jest instytucyą wagi pierwszorzędnéj, konieczną w całém tego słowa znaczeniu; miejmy nadzieję, że Towarzystwo niesienia pierwszéj pomocy prędko wejdzie w życie, wraz z nową urządzoną stacyą.

Drugą instytucyą niemniejszéj wagi, to kąpiele natryskowe (urządzone na wzór przez firmę Wetler i Nasiuss staraniem zarządu). Niezmiernie ważne, ze względu na zdrowotność ludu, kąpiele te dzięki zawiązującemu się odpowiedniemu towarzystwu są również w przededniu urzeczywistnienia. O ile jednak doskonałym dla mężczyzn jest system natryskowy (z możnością otrzymania wody gorącéj, mieszanéj lub zimnéj), o tyle mniéj praktycznėm zdaje się to urządzenie dla kobiét. Natrysk, zmoczywszy przedewszystkiém silnie głowę, u kobiét z długiemi włosami spowodować może łatwo przeziębienie przez trudność wysychania włosów. Z drugiéj strony nietylko hydroterapeutyczna wartość natrysków powinna być brana w rachubę,—należy wziąć pod uwagę i możność dokładnego umycia się, do czego odpowiedniejszemi zdają się być wanny, dogodniejsze zresztą dla kobiét. Przyszłe więc kąpiele powinny być zarówno natryskowe, jak i wannowe, aby odpowiedziéć w zupełności swemu zadaniu.

Równoważną z kąpielami natryskowemi instytucyą jest małomiasteczkowa łaźnia, wystawiona przez d-ra J. Tchórzchnickiego w dziale hygieny ludowéj. Bardzo dobrze obmyślana i urządzona, może być z pożytkiem niezmiernym odtworzona w naszych miastach, w większości których brak zupełnie tak doniosłych dla zdrowia publicznego urządzeń.

Pozostaje ostatnia zdobycz obecnéj wystawy: stacya meteorologiczna miejska.

Nie ma chyba potrzeby przypominać i wyliczać teoretyczne i praktyczne zastosowania i doniosłość każdéj stacyi meteorologicznéj.

Dzięki zasiłkowi ze strony magistratu zebrano kilka wybornych przyrządów koniecznych w stacyi pierwszéj klasy; aparaty te samozapisujące w większéj części, nastawione i puszczone w ruch działają zupełnie zadawalniająco, bądź to w osobnym, na ten cel przeznaczonym pokoju, bądź téż na wieży nad hallą gimnastyczną. Jedna atoli zachodzi okoliczność, zachmurzająca dotychczasowe powodzenie stacyi: oto sprawiwszy instrumenta, magistrat zrobił, zdaje się, wszystko co mógł, a raczéj co chciano od niego.

Jakie zaś będą dalsze losy stacyi, nic nie wiadomo i zachodzi po-

ważna obawa, aby z ukończeniem wystawy kosztowne przyrządy nie poszły do składów na wieczne czasy, bezpożyteczne i zapomniane, w braku niewielkiego fundusiku corocznego na utrzymanie stacyi. Sądzić jednak należy, z pewnym, nieco może zbyt śmiałym optymizmem, że pojętą zostanie ważność i znaczenie miejskiéj stacyi meteorologicznéj i uchwaloném będzie wstawienie do budżetu miasta niewielkiéj sumki na utrzymanie stacyi.

Narzędzia zaś sprowadzone do téj, oby nie prowizorycznéj, stacyi są wzorowe: mamy tu doskonały psychrometr Assmana, drugi zwyczajny Augusta, samozapisujący hygrometr Richard'a, takiż ewaporator Richard'a, samozapisujący pluwiometr, heliograf, barograf, termometry ziemne, maksymalny i minimalny, barometr duży, stacyjny i nakoniec Wildowską chorągiewkę.

Ściany pokoiku, mieszczącego te przyrządy (zawierającego także zawiązek biblioteczki statystyczno-meteorologicznéj i antropologicznéj), zawieszono odpowiedniemi tablicami, z pomiędzy których wspomnimy o tablicach izoter letnich i izoter zimowych prof. W. Wróblewskiego, obliczonych bardzo starannie i umiejętnie przedstawionych; daléj, tablice pp. Ehrenfeuchta i Mereckiego, oraz tablicę p. Ciemniewskiego.

Tablice te, przedstawione przez komitet statystyczno meteorologiczny, stanowią niezmiernie bogaty materyał; starano się bowiem o danie, możliwie wszechstronne, statystyczno-etnograficznego i fizyograficznego stanu naszego kraju. Prócz tablic, z meteorologią mających styczność, w samym dziale statystyczno-antropologicznym widzimy przedewszystkiém nader sumienne prace p. Adama Zakrzewskiego, który w całym szeregu map przedstawił stosunki ludnościowe i rolnicze kraju naszego. Mamy więc przedewszystkiém rozdział ludności Królestwa Polskiego według grup wyznaniowych, daléj przedstawienie niezmiernie pożyteczne pod względem dydaktycznego znaczenia stosunkowéj wielkości miast i miasteczek naszych, wraz z absolutnemi liczbami mieszkańców; podobnież druga wielka mapa odtwarza stosunki liczebne ludności żydowskiéj miast i miasteczek do ogółu ludności, z któréj to mapy dowiadujemy, że największą ilość żydów wykazuje miasteczko Ryki (pow. garwoliński), mające 99.6% téj ludności, najmniéj zaś żydów spotykamy w Orchówku 0.0% (pow. włodawski). Tegoż autora mamy tablice gęstości zaludnienia wiosek, ilość poddanych obcych w kraju i niezmiernie ciekawe tablice, dotyczące rozdziału liczebnego drobnéj szlachty polskiéj, oraz wielkości w morgach (w cyfrach absolutnych), a także stosunkowych do ogólnéj przestrzeni gruntów, gospodarstw drobnoszlacheckich. Najbogatszym pod owym względem okazuje się powiat wysoko-mazowiecki, w ogólności zaś

owe gospodarstwa drobnoszlacheckie grupują się w północno-wschodniéj części kraju, w gub. Łomżyńskiéj i Siedleckiéj. Interesująco téż przedstawia się mapa rozdziału gospodarstw dworskich, większéj własności ziemskiéj, których najwięcéj przypada na pow. kutnowski. Tablice wydajności ziemi, a więc dotyczące produkcyi kartofli, pszenicy, żyta, oraz stosunku gruntów obsianych do ogólnéj przestrzeni kraju, dopełniają bogaty dział p. Zakrzewskiego.

Ruch ludności w Królestwie Polskiém pod względem ilości urodzeń, małżeństw, śmierci i przyrostu naturalnego obliczył p. Danielewicz, dla Warszawy zaś przedstawił te stosunki w nader obszernych obrazach graficznych prof. Załęski. Również pracy p. Danielewicza są grafiki śmiertelności z różnych chorób za lat 5 w Warszawie; bardzo pouczające są nakoniec tablice graficzne, wykonane przez p. Ciemniewskiego, przedstawiające ceny głównych artykułów spożywczych, oraz ceny węgli, drzewa, a wreszcie ilości pożarów w Warszawie za za ostatnie dwudziestolecie, z rozdziałem na miesiące oraz na przyczyny pożarów. Do działu statystycznego zaliczyć należy tablicę okręgów szpitalnych d-ra H. Dobrzyckiego, która unaocznia nam graficznie stan bardzo smutny; narzuca się tedy pytanie: dlaczego wbrew odpowiednim przepisom i postanowieniom tak mała jest ilość szpitali u nas. Dotychczas mamy ich 102, projektuje się, buduje lub ma zamiar budować 15, do pełnéj zaś liczby brakuje jeszcze 35.

Wiele tablic statystycznych rozrzucono po różnych odpowiednich działach, jak w sekcyi szpitalnéj, hygieny ludowéj i t. d. W każdym razie obfitość materyału jest niezmierna i mimowoli pobudza do postawienia jednego pytania: czyby nie można było, skoncentrowawszy w odpowiedni sposób obrobiony ten materyał, wydać atlas statystyczno-geograficzny Królestwa Polskiego? Wszak w tych tablicach lata pracy się kryją, pracy, która z trudnością mogłaby znaléść się na półkach księgarskich, ze względu na niemożność wielkiego zbytu, na niechęć wydawców i redakcyi do ogłaszania prac wymagających znaczniejszego nakładu. Atlasu takiego dotychczas nie posiadamy. Po odpowiedniém dopełnieniu i poprawieniu nagromadzonego już na wystawie materyału, mogłoby się utworzyć dzieło pomnikowe, na które jednak odpowiedniéj trzeba sumy. A może znajdzie się kto z ludzi dobréj woli i zainicyuje w pewnych kółkach towarzyskich poparcie, które może da więcéj zadowolenia od setek rubli, rzuconych w czeluście totalizatora i baka?

Może kto z tych, komu na parustach rubli nie zależy, zajmie się tą sprawą i doprowadzi do skutku dzieło, co i jego imię uwieczni w dziejach naszego piśmiennictwa naukowego.

Łączący się z działem statystycznym dział antropologii, zawiera tablice p. Zakrzewskiego, dotyczące wzrostu poborowców w Królestwie Polskiém, oraz poborowców m. Warszawy, rozróżniające dwie kategorye ludności: żydów i chrześcian.

Z tablic tych wynika ten znany fakt, że najwyżsi przeciętnie żydzi warszawscy są jeszcze niżsi od przeciętnie najniższych chrześcian. Do tegoż działu zaliczyć należy prace d-ra W. Kosmowskiego, oraz oraz d-ra Anny Tomaszewicz-Dobrskiéj nad dziećmi z kolonii letnich. Szczególnie zastanawiają niezmiernie drobiazgowo opracowane tablice p. Tomaszewicz-Dobrskiéj, nieco jednak trudne do oryentacyi. W tymże dziale znajdują się tablice autora niniejszéj notatki, dotyczące wzrostu, wskaźnika piersiowego [1]), koloru oczu i włosów ludności Królestwa Polskiego.

Przechodząc obecnie do sekcyi wychowawczéj, widzimy przedstawioną normalną klasę z ławkami najnowszych typów (wystawione przez p. Leonię Rudzką, przełożoną pensyi żeńskiéj); daléj szereg pomocniczych preparatów wykładowych z dziedziny botaniki, zoologii i anatomii, sprowadzonych niestety z zagranicy; daléj pokój do zabaw dla dzieci prowadzonych pod kierunkiem pp. Szycówny, Nowickiéj i Kellerówien. Pani Łapińska przedstawiła mały gabinet fizyczny, p. Kuczalska typową salę gimnastyki szwedzkiéj. Nie zapomniano o ociemniałych i głuchoniemych, mamy więc prócz odpowiedniéj biblioteki, dotyczącéj téj sprawy, alfabet Braille'a dla ociemniałych. Dział hygieny mowy przedstawił bardzo sumiennie dr. Ołtuszewski; niemowlętom poświęcono cały przedział, gdzie staraniem d-ra Kramstyka urządzono wzorowy pokój dla noworodków. Wszystkie te przedmioty pomieszczono w obszernéj halli, która ma być z czasem przeznaczona na stałą salę ćwiczeń gimnastycznych.

Tamże widzimy długi szereg szematów przeróżnych manifestacyi woli, opracowanych przez d-ra Korniłowicza, nader pouczających przy odpowiedniém, bardzo popularném i wszechstronném objaśnieniu autora, trudnych natomiast niezmiernie do ujęcia przy samoistném studyowaniu. Z zajęć praktycznych w tym dziale spotykamy się naprzód z zabawami dziecięcemi, oraz ćwiczeniami gimnastycznemi na specyalnie urządzoném boisku.

Z pozostałych eksponatów działu pedagogicznego zwrócić muszę uwagę na osadę studzieniecką, prezentującą wyroby swych wychowanek

---

[1]) Patrz. „Przyczynek do badań antropologicznych nad ludnością Królestwa Polskiego". 1896. Warszawa, z jedną tablicą graficzną; skład główny w księgarni E. Wendego.

i wychowańców, oraz robótki dzieci ochron Towarzystwa dobroczynności i gminy ewangelicko-augsburskiéj.

Sekcya szpitalna pod jednym względem na szczególny poklask zasługuje. Pomieszczona w baraku składanym, zarówno jak i pogotowie ratunkowe, przewyższa go tém że całe urządzenie wewnętrzne, a więc sala antyseptyczna, aseptyczna, pokój za sterylizatorami, wózki do przewożenia chorych, łóżka, — wszystko to jest dziełem robotników krajowych.

Tak stoły operacyjne, jak stoły do narzędzi i szafki do instrumentów dokładnością obrobienia i zachowaniem ścisłém przepisanych form, przewyższają nawet obok postawione szafki zagraniczne, niepotrzebnie upiększane i niedość podatne do sterylizacyi. Sekcya szpitalna dowiodła, że można, nie ponosząc kosztów cła i sprowadzenia, z poparciem przemysłu krajowego zaopatrywać szpitale w nieustępujące zagranicznym, a nawet przewyższające je wyroby krajowe; z pomiędzy wystawionych tam przedmiotów zwraca więc przedewszystkiém uwagę doskonały składany, stół operacyjny nadający się do wszystkich pozycyi metalowy lakierowany, doskonały stół opatrunkowy, stół operacyjny szklany, szczyt doskonałości w tym kierunku, z jednéj tafli złożony, z suwaną poduszką obitą blachą o gumowym spodzie, oraz nakoniec świetny i nadzwyczaj lekki wózek do przewożenia chorych na salę operacyjną. Zwracam téż uwagę specyalistów na doskonale obmyślane urządzenie rozkładu sali i sterylizatorni, niedopuszczające asystentów ze sterylizatorni do wnętrza sal operacyjnych, a zmuszające ich do podawania intrumentów przez okna, co do *minimum* ogranicza prąd powietrza, idący z innych sal, a ewentualnie zabezpiecza dokładność aseptyki.

Szpitale wystąpiły ze zwykłemi urządzeniami, bądź w okazach, bądź w fotografiach. Szpital dziecinny przedstawił model budynku swego oraz typy łóżek. Zaciekawia niezmiernie dział wyrobów obłąkanych z Tworek, artystycznie ugrupowany. Po co jednak szpital starozakonnych robiąc fotografię swéj sali operacyjnéj nie usunął chociaż na moment fotografowania ciężkiego fotela, skórą krytego, którego celu w sali operacyjnéj nie można się domyśléć. Do działu szpitalnego odnieść trzeba eksponaty mechaniczno-terapeutyczne dr. Skowrońskiego, oraz liczne zbiory okazów kostnych i fotografii dr. Neugebauera, zarówno jak stereoskop z fotografiami chorób skórnych dr. Kozerskiego. Do tego działu zaliczają się eksponaty urządzeń sanitarnych przeróżnych kolei żelaznych, z pomiędzy których najokazaléj wystąpiła kolej nadwiślańska, dając prócz pudeł z przyrządami ratunkowemi, modele wagonów do przewożenia chorych, modele baraków dla cholerycznych, oraz in-

teresujący dział statystyczno-leczniczy ruchu chorób personelu służbowego tejże kolei.

Wogóle dział ten pokazuje nam najwymowniéj ogromne postępy, dokonane w ostatnich czasach w urządzeniach szpitalnych, a dowodzące, że niemogąc dziś jeszcze być zupełnie prewencyjną, medycyna dzisiejsza stara się przynajmniéj jak najdokładniéj zabezpieczyć okresy chorobne, zmniejszając zakaźność, ochraniając chorych pooperacyjnych z całą troskliwością, opierając się na najnowszych wynikach wiedzy. Pokrewna z poprzednią sekcya bakteryologiczna pomieściła się w osobnym budynku, aby módz szerzéj rozłożyć swe eksponaty i laboratorya.

Mamy więc tutaj kompletne urządzenie pracowni bakteryologicznéj ze wszelkiemi typami sterylizatorów, termostatów, z całym arsenałem igieł, łopatek, płytek szklanych, kolb do hodowli i t. d. Obfita kolekcya przeróżnych hodowli dopełnia obrazu. Osobny pokój mieści mikroskopy i mikrotomy. Nakoniec w stajni znajdują pomieszczenie konie, używane do zbierania surowicy przeciwbłoniczéj.

Z hodowli zwraca uwagę hodowla zarazku Loefflera (mysiego tyfusu) oraz cocobaccilusa tak ważne w gospodarstwie rolném, nawiedzoném przez plagę szczurów polnych lub chomików. Bogaty ten dział na długie może zająć godziny, tem więcéj że często udzielane objaśnienia dają ogólny pogląd na istotną wartość poszukiwań bakteryologicznych.

Obszerna sekcya chemiczno-fizyczna, począwszy od analiz głównych artykułów pożywienia lub składu powietrza, dała nam nawet dane dotyczące rozdziału oświetlenia na ulicach Warszawy. Mamy więc tutaj graficznie przedstawione części składowe różnego rodzaju pożywienia przez d-ra Peltyna, skład mléka kobiecego i krowiego, w postaci słupów graficznie uobrazowany przez d-ra Bączkiewicza, obszerny, na długie sprawozdanie specyalne zasługujący dział analiz piwa i mikroorganizmów fermentacyjnych, opracowany wzorowo przez p. Boczkowskiego, analiza powietrza, respiratory zabezpieczające przeciwko pyłom w nim zawartym, przy niektórych fabrykacyach, przedstawione przez p. Boguskiego, analizy i przedstawienie przemysłu mlecznego przez pp. Dłużewskiego i Wernera, analiza mikroskopowa mléka kobiecego d-ra Fruchtmana, rozbiór wody dokonany przez pp. Lepperta, Nenckiego i Neugebauera, tytoń i jego analizy dokonane przez d-ra Kucharzewskiego, zalecającego jako jedyne hygieniczne palenie „narghilé”, rozbiór octu i oleju dokonany przez p. Małyszczyckiego i t. d. Dział ten, jak widzimy nader bogaty, jeśli nie daje nam czegoś zupełnie nowego, czegoś cobyśmy nie znaleźli w podręcznikach chemii fizyologicznéj, niemniéj jednak na rzetelne uznanie zasługuje,

pozwalając szerokiéj publiczności zapoznać się z chemicznym składem i wartością prawdziwą artykułów najpierwszéj potrzeby.

Poważne miejsce w tym dziale zajmuje chemia żywienia, opracowana przez d-rów J. Zawadzkiego i Kuczyńskiego, a pokazująca prócz rysunków makro- i mikroskopijnych organów trawienia, skład chemiczny ciała ludzkiego, stopień strawności różnych pokarmów, nader poglądowo przedstawiony, ilość dobową różnych substancyi pokarmowych i t. d.

Do tegoż działu odnosi się arcyciekawy przyrząd prof. Hołowińskiego do fotografowania dwóch tonów serca, wraz odpowiedniemi fotogramami, oraz tablice oświetlenia ulic m. Warszawy dokonane przez p. Stetkiewicza.

Sekcya farmaceutyczna wystąpiła z licznemi okazami dobrych i zafałszowanych materyi, barwników i produktów przemysłowych, umiejętnie zgrupowanych.

Obszerny dział hygieny ludowéj daje nam prócz łaźni małomiasteczkowéj, o któréj już wspomniałem, model przestronnéj chaty wiejskiéj oraz eksponaty przeróżnych ubiorów z wielu okolic kraju naszego. W tymże dziale widzimy nader ciekawe przedmioty do zamawiania chorób, używane przez lud nasz, zebrane przez d-ra Wysokińskiego z Międzyrzeca. Wzorowa rzeźnia dopełnia obrazu tych wymagań jakie nauka stawia życiu wiejskiemu, a które w niedalekiéj przyszłości znajdą może realne urzeczywistnienie.

Dział budowlany reprezentuje dom dla robotników, postawiony przez budowniczego Goldberga, odznaczający się brakiem piwnic i poddaszy; ciekawych umotywowania téj ze stanowiska hygieny ważnéj zmiany odsyłam do artykułu p. Goldberga w ostatnim numerze „Zdrowia" (za maj-lipiec 1896).

Oto w najogólniejszych zarysach szybki, pobieżny przegląd naukowych działów wystawy hygienicznéj.

Wiele, nader wiele ciekawych rzeczy pominąć musiałem, choć w paru słowach na końcu zaznaczając ważne dla apteczek wiejskich po dworach przyrządy d-ra Sochackiego, robione z przedmiotów codziennego użytku i paru rurek gumowych jak np. irygatory, rozpylacze i t. d.

Cała wystawa wogólności przedstawia się okazale, czuć tu na każdym kroku ogromny nakład pracy, usiłowanie stworzenia obrazu coby na szeroką skalę malował nasze stosunki sanitarne.

Jedno tylko powtórzyć jeszcze należy: oto w tych działach tak bogate leżą materyały, że nieodżałowaną byłoby rzeczą gdyby zginąć miały w zapomnieniu.

Czyby sekcye nie mogły przy pomocy swych referentów działowych opracować broszury do każdego działu i wydawać ich zbiorowo lub pojedyńczo, wzbogacając naszą literaturę ciekawemi przyczynkami do wielu odłogiem niemal leżących kwestyi?

Drogą usilnéj pracy powstała wystawa obecna, z jednéj strony pokazuje jak daleko zaszliśmy na polu sanitarnych i związek z niemi mających urządzeń, z drugiéj zaś strony uczy nas, że doróśliśmy dziś do chwili, w któréj rzucić możemy użytkowanie z produkcyi zagranicznych, u nas, w domu, własnemi rękami sklecone równie dobre znajdując wyroby. I za to otworzenie oczu publiczności gorąca należy się wystawie hygienicznéj podzięka, któréj lwia część na sekcyę szpitalną przypadnie. Napaści zaś, których często wystawa była ofiarą, ciasnotę umysłów malkontentów tylko zdradzają, dowodząc że ludzie ci pojęciem proporcyonalności w najdrobniejszéj nie są nawet obdarzeni cząstce.

Wszechświatowe wystawy, o których się ciągle mówi, kosztują miliony i setki dają humbugów — wystawa hygieniczna za bardzo niewielkie sumy powstała, daje rzeczy istotnéj wartości naukowéj, nie starając się o reklamę, co właśnie zdaniem niektórych za największy jéj błąd się poczytuje.

Miejmy jednak nadzieję, że ogół pojmie nakoniec wszechstronną obecnéj wystawy doniosłość i należne uznanie jéj odda, a uczęszczając licznie, nauczy się stokroć więcéj niż w zabawniejszych może ogródkach lub cyrkach.

Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Leroy Beaulieu. „Państwo nowożytne i jego funkcye". Wydanie drugie. Przełożył Piotr Malinowski, kandydat praw. Warszawa, 1896.

Od wielu już lat Francya jest ostatnią twierdzą ekonomicznego klasycyzmu, chociaż pierwsza opozycya przeciwko szkole liberalnéj wyszła od uczonych francuskich, od Sismondi'ego i St.-Simona. Kiedy ojczyzna Adama Smitha, naśladując Niemcy, Włochy i Stany Zjednoczone, skłania się coraz więcéj ku kierunkom historycznym i socyalnym, kiedy politycy francuscy stoją na czele ruchu protekcyjnego, nauka francuska pozostała aż do ostatnich czasów wierną teoryom wolnego handlu i wolnéj konkurencyi. Lecz duch, wiejący w całym świecie cywilizowanym, nie mógł pozostać bez wpływu na Francyę, mimo jéj przysłowiowego lekceważenia obcéj literatury. W r. 1886-ym szereg młodszych ekonomistów, z Karolem Gide'm na czele, wypowiada walkę koryfeuszom liberalizmu, zgrupowanym około *Journal des économistes* i zakłada własny organ *Revue d'économie politique*, mający szerzyć poglądy historyczno-społeczne. Stara szkoła, starając się zwalczyć opozycyę, precyzuje i popularyzuje ponownie swe doktryny; we Francyi powtarza się walka, którą w połowie naszego stulecia widzieliśmy w Niemczech. W szranki wstępują najlepsze siły — Molinari, Leon Say i Leroy-Beaulieu — wszyscy idealizują poglądy liberalne, starają się obalić przeciwne, aż wreszcie dają nam rzeczywistą apoteozę doktryn klasycznych w *Dictionnaire d'économie politique*, wydanym pod redakcyą niedawno zmarłego L. Saya.

Dzieło, które mamy przed sobą, należy również do téj literatury walczącéj. Autor gromadzi w niém wszystkie argumenty, podnoszone od czasów fizyokratów, przeciwko interwencyi państwa w sferę interesów gospodarczych, przedstawia swe poglądy ze zwykłą Francuzom jasnością i elegancyą, ilustruje je licznemi przykładami, zaczerpniętemi z nowszéj historyi skarbowéj, gospodarczéj i politycznéj. Nie ma tu nowych myśli i wywodów, autor przenosi nas w czasy Adama Smitha i Ricarda, uprzystępnia zrozumienie ich zasad szerokim warstwom ludności. Wszystkie zarzuty przeciwko nowym prądom są zestawione bardzo zręcznie, z wielką dyalektyczną siłą, czasami nawet z pewną dozą sofisteryi. Na takiéj podstawie stara się Leroy-Beaulieu wykazać błędy nowszéj nauki, lecz jego sprawa jest już z góry stracona, zwycięstwo musi pozostać po stronie jego przeciwników.

Państwo nowożytne opiéra się, zdaniem autora, na wolności osobistéj, własności prywatnéj i współudziale w rządach wszystkich obywateli. Brak mu ducha wynalazczego, nie może więc zagarnąć całéj działalności, ani téż nią kierować, winno tylko dopomagać jednostkom w ich pracy i popiérać wszelki postęp. Narzuca ono prawa i podatki, a wzamian daje opiekę prawną wewnątrz i obronę przed nieprzyjacielem zewnętrznym. To są główne zadania państwa, które w sferze interesów gospodarczych winno się ograniczyć do roli biernéj, nie mając do czynu ani siły, ani zdolności.

Przewodnie zasady Leroy-Beaulieu, odnoszące się do działalności państwa na polu gospodarstwa społecznego, możemy streścić jego własnemi słowami. „Państwo nie jest obowiązane uczynić wszystkich szczęśliwymi (str. 75). Rola jego polega tylko na niepotęgowaniu naturalnych przyczyn nierówności (str. 304), ale nie może zależéć na protegowaniu marnotrawców (str. 299), ani téż nie ma słusznego powodu do upierania się przy zatrzymaniu ludności w miejscowościach ubogich (str. 129). Państwu obca być powinna wszelka niechęć względem towarzystw lub grup kapitalistów (str. 108), gdyż roboty najważniejsze z punktu widzenia interesu powszechnego są robotami, najlepiéj opłacającemi się" (str. 116).

Jednem słowem, autor nasz potępia wszelkie zapędy państwa ku regulacyi stosunków ekonomicznych, a zasadę tę formułuje bardzo jasno i ostro, mówiąc o Anglii, jako o państwie, „które utraciło prawo do swéj dawnéj i chlubnéj nazwy przeciwnika interwencyi rządowéj" (str. 20). Stara się on dowiéść, że cała nowoczesna działalność ekonomiczna państwa jest chybioną i nigdy nie może osiągnąć zamierzonego celu. Publiczne roboty przedsiębierze się nieopatrznie, bez względu na ich wydajność; pomimo deficytu podnosi się pensye urzędników,

ustawami fabrycznemi narusza się wolność umowy i utrudnia położenie przemysłu krajowego wobec konkurencyi zagranicznéj; walką przeciw syndykatom i ustawami przeciw lichwie podkopuje się zbawienną spekulacyę i niszczy ducha przedsiębierczego; przymusowém ubezpieczeniem robotników zwiększa się koszta produkcyi i zabija się osobistą odpowiedzialność i ostrożność; mieszaniem się w spory robotników i przedsiębiorców rozluźnia się węzeł naturalny między nimi, oraz wspólny interes pracodawcy i jego podwładnych, wreszcie dla popiérania okolic ubogich zwiększa się ciężary publiczne, zachęca się do wydatków nieopatrznych i nieprodukcyjnych. Wszystko to jest zupełnie zbyteczne i bezużyteczne. Inicyatywa prywatna zajęłaby się wszelkiemi korzystnemi robotami publicznemi, te zaś, które w danéj chwili się nie rentują, są niepotrzebne, gdyż ludność okolic uboższych przeniosłaby się do okręgów więcéj rozwiniętych, znajdując tam utrzymanie; syndykaty wytwórców, jeżeli przejdą miarę dozwoloną, muszą upaść wskutek oporu konsumcyi; ochrona przed lichwą dopomaga tylko jednostkom nierozumnym i rozrzutnym, a więc niepotrzebnym; regulacya pracy we fabrykach jest zbyteczną, bo sami przedsiębiorcy starają się o podniesienie skali życia swych robotników i rzeczywiście stosunki zdrowotne naszego stulecia są znacznie lepsze od warunków hygienicznych epok dawniejszych; ubezpieczenia przymusowe zwiększają tylko koszta administracyi, które zabiérają bardzo znaczną część wkładek, a nie dają robotnikom żadnych korzyści, gdyż już przedtém mieli oni prawo do wynagrodzenia za szkodę i posiadali kasy wzajemnéj pomocy; w końcu progresyjny podatek dochodowy lub spadkowy nie może doprowadzić do żadnego rezultatu, wobec możności przerzucenia podatku i wolności testowania.

Nie możemy się wdawać w szczegółową ocenę wszystkich tych wywodów. Nie są one nowe i cała nowsza literatura ekonomiczna daje wyczerpującą odpowiedź na wszystkie te zarzuty. Obowiązki państwa na polu gospodarstwa społecznego staraliśmy się określić w osobnym artykule, drukowanym w kwietniowym i majowym zeszytach „Ateneum” r. b., możemy się więc nań powołać we wszystkich kwestyach zasadniczych. Tutaj wystarczy zaznaczyć dwie rzeczy. Pomijając już liczne niekonsekwencye i sprzeczności (np. co do pojęcia państwa—str. 9 i 49, co do syndykatów—str. 158 i 303, co do komunikacyi—str. 91, 121 i 131, co do administracyi pocztowéj — str. 123 do 125, co do stosunków zdrowotnych robotników — str. 247 i 285 i t. d.), musimy nadmienić, że autor stara się dowiéść, że wszelkie braki naszéj organizacyi usunie wolna konkurencya, niszcząc jednostki, które przekraczają jéj prawa, następnie zaś, że robi szereg zarzutów

praktycznych ubezpieczeniom przymusowym, twierdząc, iż są za kosztowne, popiérają nieostrożność i nieopatrzność, a robotnikom dają tak drobne korzyści, że o ich znaczeniu społecznem nie może być mowy. Na to można odpowiedzieć, że jest wielkim błędem czekać, aż konkurencya swym naciskiem, wywołującym zgubne przesilenia, usunie niezdrową spekulacyę, gdyż w ten sposób zabija się gospodarczą stałość, pierwszy warunek rozwoju ekonomicznego, a następnie, że w sprawie ubezpieczeń cyfry statystyczne wykazują, iż autor opiéra swe wywody na zupełnie nieprawdziwych przesłankach. Statystyka zabezpieczenia od wypadków w Austryi za r. 1893 (*Ergebnisse der Unfallstatistik*, Wien, 1895) i statystyka ubezpieczeń na wypadek choroby w Niemczech za r. 1894 (*Vierteljahrshefte zur Statistik d. deutschen Reichs*, 1896, II, str. 133 i nast.) dowodzą zarówno zbawiennego wpływu obu tych instytucyi. Oto niektóre cyfry.

W Niemczech było 6,759,920 zabezpieczonych, których wkładki, opłacane po największéj części przez przedsiębiorców, wynosiły 111,509,631 marek. Z tego udzielono wsparcia chorym w wysokości 42,599,461, koszta ich leczenia wynosiły 56,988,996 marek, koszta administracyi kas 11,943,745 marek, a więc 10.5% ogólnych wydatków. Tymczasem dobrowolne ubezpieczenie robotników obejmowało tylko 237,941 osób, a koszta administracyi wynosiły 13.5% ogółu wydatków, nie może więc być mowy o biurokratyczności ubezpieczenia państwowego. W Austryi było w r. 1893 ubezpieczonych od wypadku 1,466,270 robotników, wkładki wynosiły 4,559,816 złr., koszta administracyi 12.9% wpłaconych premii. Nieszczęśliwych wypadków było 32,917, średnia wysokość renty przy zupełnéj niezdolności do pracy 216 złr. 43 ct., czego wobec średniego wynagrodzenia robotnika (326 złr.) nie można uważać za kwotę zbyt niską. Co się tyczy przyczyny wypadku, to nieostrożność i wina robotnika odgrywa coraz mniejszą rolę; wypadków z winy dotkniętego było 1891 r.: 12.3%, 1892 r.: 9.5%, 1893 r.: 6.3%. Cyfry te dowodzą niezbicie, że Leroy-Beaulieu myli się w swych przypuszczeniach, co do rezultatów ubezpieczenia przymusowego, że działa ono bardzo korzystnie i przyczynia się potężnie do polepszenia dobrobytu warstw robotniczych.

Tak więc powrót do liberalizmu, który proponuje nasz autor, stanowiłby w każdym razie cofnięcie się gospodarstwa społecznego. Na zakończenie wypada jeszcze odpowiedzieć na pytanie, czy tłómaczenie tego dzieła było wskazane. Wobec tego, cośmy powiedzieli, widoczną jest rzeczą, że nie pragnęlibyśmy bynajmniéj, aby nasze społeczeństwo przejęło się doktrynami klasycznemi, pomimo tego możemy tylko czuć wdzięczność dla tłómacza za przyswojenie téj książki językowi pol-

skiemu. Leroy-Beaulieu, chcąc przeciwdziałać wzmagającemu się wpływowi państwa na polu gospodarczém, kreśli ponętny i pociągający obraz skutków asocyacyi dobrowolnéj. Apoteoza stowarzyszania się i wzajemnéj pomocy jest przesadna, sama myśl jednak jest zdrową i użyteczną, gdyż niepodobna przerzucić całego ciężaru życia ekonomicznego na państwo, należy koniecznie współdziałać z niém razem. Niestety, brak nam zmysłu do tworzenia spółek i stowarzyszeń, zawsze bardzo użytecznych, niejednokrotnie niezbędnych. Dzieło Leroy-Beaulieu może zachęcić do prób na tém polu, dlatego téż poczytujemy za zasługę p. Malinowskiemu, który przełożył je bardzo wiernie i starannie, a pomijając drobne usterki i może zanadto niewolnicze trzymanie się oryginału francuskiego, zupełnie dobrze i poprawnie.

Włodzimierz Czerkawski.

Stanisława Orzechowskiego „Książki o ruszeniu ziemie Polskiej przeciw Turkowi." Powtórnie wydał Teodor Wierzbowski. (Wydanie z zapomogi Kasy pomocy im. d-ra J. Mianowskiego dla osób pracujących na polu naukowém). Warszawa, 1895, w 8-ce, str. 48. Cena 20 kop.

Potęga Turków, coraz bardziéj wzmagająca się w Europie w wieku XVI-ym i towarzyszące jéj takie dziejowego znaczenia wypadki, jak pokonanie Węgrów przez Solimana II-go pod Mohaczem (1526 r.), gdzie poległ Ludwik II Jagiellończyk, następnie zaś zajęcie Węgier i wcielenie ich do państwa tureckiego (w r. 1541), nie mogły nie rzucić silnego postrachu na sąsiednie tym zaborom narody i państwa. W położeniu takiém skupienie wspólnych sił dla odparcia i złamania groźnego nieprzyjaciela było jednym z najpilniejszych zadań ówczesnéj polityki ościennych państw europejskich. Celem przedstawienia konieczności obrony i zagrzania ducha obywatelskiego do wystąpienia zbrojnego przeciw najazdowi otomańskiemu, ogłosił Stanisław Orzechowski dwie mowy, właściwie dwie rozprawy: jedną do rycerstwa polskiego *(ad equites Polonos oratio)* 1543 r., drugą do króla Zygmunta I-go, 1544 r. (Obie razem wydane powtórnie w Bazylei, 1551 roku). Napisał je po łacinie; jednocześnie wszakże z wydaniem rozprawy pierwszéj ukazal się i przekład jéj polski, dokonany prawdopodobnie przez samego Orzechowskiego (Kraków, 1543 r.). Znacznie późniéj, bo w r. 1590, obie te mowy wyszły w tłómaczeniu Jana Januszowskiego p. t. „Oksza Stanisława Orzechowskiego na Turki", z przypisaniem Zygmuntowi III.

Dziełko pierwsze o ruszeniu przeciw Turkowi, wydane po polsku w r. 1543 pod nagłówkiem wyżéj przywiedzionym, niezwykłego doznać musiało przyjęcia wśród czytelników, skoro z czasem stało się wielką rzadkością i do dzisiaj przechowało się w jednym tylko egzemplarzu, stanowiącym własność hr. Zygmunta Czarneckiego w Rusku, w W. Księstwie Poznańskiém. Z tego to jedynego egzemplarza przedrukował je teraz p. Wierzbowski, ułatwiając tym sposobem czytelnikowi dzisiejszemu zapoznanie się z treścią krasomówczego utworu niepospolitego pisarza wieku XVI-go, oraz z jego dosadnym i barwnym językiem.

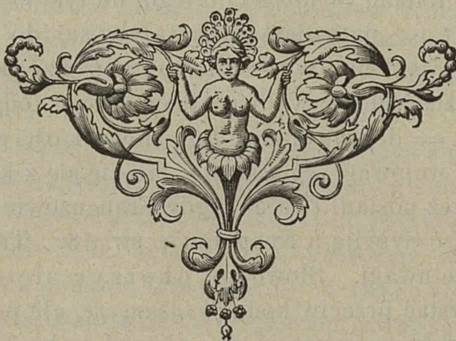
Cechy tego języka w przedruku zostały zachowane, pomimo zmiany pisowni pierwodruku na dzisiejszą. Na końcu dziełka, dla zrozumienia wyrazów przestarzałych, spotykanych w tekście, dodał wydawca słowniczek, wyjaśniający ich znaczenie. Pomiędzy niemi jednak sporo jest zbytecznych, bo zupełnie zrozumiałych, jak np. łatwie = łatwo, cny = zacny, okrutność = okrucieństwo, odmienność = zmiana, przyszło k temu = doszło do tego, do tyla = dotąd, dzięka = podziękowanie i t. p.; natomiast nadawałyby się do objaśnienia niektóre pominięte, jak np. wyrażenie: p r z e z d z i ę k i (tyle co: bez dzięki), str. 14, znaczące: gwałtem, przymusowo (odpowiednie wyrażeniu: w d z i ę k = dobrowolnie); lub słowo k o p i e n i c z y ć z kim, znaczące: kopią wojować, spierać się, kłócić się z kim, użyte w wyrażeniu: „Egipt też posiadł (Turek), gdy Francuzowie z Hiszpany kopieniczyli z sobą o Sycylją a Neapolim", str. 18. Tu i owdzie znów nasuwają się inne uwagi. Słowo np. o b o r z y ć s i ę (nie: oborzéć się) nie znaczy: „powstać przeciw komu", *insurgere*, ale przedewszystkiém: o b u r z y ć s i ę, następnie: rzucić się, uderzyć na kogo (czes. obořiti se na koho), str, 26. Wyraz h e r s t nieprawdziwie wyłożono przez „rozbój", zamiast: pierwszy ogień, pierwsze strzały (z niem. *der erste*); znaczenie to widoczne z wyrażenia: „....ubogi braniec, którego kijem, buławą i inszemi groźbami wypychają na h e r s t, ku szturmom, na działa", str. 24. Błędnie wydrukowano w słowniku słowo „odpoczynać" obok podanego objaśnia „odpocząć"; zamiast pierwszego powinna być staropol. forma dokonana o d p o c z y n ą ć i t. d.

Mimo te niedokładności słownikowe, ukazanie się w wydaniu wznowioném tak rzadkiéj książki Orzechowskiego każdy z miłośników literatury wieku XVI-go powita z wdzięcznością.

Jeszcze jedna uwaga. Przy przedruku tekstu wydawca, modernizując pisownię, w imionach narodów pozmieniał także wielkie litery początkowe na małe (np. *r*zymianie, *f*rancuzowie, *p*olacy, *c*zechy, *mo-*

rawczycy i t. p.) wbrew tekstowi pierwodruku i bez najmniejszéj dla nowego wydania potrzeby. Odwieczny i ustalony zwyczaj w piśmiennictwie polskiém oddawania tych wyrazów dużemi literami ma na swoją obronę dwa ważne względy: 1) ze strony optycznéj przedstawia dla czytelnika niewątpliwe dogodności; 2) pozostaje w zupełnéj zgodzie z drukami i sposobami pisania wszystkich europejskich narodów. Zdaje się zaś, że daremnie ktokolwiek starałby się doszukiwać pobudek silniejszych, któreby skłaniały do odstąpienia od słusznego zwyczaju panującego.

Adam Ant. Kryński.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Władysław Rabski.* **Zwyciężony**, dramat w 4-ch aktach (Poznań, 1895, str. 128).—Autor, który wydał przed trzema laty dramat „Asceta", napisany językiem jędrnym i obrazowym, ale przedstawiający uczucia i charaktery chorobliwe, w obecnym utworze wysnuł kolizye silne i prawdziwie dramatyczne ze stosunków rzeczywistych, tętniących życiem i prawdą. Z jednéj strony miłość, z drugiéj przekonania społeczne stają do walki, kończącéj się zgnębieniem człowieka pełnego zdolności, marzącego o lotach orlich. Dr. Zygmunt Wolski, naczelny redaktor dziennika demokratycznego, pokochał Martę, córkę hr. Władysława Wareckiego, wyznającego zasady arystokratyczne, przejętego pychą rodową. Miłości téj sprzyjała Melania Wadyńska, kuzynka Wareckich, która, jak się z dalszego rozwoju akcyi okazuje, sama kochając głęboko Zygmunta, gotowa była do wszelkich dla niego poświęceń. Ona to dodała odwagi Marcie, ażeby miłości swojéj się nie zapierała wobec ojca i ludzi. Marta, lubo lękliwa, zdobyła się na odwagę pod wpływem słów Melanii, a zwłaszcza Zygmunta i szczególnego nastroju chwili: gdy goście w domu Melanii wracali z przejażdżki po jeziorze, zastali Martę i Zygmunta w uścisku, a Marta przedstawiła ojcu Zygmunta jako narzeczonego. Hrabia Władysław chcąc uniknąć skandalu, po krótkiéj chwili namysłu oznajmił zebranym, że Marta zawcześnie tylko zdradziła niespodziankę, którą on sam podczas wieczerzy miał zakomunikować. Nie myślał jednakże tak łatwo ustąpić; domagał się od Zygmunta odstąpienia haseł demokratycznych. Zygmunt się nie zgodził, a wówczas hrabia, nie zważając na skandal,

odmówił mu ręki córki. Marta wahała się znowu; dwie miłości wiodły z sobą bój w jéj sercu; miłość do Zygmunta zwyciężyła, ale tylko na chwilę. Wyszedłszy za Zygmunta, znalazła się w otoczeniu demokratów niemiłém dla siebie; raziła ją ich powierzchowność, ich zachowanie się, ich rozmowy. Przyzwyczajona do manier wykwintnych, wychowana wśród odmiennéj atmosfery duchowéj, już po pięciu miesiącach czuje niesmak i niezadowolenie. Potrzeba tylko jakiéjś okoliczności, ażeby nagromadzony w duszy jéj jad się rozlał. Okolicznością taką były wybory na sejm (rzecz się dzieje w W. Ks. Poznańskiém). Kandydatem partyi arystokratycznéj był jéj brat, hr. Karol, hulaka i gracz zapamiętały, a kandydatem demokratów był bogaty fabrykant Maurycy Wsiłowski, założyciel dziennika, którego Zygmunt był redaktorem, człowiek czynny na polu prac ekonomicznych, ale pretensyonalny w mowie, a niezbyt ogładzony w ruchach. Wareccy, doprowadzeni przez lekkomyślność hr. Karola do bardzo złego stanu finansowego, widzieli jedyny dla siebie ratunek w sprzedaniu majątku komisyi kolonizacyjnéj niemieckiéj. Chcąc atoli z powodu wyborów zachować pozór dobrych obywateli, zmusili swego dalekiego krewnego i domownika od lat 15, Ruszczewskiego, do wzięcia na siebie sprawy. Sprzedali mu symulacyjnie swe dobra, rozgłosiwszy, że on otrzymał wielki spadek, a on dopiéro odstąpił je komisyi. Na domiar bezeceństwa hr. Karol w mowie przed wyborcami ostro napiętnował postępek swego krewnego. Wyczytana o tém wiadomość przyśpieszyła zgon starca, obarczonego niesławą; umierając polecił staremu słudze odnieść dokumenty, wyjaśniające rzecz całą, Zygmuntowi. Mając taką broń w ręku gotował się redaktor do napisania piorującego artykułu przeciwko Wareckim, gdy w tém weszła Marta i zrozumiawszy, o co idzie, wymogła na mężu, że jéj pozwolił dokumenty owe rzucić w ogień. Zygmunt uległ uczuciu, ale nie mógł stłumić w sobie wyrzutów sumienia, że się sprzeniewierzył stronnictwu. Nie zaznał odtąd spokoju i dni przed wyborami spędzone były pasmem ustawicznych udręczeń. Gdy hr. Karol został wybrany, i gdy na wezwanie Marty Wareccy przybyli podziękować Zygmuntowi i zgodę z nim zawrzéć, wybuchnął „zwyciężony” gorzkiemi słowy żalu i oburzenia, iż mu zapłacić chciano za zdradę, napiętnował obłudę i nikczemność rodziny, z którą się połączył swojém małżeństwem, rozstał się z żoną, mówiąc do niéj i do Wareckich: „Ptak uciekł z klatki złocistéj i wraca w pokorze; niech leci, to lepiéj dla mnie i dla niéj.” Zleciwszy stałéj wciąż w uczuciu Melanii staranie o mające się narodzić dziecko, opuszcza dom z tém gryzącém serce jego przekonaniem, że zdradził lud. Zygmunt popełnił omyłkę, wybierając towarzyszkę życia ze sfery tak odmiennéj przekona-

niami i nawyknieniami od téj, w któréj sam i żona jego żyć mieli; nie obrachował się z charakterem Marty, a może z charakterem kobiet wogóle, które gotowe na chwilę zapomnieć o wszystkiém i pójść tam, dokąd ciągnie je namiętność, ale które niebawem zatęsknią za zwyczajami i nałogami, z któremi się zrosły w latach dziecięctwa i dojrzewania. Omyłkę jednak taką popełniają nieraz najrozumniejsi ludzie; nie można jéj zatém brać za błąd w charakterystyce bohatera; a gdy się to uzna, to dalszy rozwój Zygmunta i Marty będziemy musieli uważać za konsekwentnie i głęboko pod względem psychologicznym przeprowadzony. Inne figury, nawet podrzędne, są bardzo dobrze utrzymane. Akcya rozwija się energicznie, śmiało; dyalog żywy, barwny, charakterystyczny; w miejscach odpowiednich skrzący się dowcipem. Młody autor, który taki utwór napisał, zdaje się mieć świetną przed sobą przyszłość.

= *Dr. Bronisław Czarnik.* **Korzeniowski i teatr lwowski** (1822—1844). Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1896, str. 63.—Rozjaśnienie stosunku pisarza dramatycznego do sceny w dobie jego twórczości jest jedném z ważniejszych zadań krytyki naukowo-literackiéj: od stosunku tego bowiem zależy częstokroć ochota lub zniechęcenie dramatyka, raźność w tempie twórczém, mniejsze lub większe przejęcie się wymaganiami aktorów i teatru. Co do Korzeniowskiego mieliśmy dotychczas luźne tylko pod tym względem wiadomości i to, jak się okazuje, nie wszystkie prawdziwe. Dr. Czarnik rozejrzawszy się w listach Korzeniowskiego do słynnego aktora lwowskiego, Antoniego Benzy, i przeprowadziwszy poszukiwania zarówno w zapylonych rocznikach gazet jak i w archiwach teatralnych, dał wielce zajmujący zarys, dotyczący przedstawień sztuk autora „Karpackich górali” na scenie lwowskiéj pomiędzy r. 1822 a 1844. Okazuje się z jego wywodów, że Korzeniowski lubo w praktyce bardzo powoli i ostrożnie wprowadzał reformy dramatyczne, w teoryi był już r. 1822 stanowczym przeciwnikiem teatru francuskiego; pisze bowiem w tym roku o Osińskim, dyrektorze sceny warszawskiéj: „pozawracał głowy publiczności francuskim teatrem, chce koniecznie, aby znalazła upodobanie w deklamacyach źle oddanych, kiedy ona szuka na scenie—życia, mocnych wzruszeń i gwałtownych namiętności i charakterów, których teatr angielski i niemiecki tak obficie dostarcza.” Okazuje się daléj, że Korzeniowski zrażony początkowo niepowodzeniem, gdy nie mógł wystawić swych sztuk na scenie, uważał przez czas jakiś reprezentacyę za rzecz u nas niebezpieczniejszą niż druk, bo: „rzecz drukowaną sądzą znawcy

i o niéj piszą, a na parterze najczęściéj krytykują żaki.” Późniéj atoli zmienił w téj mierze zdanie na słuszniejsze znacznie: „żal się Boże pisać dramat tylko dla czytelników; bez teatru nie ma uroku, nie ma kolorytu, nie ma życia; jest to czarna mizerna litografia.” Znajdujemy tu potwierdzenie wielkiéj wrażliwości Korzeniowskiego na ocenę jego utworów: zdania dla niego pochlebne przyjmował w całości jako sobie należne, nie spostrzegając grubéj nawet przesady. Widać to szczególniéj z listu, wyrażającego radość z powodu sprawozdania Dobrzańskiego z przedstawienia „Starego męża.” Co do chronologii wystawiania sztuk Korzeniowskiego na scenie lwowskiéj dr. Czarnik zaznacza, że rozpowszechnione dotychczas mniemanie, jakoby „Piąty akt” był pierwszym w tym względzie, jest mylne, faktem jest bowiem, że we Lwowie grano najprzód dramat: „Dymitr i Marya czyli Wróżba i zemsta” 4 lutego 1831 r., (powtórzony trzykrotnie tegoż roku, a raz w następnym), potém w r. 1834 przedstawiono „Piękność zgubą” (czyli „Piękną kobietę”) czterokrotnie; a dopiéro po tych sztukach ukazał się w r. 1836 „Piąty akt”, który wywarł najtrwalsze wrażenie i wielokrotnie aż do r. 1842 był wznawiany. Odtąd każda nowa sztuka Korzeniowskiego aż do r. 1844 była dawana we Lwowie, a więc: „Płochość ukarana” („Dziewczyna i dama”), „Umarli i żywi”, „Stary mąż”, „Żydzi”, „Fabrykant”, „Karpaccy górale”, „Panna mężatka”, „Okno na pierwszém piętrze.” Słusznie więc powiada dr. Czarnik, że teatr lwowski był przez półtora dziesiątka lat prawdziwym orędownikiem jednego z najwybitniejszych naszych talentów literackich”: że dni pierwszych przedstawień nowych jego utworów „stawały się prawdziwemi teatralnemi uroczystościami,” gdyż doborowe grono artystów lwowskich „z postaci powołanych do życia przez naszego autora pyszne stwarzało kreacye”, przystępując do ich oddania „ze szczerém uszanowaniem i niekłamaną miłością” (str. 46). Na podstawie listów prostuje dr. Czarnik niektóre daty powstania utworów Korzeniowskiego, podane przez niego samego w notatce zamieszczonéj obecnie w XII-ym tomie zbiorowego wydania „Dzieł jego”. Sprostowania te w większéj części są zupełnie uzasadnione; czasami tylko budzą niejaką wątpliwość, niekiedy mogły być poparte innemi jeszcze wskazówkami. Z wiadomostki np. zawartéj w „Gazecie lwowskiéj” r. 1844, oraz ze wzmianki w liście Korzeniowskiego 30 czerwca 1844 wnioskuje dr. Czarnik, że „Okno na pierwszém piętrze” powstało nie w r. 1841, jak podaje notatka powyżéj wspomniana, lecz w r. 1844 lub w ostatecznym razie w końcu r. 1843 (str. 39). Możnaby tu jeszcze jako uzupełnienie dowodu nadmienić, że „Okno” było wydrukowane w „Athenaeum” Kraszewskiego w r. 1844. — Przy końcu książki swojéj umie-

ścił autor 10 listów Korzeniowskiego do Benzy; list pisany, jak się zdaje, do Adolfa Dobrowolskiego, oraz nieznany wierszyk albumowy; wreszcie „Tabliczkę przedstawień sztuk Korzeniowskiego w teatrze lwowskim od r. 1831—1844.” Praca wykonana została starannie, sumiennie i podane w niéj są wszelkie informacye, mogące się przyczynić do jaśniejszego rozumienia szczegółów wzmiankowanych w listach; przytoczone recenzye sztuk Korzeniowskiego i t. d. Podzielić można życzenie autora, by podobnéj pracy dokonano co do sceny warszawskiéj.

= *Ksenofont.* **Wspomnienia o Sokratesie**, przekład E. Konopczyńskiego. (Bibl. filoz. pod redakcyą Struvego). Warsz. 1896.—Jakkolwiek nie pierwszy raz wychodzą po polsku „Wspomnienia o Sokratesie”, wszakże przekład ten bardzo był pożądany i potrzebny. Jedyny bowiem całkowity pióra p. Bronikowskiego, tłumacza dzieł Platona, grzeszy ciężkim językiem, wada dająca się odczuwać zwłaszcza w takiém dziele, jak „Memorabilia” Ksenofonta. Książka ta bowiem, co do treści wysoce przystępna, co do formy przejrzysta, jak najlepiéj nadaje się (obok „Snu Scypiona” Cycerona) dla pierwszego zaznajomienia się z pisarzami filozoficznymi w tekście oryginalnym. A któż, jeśli nie Sokrates, powinien stanąć na czele naszych studyów filozoficznych? Żyjemy w epoce, z wielu względów zbliżonéj do téj, w jakiéj występował nauczyciel Platona. Roskosz i zbytek mają i dziś tysiące sofistów, którzy śpiewają im hymny pochwalne, a gdy ktoś staje w obronie sprawiedliwości, to pewne głosy krzyczą na pogwałcenie odwiecznych praw rządzących światem, zwolenników nowych idei przedstawiają jako „przeciwników religii, psujących młodzież” a nie mogąc ich otruć cykutą, zalewają jadem potwarzy. „Znacie zapewne Cherefonta, mówił Sokrates do 557 sędziów swoich, otóż on to pewnego razu przybywszy do Delf, śmiał zapytać się wyroczni, czy jest człowiek mędrszy nademnie? I odpowiedziała mu Pytia, że mędrszego nie masz nikogo... Zgłębiając znaczenie wieszczéj odpowiedzi, muszę, myślałem sobie, obejść wszystkich, którzy, według ludzkiego zdania, coś wiedzą. I dalibóg, Ateńczycy, znalazłem się wobec takiego oto zjawiska, iż u tych właśnie, których najbardziéj wysławiano, za ich rozum, gdym ich, posłuszny bóstwu, poddawał memu badaniu, znajdowałem największy prawie brak rzeczywistéj mądrości;—inni zaś, uważani powszechnie za pośledniejszych, wydali mi się ludźmi, zasługującymi daleko więcéj na miano rozumnych... I dziś jeszcze posłuszny Bogu chodzę pomiędzy ludźmi i jeśli mi kto wygląda na mądrego, poddaję go takiemu rozbiorowi i badaniu: a jeśli nie widzę w nim mądrości, staję po stronie bożéj

i wyświetlam mu, iż nie jest on mądrym... Tak poświęciwszy się całkiem służbie bożéj, żyję pogrążony w nędzy ostatecznéj"... I ten właśnie, którego bóstwo uznało za najmędrszego z ludzi, miał taką Ksantypę, która go traktowała jako głupca; ten, który „żył w nędzy ostatecznéj", poświęcając się szerzeniu prawdy, osądzony był na śmierć za to, że wywierał zgubny wpływ na młodzież. A czyliż to rzadko bywa i dziś, że ci, którzy szczycą się tém, iż posiadają „mądrego" członka rodziny lub współobywatela, uważają za głupie i niepraktyczne te właśnie zdania i sądy, które mu taką zjednały opinię? Przekład p. Konopczyńskiego jest doskonały, przejrzysty i wierny a liczne uwagi, wyjaśniające dla mniéj obeznanych ze starożytnościami greckiemi niektóre szczegóły rozmowy, podnoszą wartość tłomaczenia. Wysoce przystępna cena książki (50 kop.) upoważnia obok tych zalet do nawoływania, aby się znalazła w ręku wszystkich wykształconych ludzi, jako pierwszy tom ich biblioteki filozoficznéj i jako jeden z tomów arcydzieł literatury wszechświatowéj. *W. M. K.*

= *Paweł Kośmiński.* **Poezye**. Warszawa. T. Paprocki. 1896, str. 175 — Zmarły niedawno autor uporządkował przed niespodzianym zgonem i oddał do druku zbiorek swoich utworów poetycznych, które obecnie wyszły w oddzielnéj książce. Kośmiński był od lat kilkunastu znany jako spółpracownik wszystkich pism „humorystycznych", sypał dowcipy i żarty jak z rękawa, zawsze w towarzystwie okazywał się wesołym i pełnym werwy. Ale jak to często bywa, ludzie weseli nazewnątrz, smutni są w głębi duszy i jeżeli wypowiadają to, co im przedewszystkiém na sercu leży, to jęk i cierpienie najczęściéj im z piersi się wydobywają. Tak prawdopodobnie było i z Kośmińskim; przynajmniéj „poezye" jego, zebrane w tomiku obecnym, na smętną, melancholijną nastrojone są nutę; z tego powodu może aż zanadto brzmią jednostajnie. Słowa, któremi się ten smutek wyraża, nie mają w sobie zazwyczaj nic świeżego, nic indywidualnego, są powtórzeniem dobrze znanéj od czasów bajronizmu frazeologii. Serce poety wygasło, ból rozsadza falujące łono, oczy pławią się we łzach „krwawiejących", chmura żalu zasępia czoło, pustka wokół niego się roztacza i wszystkie rozprasza natchnienia. Śpiew radosny nigdy z duszy jego nie wypłynie, gdyż pieśń jego zrodzona w bólu „nadludzkim", w bólu, „co nigdy, nigdy nie przeminie."

Zamknięta w smutek wiekuisty, ona
W smutku tym kwili i w smutku tym zginie.

Gdyż, mirażami marzeń nie zwiedziona,
Po oceanie prawdy mknie jedynie;
A na nim tylko wszędy bezdeń dla niéj
I mgły naokół... ni śladu przystani.

W tych ostatnich wierszach doczytujemy się jednego z powodów (w tém miejscu jedynego) smutku poety: niepodobieństwo znalezienia prawdy wśród mgieł powszechnych. Jednakże nie ten intelektualny motyw był istotną i główną przyczyną cierpień piewcy, gdyż bardzo rzadko zajmował się zagadnieniami bytu; pobudki raczéj uczuciowe przeważnie na jego usposobienie i nastrój oddziaływały. Szczegółów jakichś brak nam w téj mierze zupełnie; o jakimś zawodzie miłosnym nie opowiada poeta, ależ i po za takim zawodem istnieją tysiączne inne, które dręcząc człowieka drobnemi, lecz codziennemi ciosami lub choćby ukłóciami tylko, pogrążają go w otchłań smutku przygnębiającego, tém dotkliwszego, że nawet ustroić się weń przed ludźmi nie można, bo się z pierwiastków zbyt codziennych, zbyt powszednich składa. Nie roztacza téż ich przed nami Kośmiński, nie nazywa ich po imieniu, lecz daje nam poznać ostateczny ich wynik, przypomina nam często przestrogę: *momento mori* i pragnie dla siebie po zgonie żalu tylko:

I wtedy myślę, że gdy grobowy
 Kamień na wieki pierś mą przygniecie,
Nie pragnę żadnéj pochwalnéj mowy
 I niech mogiły nie stroi kwiecie.,.
Nie pragnę uczty z świateł paradą,
 Kiedy na zawsze spocznę już we śnie;
Niech nad mym grobem nie płyną pieśnie,
 Niech na mą trumnę wieńców nie kładą.
A za nagrodę żywota całą,
 Co szedł śród burzy wieczystych fal —
Pragnę, by jedno po mnie zostało:
 Żal.

A jak w przedstawieniu uczuć własnych, tak i w obrazowaniu życia ludzkiego najczęściéj dostrzegał Kośmiński smutek, biédę, nieszczęścia, klęski. I nie z pesymistycznego punktu widzenia kréślił zarysy cierpień wśród klasy zwłaszcza ubogiéj; wiedział on, że istnieje maj i uśmiéch; ale chętniéj przebywał wśród śnieżnéj zawiei, deszczu ulewnego, suteryn ciemnych, facyatek ubogich, na cmentarzu. Nie rozpacznie, nie z przekleństwem, lecz z cichym, łagodném zadumaniem patrzy on na cierpienia i ich objawy. Jest pod tym względem znamienny w zbiorze wierszyk p. n. „Maj na cmentarzu," tęskną rezygnacyą nabrzmiały, bo poeta widząc rozwijającą się bujnie roślinność na grobach, przyglądając się pogodnemu niebu, a przytém słysząc ton żało-

sny łkania, wié, że pieśnią swoją umarłych nie zbudzi, a może nawet gdyby mógł, zbudzićby nie chciał:

Maj czarowny!... Biegnie słońce
Coraz daléj, coraz wyżéj.
Tylko siedziéć, tylko marzyć
Śród tych grobów, śród tych krzyży...
Tak tu dobrze, tak tu błogo,
Tak szeroko pierś oddycha,
I westchnienie z echem biegnie
I łza spływa smętna, cicha...
Po eterach z mgłami krążą
Tajemniczych duchów roje.
Śpijcie, śpijcie! — ja swą piosnką
Was nie zbudzę, śpiochy moje!...

Serdeczną dla ludzi życzliwość wyraził w ładnym wierszu „Exaudi”, w którym błaga Boga, ażeby mu odebrał talent, urok natchnienia, śmiechu loty, byleby za to biédni, nieszczęśliwi, smutni doznali ulgi w swoich cierpieniach. Forma poezyi Kośmińskiego pod względem wierszowania jest płynna, gładka, potoczysta, widocznie przychodząca autorowi bez trudu; frazeologia atoli jest dosyć uboga, poeta zbyt często powtarza ulubione jakieś wyrazy lub wyrażenia: „miraże”, „Eole”, „fantomy”, „hekatomby”, pojawiają się z nużącą jednostajnością; czasami autor widocznie jakieś niejasne miał wyobrażenie o pewnych cudzoziemskich słowach jak np. o „insygniach” z łez, o „parabolach” śpiewanych! Zbyt obficie posługiwał się w porównaniach przedmiotami wziętemi ze sfery strojów i umeblowania: tiule, brokatele, gipiury, koce, fryzury obłoków, ekrany drzew i t. p. zastępują tu nieraz przenośnie ze zjawisk przyrody czerpane! Niekiedy formował Kośmiński wyrazy nieprawidłowo u nas brzmiące, np. dalny, kokietliwie. Strofami władał bardzo swobodnie, ale wielkiego w nich urozmaicenia nie zaprowadził.

— **Synowie pana Marcina**, powieść wiejska przez *Klemensa Junoszę*. Warsz. 1896, druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, str. 276. — Nowy ten utwór autora „Panów braci” i „Syzyfa” nie należy do najlepszych. Znane zalety Klemensa Junoszy znajdują się naturalnie i tutaj; doskonała znajomość świata wiejskiego: szlachty, chłopów, żydów; prawda i naturalność w rozwinięciu charakterów, styl potoczysty, często barwny, nieraz dowcipny. Te atoli zalety nie są w „Synach pana Marcina” w tym stopniu zbieżności, co w niektórych innych. Przedewszystkiém wątek opowiadania nie jest w istocie rozwinięciem tematu,

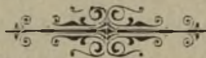
zapowiedzianego w napisie książki; synowie pana Marcina odgrywają tu rolę bardzo podrzędną; prawie do połowy powieści nie widzimy ich wcale, a i potém gdy się na widowni pojawiają, poznajemy ich ledwie szkicowo. Wyrazistością rzeczywistą odznacza się w powieści sam pan Marcin, żyd Mosiek, po-części sąsiedztwo wiejskie. Pan Marcin to człowiek energiczny, wytrwały, małomówny, nie w słowach, lecz w czynach okazujący swą miłość, poczucie obowiązku, ochotę w niesieniu pomocy. Odziedziczywszy wielki kawał ziemi i ogromną masę długów, gospodarstwo zaniedbane i opuszczone, a przytém zastawszy najniepomyślniejsze warunki dla rolnictwa, nie chciał pozbyć się majątku, jak mu doradzał stary przyjaciel ojca, adwokat, lecz rozparcelował część gruntów między chłopów, na reszcie zaś pracował sam z prawdziwém zamiłowaniem. Szczęściło mu się lepiéj niż biednemu „Syzyfowi" i pod tym względem postać Marcina jest jakby przeciwwagą do pesymistycznie nakreślonéj figury gospodarza rolnego w poprzedniéj powieści. Nie chciał się żenić bogato, wziął panienkę biédną, a jednak z czasem stał się bardzo zamożnym i doczekał się istotnéj pociechy z synów, z których jeden pracował w fabryce, a drugi rozpoczął gospodarkę na małą skalę, ażeby zwalczać przeszkody jak jego ojciec. Mosiek jest to jeden z tych licznych żydów Klemensa Junoszy, co to w każdym ruchu i odezwaniu się są charakterystyczni; Mosiek nie należy do najlepszych kreacyi, znajduje się w nim połączenie rysów dawniéj już przez powieściopisarza używanych, a szczególniéj werwy w obrazowaniu nie znajdujemy; w każdym jednak razie jest to postać poprawnie skreślona i żywa. Z sąsiedztwa najlepiéj i najwydatniéj przedstawia się pani Felicya, wiecznie zapracowana, śpiesząca się, gadatliwa i gdérliwa, a w gruncie rzeczy niezbyt wiele robiąca, lecz dobra i z dobrodusznym śmiechem przyjmująca krytyczne uwagi. Do urozmaicenia i ożywienia powieści służy towarzystwo z Warszawy przybyłe, ruchliwe, dowcipkujące, nakréślone sylwetkowo, lecz doskonale.

= *Włodzimierz Zagórski.* **W XX wieku**, fantazya humorystyczna. Warsz. T. Paprocki. 1896, str. 139. — Autor jest wrogiem „snobbowskiéj krytyki, która tak wysoko ceni szablony i ów kunszt robienia powieści wedle znanéj recepty jarmarkowych kuglarzy: ten sam sztuk na inny manier". I ja podzielam wstręt p. Zagórskiego, tylko pozwolę sobie spytać, czyby i jego fantazya humorystyczna nie dała się podciągnąć pod ową receptę, jeżeli przypomnimy, że nieco dawniéj dał już nam autor swój „Hypnotyzm", a obecnie fantazyując na temat wszelkiego rodzaju udoskonaleń naukowo-technicznych w wieku XX, za jeden z głównych

motorów swego pomysłu bierze hypnotyzm i telepatyą z dodatkiem cudownego „telopsa”, który będzie musiał być bardzo skomplikowanym przyrządem, jeżeli ma dać w Warszawie obraz tego, co na jakiéjś ulicy w Paryżu się dzieje,—i to za pomocą pociśnięcia tylko guzika. Fantazyować można dowoli, a jeżeli za podstawę fantazyowania nie bierze się jakiéjś zasady naukowéj rozwiniętéj do najdalszych wyników, to potrzeba za pomocą dowcipu zabawić czytelnika choćby najmniéj prawdopodobnemi przygodami. Spisywać zaś wszystko, co przyjdzie do głowy, bez względu na to, czy się pomysły łączą ze sobą jakąś nicią rozumną, lub czy bawią powabem fantastyczności wyobraźnią, jest to narażać się na słuszny zarzut lekceważenia czytelników i literatury. P. Zagórski przewidywał, że „Arystarchowie” odsądzą jego fantazyę „od wszelkiéj literackiéj wartości” i jako odpowiédź przygotował zapewnienie, że sam nie wié, czego opowiadanie jego chce i czego dowodzi, bo chciał jeno, by „jak fajerwerk z rac kilku tysięcy, aby spłonęło tylko... i nic więcéj.” Że to zapewnienie nie wyraża dokładnie istotnego charakteru, o tém przekonać może ustęp karykaturalnie a bez krzty dowcipu wymierzony przeciwko emancypacyi kobiet. Czasami zatém wiedział autor, czego chce i do czego dąży, ale nie umiał tylko ułożyć udatnéj całości i dlatego wolał twierdzić, że nie dbał o nic więcéj jak tylko o zabawienie wyobraźni. Wyraża on pragnienie, żeby jego opowiadanie, do którego zresztą nie przywiązuje „żadnéj pretensyi” (?), tak ubawiło czytelników, jak bawiło jego samego przy pisaniu. Że mogło bawić autora, nie dziwimy się, boć rodzice kochają i niekształtne dzieci, ale że p. Z. miał nadzieję zabawienia czytelników swoją „fantazyą humorystyczną” bez humoru, to chyba tém się daje wyjaśnić, iż liczył na bardzo niewybrednych.

= *Wiktor Gomulicki.* **Zielony kajet.** Szkice z ustronia. Warsz. T. Paprocki. 1896, str. 212. — Poświęcony został ten zbiorek obrazów „duchowi, który na ziemi był Niną”. Opowiadacz zamieszkał wraz z Niną i dzieciątkiem gdzieś pod Płockiem przy młynie, w którym chuda młynarzowa chętnie słuchała piskliwego fletu młynarczyka fach swój znającego doskonale, gdy młynarz zjadłszy łapczywie posiłek, chodził na wilgotne łąki i ręce w pięść ściśnięte zakładał za siebie. Zwykłe, drobne wypadki życia codziennego, przerywane kiedyniekiedy jakiémś donioślejszém zdarzeniem; wezbraniem rzeczki, które u mieszkańców cichego zakątka wywołuje przerażenie, lub też opadnięciem w niéj wód takiém, że młyn iść nie może; zauważenie jakiéjś figury ciekawszéj np. pastucha-filozofa, przemawiającego do psa i uczącego go prawd rozmaitych zdobytych w długiém doświadczeniu; posłyszana

opowieść o dziewczynie gorszéj od suki, bo dziecko swoje zadusiła, gdy suka szukając wziętych jéj szczeniąt, z wysilenia zdechła; widok brzydkiéj dziewuchy, broniącéj się energicznie od zalotników wiejskich, a kochającéj pomywaczkę, która po długoletniéj wiernéj służbie musiała opuścić chatę młynarza, bo nie miała czém zapłacić kary za pobyt bez paszportu; obrazek nowoczesnéj pary kochających się małżonków (Filemon i Baucis), kiedy żona wykopawszy dla zmarłego małżonka grób na cmentarzu tak go chytrze rozszerzyła, by i jéj trumna tam się pomieścić mogła; a skończywszy swą pracę, umarła w owym dole i razem z mężem pochowaną została: — oto szczegóły życiowe, jakie opowiadacz mimochodem zauważywszy, zapisuje w swym zielonym kajecie, by się niemi z czytelnikiem podzielić. A obok tego wszystkiego napawanie się naturą, bez deklamacyi i wykrzyków, lecz poprostu, szczerze, a pięknie, wypełnia tę książkę w sposób zajmujący i dziwnie powabny. Jest rzeczywiście jakiś czar w tém usunięciu się od gwaru wielkomiejskiego, w tém odłożeniu na bok zagadnień ciężkich i męczących, w tém wegetowaniu umysłu skądinąd czynnego i ruchliwego, który szuka wypoczynku wśród natury wiejskiéj i z uśmiechem pobłażania patrzy na zachody i starania mrowia ludzkiego o kawałek chleba i trochę przyjemności. Jest to również powab łagodnéj (a jak p. Gomulicki mówi z francuska „słodkiéj") melancholii, nie przechodzącéj nigdy w czarnowidztwo i rozpacz, lecz przyjmującéj w sposób zrezygnowany wszystko, co człowieka spotyka wśród tego ustronia cichego, w którém nawet katastrofy silniejsze mają przebieg dziwnie spokojny. Starał się p. Gomulicki w szkicach swoich o wytworną prostotę i zamiar ten, biorąc rzeczy ogólnie, osiągnął w zupełności, czasami tylko rażąc jakimś dysonansem przesady żartobliwéj lub w afektacyi wspomnień dziecinnych. Najlepsze z obrazków to „Magda", „Libella", „Suka", „Filemon i Baucis". Szkicowanie lekkie jest widać właściwością talentu p. Gomulickiego, bo najdoskonalsze jego rzeczy do téj właśnie należą dziedziny.



NEKROLOGIA.

— Dr. **Ludwik Natanson**, urodzony w Warszawie 4 marca 1822 r., ukończywszy gimnazyum na Lesznie w r. 1838, wstąpił do akademii medyczno-chirurgicznéj w Wilnie, a po jéj zwinięciu przeszedł do uniwersytetu dorpackiego, gdzie ukończył nauki lekarskie w r. 1843; w trzy lata późniéj Rada lekarska Królestwa Polskiego przyznała mu dyplom doktora medycyny, po napisaniu przez Natansona rozprawy „*De influxu nervorum spinalium in nervos vasomotorios*". W r. 1847 wraz z d-rami Helbichem i Le Brunem założył „Tygodnik lekarski", czasopismo to redagował przez lat 22, zapełniając w znacznéj części własnemi pracami. Jako członek tutejszego Towarzystwa Lekarskiego podnosił ważne kwestye naukowe, jak „Wyniki mikroskopowych badań błony krupowéj", „Bakterya we krwi w durzycy brzusznéj i innych chorobach zakaźnych", „O podskórnych wstrzykiwaniach w nerwobólach" i w. in.; wykonał w r. 1858 redakcyę uzupełnionéj ustawy Towarzystwa, oraz projekt ustawy Kasy wsparcia podupadłych lekarzy, oraz wdów i sierot po nich pozostałych, która jednomyślnie przyjętą została. Był jednym z najczynniejszych pracowników około uporządkowania słownictwa lekarskiego polskiego. W r. 1858 ogłosił „Krótki rys anatomii ciała ludzkiego". W uznaniu tych zasług, Towarzystwo Lekarskie powołało go w r. 1862 na stanowisko swego prezesa, które do roku 1865 zajmował, a w r. 1893 mianowało go „Członkiem honorowym". W „Słowniku lekarzów polskich" Kośmińskiego znajdujemy 80 z górą prac naukowych Natansona; najważniejszemi z nich są: „O tonie mięśniowym" (1860), „Przysłuch płynów połykanych" (1864), „Niektóre nowsze spostrzeżenia nad czynnościami nerwów" (1856), „Przyczynek do fizyologicznéj dyagnostyki kurczów", „Krążenie krwi

w mózgu. Mechanika snu" (1883), „Teorya jestestw idyodynamicznych" (1883). Zajęcia naukowe i praktyka lekarska nie wystarczały temu niepospolitemu człowiekowi. *Non solum medicus, sed etiam civis sum* — było hasłem jego życia, a rękę swą przykładał do każdéj pracy, którą za pożyteczną dla społeczeństwa uznawał, stąd zaznaczył się na polu hygieny publicznéj, szpitalnictwa i t. d. Przez lat 25 był prezesem warszawskiéj gminy żydowskiéj, przewodnikiem nie tytularnym tylko, lecz rzeczywistym, niestrudzonym, świadomym dobra ogólnego i zmierzającym wytrwale ku temu celowi. Materyalny stan gminy, który objął w stanie obdłużenia, pozostawił zasobnym, a w administracyi zaprowadził lepsze porządki. W r. 1887 rozpoczął sprawę budowy nowego szpitala gminnego, odpowiedniéj współczesnym wymaganiom nauki, i więcéj aniżeli w połowie przeprowadził to dzieło. Doniosłém było również działanie jego na polu szkolnictwa, on to dał początek warsztatom dla nauki rzemiosł; „Ateneum" pomieściło w roku 1888-ym (I, 203) piękne jego z téj dziedziny studyum „O uczeniu rzemiosł". Czynne to życie zgasło 6 czerwca r. b.

† Ksiądz **Michał Nowodworski**, biskup płocki, urodzony w Włocławku 27 lipca 1831 r., po ukończeniu w r. 1848 wyższéj szkoły realnéj w Kaliszu, w rok potém wstąpił do seminaryum włocławskiego, a w roku 1851 do akademii duchownéj w Warszawie, którą ukończył ze stopniem „kandydata" w r. 1855. Niebawem został w niéj bibliotekarzem i zastępcą profesora prawa kanonicznego, wykładał hermeneutykę, archeologię i introdukcyą do Pisma św., a w r. 1859 mianowano go profesorem stałym. Prace literackie pomieszczał w „Pamiętniku religijno-moralnym", a objąwszy jego wydawnictwo w r. 1863, przekształcił na tygodnik p. t. „Przegląd katolicki". Od r. 1868 administrował parafią Burzenin, w Sieradzkiém. W r. 1871 wróciwszy do Warszawy kierował „Przeglądem Katolickim", w dwa lata późniéj rozpoczął olbrzymie wydawnictwo „Encyklopedyi kościelnéj" (dotąd wyszło tomów 21), w któréj liczne bardzo prace własne pomieszczał. Prócz tego ogłosił wiele artykułów po innych czasopismach, broszur, książeczek; wymienić tu należy studyum oryginalne pod tyt. „X. Karol Surowiecki, szkic biograficzny na tle współczesném" (1870); tłómaczył „Symbolikę" Moehlera (1871), Reuscha „Biblia i natura" (1872), Périna „Bogactwo w społeczeństwie chrześciańskiém" (1875), Veuillota „Jezus Chrystus" (1877), Villefranche'a „Pius IX" (1877). Niedawno drukowana była praca oryginalna „Leon hrabia Tołstoj i jego doktryna". W r. 1888 mianowany przez akademię duchowną w Petersburgu i przez uniwersytet jagielloński doktorem teologii *honoris causa*. W r. 1888 duchowieństwo uczciło go medalem. W następnym roku

prekonizowany biskupem płockim, zajął się gorliwie administracyą spraw kościelnych w obszernéj dyecezyi, a mianowicie téż kierownictwem osobistém seminaryum płockiego. Obok tego prac literackich nie zaniedbywał. Zmarł 12 czerwca r. b. nagle na anewryzm serca, w Warszawie, a tłumny pogrzéb był wyrazem szacunku, jaki sobie zjednał.

† Dr. **Romuald Pląskowski**, ur. w r. 1821 w Płocku, wychowanie średnie odbył w miejscowém gimnazyum 1845 r., studya medyczne ukończył w uniwersytecie dorpackim i uzyskał stopień doktora w roku 1850. W r. 1854 zajął stanowisko ordynatora w szpitalu ś. Rocha, oraz szpitala Ujazdowskiego. W ciągu lat 1857 — 1859 podróżował za granicą, zwiedzając wydatniejsze zakłady dla obłąkanych i zaznajamiając się z postępami psychiatryi, którą sobie obrał za specyalność. Po powrocie mianowany ordynatorem szpitala ś. Jana Bożego. W roku 1862-im rozpoczął w tutejszéj akademii medyczno-chirurgicznéj wykłady policyi lekarskiéj, hygieny i dyetetyki, a w Szkole Głównéj miewał odczyty psychiatryi, od r. 1864 jako profesor nadzwyczajny, którą to naukę wykładał daléj i w uniwersytecie tutejszym, ale w charakterze docenta i dopiéro na rok przed ukończeniem służby (którą opuścił w r. 1887) zatwierdzony został na stanowisku profesora nadzwyczajnego. Pełen spółczucia dla nieszczęśliwych pacyentów, starał się to usposobienie przelać w serca słuchaczów swoich. W kwestyach, dotyczących hygieny i psychiatryi, bardzo wiele ogłaszał prac po czasopismach; napisał téż obszerne dzieło p. t. „Psychiatrya". Zmarł 24 czerwca r. b. Za życia darował Towarzystwu lekarskiemu swą bibliotekę, w testamencie zaś przekazał mu rs. 6,000, od którego procent służyć ma w części na premiowanie prac, dotyczących psychiatryi lub anatomii patologicznéj, w części na koszta podróży dla delegatów, wysyłanych na zjazdy psychiatryczne.



SPROSTOWANIA.

W zeszycie czerwcowym r. b. na str. 487 wiersz 3 od góry zamiast *jako* winno być *jedno*; wiersz 8 od góry zamiast *spalonych do szczypty* winno być *spalonych szczyptę*; wiersz 9 zam. *Wollenera* w. być *Wollernera*; w. 6 od dołu zam. *przesąd* w. być *przesadę*; str. 488 w. 20 od góry zam. *nieco* w. być *niemal*: str. 490 w. 4 od dołu zam. *oto* w. być *to*; str. 492 w. 9 od g. zam. *powadze* w. być *przewadze*; str. 493 w. 22 od g. zam. *wiele* winno być *stale*.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Iюня 1896 г. — Druk Jana Cotty.

CESARSKI UNIWERSYTET WARSZAWSKI.

TEMAT

wybrany przez fakultet historyczno-filologiczny

dla współubiegających się w latach 1896 — 1898 o *nagrodę z zapisu Adama Chojnackiego*

za dzieło popularne, mające na celu oświatę i uobyczajenie ludu:

Napisać albo jednę powieść, przedstawiającą w formie przystępnéj dla ludu prostego etyczny ideał włościanina we wszystkich stosunkach życiowych, albo szereg pouczających opowiadań, ujawniających poszczególne rysy tego ideału.

W takim utworze mają być w sposób poglądowy we wskazanéj formie wyjaśnione istotne cechy etycznego życia ludu, a więc poruszone w nim być winny i rozwiązane w sposób dodatni wszystkie zasadnicze kwestye etyki ludowéj. Do nich należą głównie: znaczenie religii, żywéj, płynącéj z serca wiary w Boga, jako Najwyższe Źródło moralnego porządku; stosunek do ustroju społecznego — państwa i gminy; przywiązanie do ziemi rodzinnéj (np. w przeciwstawieniu do przesiedlania się do miast, emigracyi do obcych krajów); zamiłowanie pracy nietylko dla korzyści materyalnych, lecz jako źródła moralnego zadowolenia; prawość i uczciwość w stosunku do bliźnich; trzeźwość, czystość obyczajów. Trzeba mieć również na względzie wyświetlenie z moralnego punktu widzenia różnorodnych stosunków rodzinnych, jako to: wzajemnych obowiązków małżonków, rodziców i dzieci i t. d.; w szczególności zaś, należy wziąć na uwagę pedagogiczne powołanie ojca i możliwe z jego strony współdziałanie zadaniom szkoły ludowéj. Mają być także uwzględnione: uszlachetniający pierwiastek zabaw ludowych, dążność do przyzwoitego otoczenia (ochędóstwo w domu i w ubiorze), miłość natury (np. zajmowanie się ogrodem), ludzkie obchodzenie się ze zwierzętami i t. p.

Nie można oczywiście żądać od autora, ażeby z równą dokładnościu rozwinął wszystkie rysy etycznego ideału włościanina, wszakże najwybitniejsze z wyżéj przytoczonych powinny być wystawione o tyle wyraziście i przekonywająco, ażeby to mogło wpłynąć na poczucie moralne, a tém samém i na sposób życia prostaczka.

Nie krępuje się autora w wyborze środków rozwinięcia podanego tematu: może np., gdzie uzna za stosowne, posiłkować się kontrastami, przedstawiając zgubne skutki, jakie wynikają z pogwałcenia prawa moralności, byle tylko osiągnął wyżéj wspomniany główny cel utworu. Rozmaitość w tym kierunku byłaby nawet bardzo pożądana, gdyż przyczyniłaby się więcéj do interesującego opowiadania, tudzież dałaby autorowi możność silniéj podziałać na wyobraźnię czytelnika i pobudzić go tym sposobem do samodzielnego zastanawiania się nad kwestyami moralnemi. Wogóle, zadawalniającego opracowania podanego tematu we wskazanym duchu podjąć się może jedynie pisarz-artysta, który naturalnie potrafi zadosyć uczynić wymaganiom poetycznéj prawdy.

Główne warunki konkursu. Nagroda konkursowa wynosi rs. 900. Dzieło powinno być przedstawione na konkurs najpóźniéj dnia 30-go kwietnia (12 maja) 1898 roku. Powinno być napisane w języku rosyjskim i przez poddanego rosyjskiego; ma być wydrukowane albo przedstawione w rękopisie, napisanym porządnie i czytelnie. Pozostawia się uznaniu autora wydanie nagrodzonego dzieła w języku rosyjskim lub polskim. Jeżeli w celu otrzymania przyznanéj nagrody przedstawioném będzie dzieło wydrukowane w przekładzie polskim z ocenionego przez fakultet urzędowego oryginału rosyjskiego, to do dzieła powinno być dołączone zaświadczenie fakultetu historyczno-filologicznego o zupełnéj zgodności tłómaczenia ze wspomnianym tekstem oryginalnym.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

---

1. **Konie gospodarskie** napisał dr. *Antoni Barański* (Wydawnictwo komitetu damskiego przy Wars. Towarz. opieki nad zwierz.). Wyd. 2-gie. Warsz., 1896, 8-vo, str. 62.
2. **Młodość**. dramat *Maksa Halbego*, spolszczyła *R. C.* Warsz., nakł. Centnerszwera, 1896, str. 147.
3. *Wiktor Gomulicki*. **Zielony kajet**. Szkice z ustronia. Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 212.
4. *Paweł Guirard*. **Opowiadania historyczne**. Rzym. Życie prywatne i publiczne. Przełożył *J. L. Popławski*. Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 513.
5. *H. K. Merczyng*. **Mechaniczne i elektryczne poruszanie** statków na sztucznych drogach wodnych (kanałach). Petersburg, 1896, 8-vo, str. 75, z 17 tablicami rysunkami (po rusku).
6. Dr. *Bronisław Czarnik*. **Korzeniowski i teatr lwowski** (1822—1844). Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, 1896, 8-vo, str. 63.
7. *Henryk Sienkiewecz*. **Nowele** („Biblioteka ilustrowana"). Warsz., nakł. Gebethnera Wolffa, 1896, str. 220 (z rysunkami).
8. **Wyniki** prac i doświadczeń wykonanych od 1 lipca 1894 do 1 lip. 1895 przez Stacyę doświad. w Sobieszynie, podał dr. *A. Sempołowski*. Warsz., 1896, 8-vo, str. 157.
9. **Obraz literatury** powszechnéj w streszczeniach i przykładach ułożyli *P. Chmielowski* i *Edw. Grabowski*. Zesz. XII i XIII. Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1895 roku.
10. **Słownik geograficzny**... wyd. pod redakcyą *Br. Chlebowskiego*. Tom XIV, zesz. 161 (str. 321—400).
11. Dr. *Wł. Ołtuszewski*. **Hygiena mowy** (z 6-ma rys. i 2-ma tab.). Warsz., nakł. Emila Skiwskiego, 1896, 8-vo, str. 57.
12. Dr. *Józef Tchórznicki*. **Dla zdrowia ludu**. Warsz., skład głów. w księg. M. A. Wizbeka, 1896, 8-vo, str. III i 154, z rysunkami.
13. **Rzym Papieży**. Wydawnictwo „Tygodnika illustrowanego". Warsz., skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa, zeszyt 3 (str. 81—120).
14. *Exterus*. **Po zdrowie**. Powieść. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 303.
15. *St. Tarnowski*. **O dramatach Schillera**. Kraków, skład gł. w księg. Spółki wydawniczéj polskiéj, 1896, 8-vo, str. 395.
16. *Anna z hr. Mycielskich Lisicka*. **Ze świata muzyki**. Życiorysy i szkice. Krak., Spółka wydawnicza polska, 1896, 8-vo, str. 249.
17. X. dr. *Stefan Pawlicki*. **Żywot i dzieła** Ernesta Renana. Wyd. nowe, powiększone, Kraków, Spółka wydawnicza polska, 1896, 8-vo, str. 479.
18. *Tomasz Czaszka*. **Dora**. Nowele. Kraków, Spółka wydawnicza polska, 1896, 8-vo, str. 53.
19. **Na kresach cywilizacyi**. Listy z podróży po Ameryce Południowéj, odbytéj w roku 1892-im przez d-ra *Józefa Siemiradzkiego*. Lwów, Związkowa Drukarnia, 1892, 8-vo, str. 260.
20. **Powszechna wystawa krajowa** we Lwowie. 1894. Wydanie „Przeglądu Pols.", Kraków, Spółka wydawnicza polska, 1896, 8-vo, tom I, str. XII + 20 + 25 + 9 + 16 + 50 + 10 + 23 + 40 + 31 + 59 + 11 + 22 + 36 + 9 + 32 + 24.
21. *Iwan Wazow*. **Pod jarzmem tureckiém**. Powieść na tle walki Bulgarów z Turkami w r. 1876. Przełożyła *Hel. Sopodźkowa*. Z ilustracyami. Krak., nakł. drukarni „Czasu", 1895, 1896. dwa tomy, str. 240 i 298.
22. *Hugo Berger*. **Łatwa metoda** nauczania się języka niemieckiego. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa. 1896, 8-vo, str. VII i 286.
23. **Klucz** (do powyższéj metody), 8-vo, str. 40.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.